

WYBORY
2025



RANKING KANDYDATÓW,
KTÓRZY ODPADLI

NA UKRAINIE
POKÓJ CZY WOJNA?

PAPIEŻ
LEON XIV
POD PRESJĄ

SIECI

DLACZEGO
SONDAŻE
ZNÓW
KŁAMAŁY

SIECI

NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE

22 (652) 2025
26 maja - 1 czerwca 2025

CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

KAROL NAWROCKI

JAK ON TO WYGRA

PREZES IPN MUSI PRZEKONAĆ DO SIEBIE WYBORCÓW
CAŁEJ PRAWICY ORAZ ZMOBILIZOWAĆ TYCH,
KTÓRZY NIE GŁOSOWALI. WIEMY, JAK TO ZROBI

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



9 772544 269502

Numer w sprzedaży do 2 VI 2025 r.



DUMNI Z POLSKIEGO ZŁOTEGO

Złoty jest filarem budowy dostatniej Polski.
Dzięki własnej walucie Polska dynamicznie się rozwija i szybko
dogania zamożniejsze kraje, a bezrobocie pozostaje niskie.



*Polski złoty to niezależność. Narodowy Bank
Polski prowadzi niezależną politykę pieniężną
dostosowaną do polskich uwarunkowań.*

prof. dr hab. Adam Glapiński, Prezes NBP

Trzeba to wygrać

To jest naprawdę bitwa o wszystko. Z jednej strony obóz rządzący jest bliski domknięcia „systemu Tuska” i zdobycia pełni władzy. Z pewnością wykorzysta ją do bardzo brutalnych działań, by w nadchodzących wyborach parlamentarnych nie musieć mierzyć się z prawdziwą opozycją. Z drugiej strony obóz niepodległościowy jest bliski zablokowania tego planu, a w dalszej perspektywie odzyskania większości w parlamencie.

Bywa w historii, że długie procesy polityczne zbiegają się w jednym głosowaniu, jednej decyzji. Oczywiście walka o wolną Polskę nie skończy się nigdy i nawet jeśli padną ostatnie szanse, to powstaną nowe. Lepiej jednak, byśmy nie musieli płacić wysokiej ceny rozpoczynania wszystkiego od początku czy z bardzo niskiego punktu. Na wyciągnięcie ręki mamy możliwość odwrócenia bardzo złego kursu Rzeczypospolitej. Możemy sprawić, że ten zły czas, czas rządów Donalda Tuska i jego wyjątkowo bezradnej, leniwej ekipy, będzie jedynie „pauzą rozwojową”, a nie początkiem końca naszej niepodległości.

W tej kampanii uderza jedno: obóz władzy już nawet nie udaje, że promuje swojego kandydata Rafała Trzaskowskiego. Nawet jego sztabowcy zdają się rozumieć, że to już bardzo nieświeży towar. Widzą, że rozpada się na naszych oczach, płącze się w kolejnych woltach, przebieranek i nie trzyma się roli. Nawet ton głosu i mimika wymykają się spod kontroli. Dlatego władza zaangażowała wszystkie siły w zohydżanie kandydata opozycji. To jest ich jedyna szansa i jedyna nadzieja.

Sądzę jednak, że nie przyniesie im to sukcesu. Karol Nawrocki jest człowiekiem autentycznym i to jest jego najsilniejsza tarcza. Zniósł nieprawdopodobnie silne ataki, przeżył próbę dokonania „moralnego morderstwa” i nadal idzie do przodu. Wzbudza

zresztą znacznie więcej szczerego entuzjazmu wśród wyborców niż Rafał Trzaskowski, już chyba w żłobku przygotowywany do objęcia najwyższych funkcji państwowych, oczywiście z nadania sił zewnętrznych.

W pierwszej turze kandydaci prawnicy zdobyli wyraźną większość. Ale tych głosów – Sławomira Mentzena, Grzegorza Brauna i Marka Jakubiaka – nie da się automatycznie dodać do wyniku Karola Nawrockiego. To głosy trudne do pozyskania, często bowiem chodzi o wyborców o poglądach bardzo wyrazistych albo krytycznych – czasem mocno – wobec PiS. Trzeba jednak szukać tego, co wspólne. Karol Nawrocki ma w rękę silny atut: nie uczestniczył w rządzie, nie musi brać na siebie realnych bądź domniemyanych przewin całego obozu politycznego. Jest też jednoznacznie polskim patriotą mierzącym się w boju o najwyższy urząd w państwie z politycznym produktem globalizmu. Dokładnie takim samym, jaki instaluje się w każdym państwie, w każdej niemal europejskiej stolicy, po to by realizowali program napisany na zewnątrz. To nie są politycy, którzy wyrastają ze wspólnoty narodowej bądź dla niej pracują – oni mają pilnować rodaków, wdrażając postanowienia, które zapadły wysoko ponad naszymi głowami. To nie przywódcy, to wdrażacze. A jeśli tak jak Trzaskowski przebiegają się w kampanii w biało-czerwone barwy, to niczego to nie zmienia.

Równie ważne będzie zmobilizowanie, wciąż sporej rezerwy frekwencyjnej obozu patriotycznego. To zadanie dla kandydata, jego zaplecza, a także każdego z nas. Kampanię symbolicznej przemocy, którą prowadzi obóz Trzaskowskiego, może pokonać jedynie biało-czerwona fala ludzi dobrej woli. Manipulatorzy zawsze byli bezradni wobec niej. I tym razem też się przekonają, że tak naprawdę nie znają Polski.

Jacek Karnowski





36

Sześć refleksji
po pierwszej turze
Jan Rokita



50

Trzech jeźdźców
bezradności
Dariusz Matuszak



57

Wielki powrót
z emerytury
Michał Muzyczuk

NA POCZĄTEK

- 5 **ODCZŁOWIECZANIE**
Bronisław Wildstein
- 6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 8 **SZCZĘŚ BĄŻUR**
Krzysztof Feusette
- 9 **OBIECANKI CACANKI,
A WYBORCOM RADOŚĆ**
Dorota Łosiewicz
- 10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 12 **ETS2, CZYLI JAK UGOTOWAĆ
EUROPEJCZYKA NA WOLNYM OGNIU**
Daniel Obajtek
- 13 **DROGA DO DOBROBYTU
CZY ZWIJANIE POLSKI?**
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 14 **WALIZKA ŁUJCJI NALEWAJK**
Michał Korsun
- 16 **DYNAMICZNY ROZWÓJ NĘDZY**
Jan Pietrzak
- 16 **TRAUMA**
Samuel Pereira
- 17 **KAGANIEC NA PRAWICĘ – PLAN
TRZASKOWSKIEGO I TUSKA**
Arkadiusz Mularczyk
- 18 **DOMYKANIE UKŁADU**
Lech Makowiecki

PO PIERWSZEJ TURZE WYBORÓW

- 20 **OSTATNIA RUNDA**
Marek Pyza
- 24 **PRZEGRANY ZWYCIĘZCA**
Stanisław Janecki
- 27 **GDZIE KANDYDACI MOGĄ
SZUKAĆ POPARCIA?**
Piotr Gursztyn
- 30 **KTO ZYSKAŁ, KTO STRACIŁ**
Konrad Kołodziejcki
- 33 **SONDAŻ NIEPRAWDĘ CI POWIE**
Dorota Łosiewicz
- 36 **SZEŚĆ REFLEKSJI
PO PIERWSZEJ TURZE**
Jan Rokita

ŚWIAT

- 39 **UKRAINA. WOJNA CZY POKÓJ?**
Marek Budzisz
- 42 **BEZ BOGA JEST TYLKO CIEMNOŚĆ**
Z Janušasem Mindaugasem
rozmawia Andrzej Skwarczyński
- 45 **CZY LEW PRZEGONI WILKA?**
Grzegorz Górny

48 WYNIK, KTÓRY PODOBA SIĘ EUROPIE

Aleksandra Rybińska

50 TRZECH JEŹDŹCÓW BEZRADNOŚCI

Dariusz Matuszak

HISTORIA

54 NIEZŁOMNOŚĆ CZY PRAGMATYZM?
SPÓR O POWOJENNE DECYZJE

Stanisław Płuzański

SPORT

57 WIELKI POWRÓT Z EMERYTURY

Michał Muzyczuk

NATURA DLA LUDZI

60 GDY WYBUCHNIE YELLOWSTONE

Przemysław Barszcz

SIECI KULTURY

63 JAK GROM Z JASNEGO NIEBA

Jolanta Gajda-Zadworna

65 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Piotr Zaremba

66 DYPATRIOTYZM

Robert Tekieli

GOSPODARKA

68 CO SPOWODOWAŁO NAJWIĘKSZY
BLACKOUT W HISTORII EUROPY?Z prof. Władysławem Mielczarskim
rozmawia Agnieszka Łakoma

PODRÓŻE

70 MOJE SZLAKI: POLA GONCIARZ

Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

71 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM

Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

72 OGNIEM NA WPROST

Andrzej Rafał Potocki

73 MOICH KOLEGÓW DWÓCH

Ryszard Czarniecki

74 SAMOBÓJSTWO KOBIEC?

Katarzyna Zybortowicz

Odczłowieczanie

Zbyt łatwo przyzwyczajamy się do kolejnych afer rządu Tuska. Wpompowywanie pieniędzy większych niż wydatki komitetów wyborczych w internetowe akcje „Wiesz jak jest” i „Stół dorosłych”, które zozydzić mają Karola Nawrockiego i Sławomira Mentzena, a wypromować Rafała Trzaskowskiego, w normalnie funkcjonującej demokracji prowadziłyby do natychmiastowych sankcji wobec tego ostatniego i jego sztabu. W Polsce nikt już o sprawie nie mówi.

Jeszcze większym skandalem jest finansowanie przez spółki Skarbu Państwa kampanii „Twój głos jest ważny”, która, pod pretekstem kampanii profrekwencyjnej odczłowiecza wyborców konkurencyjnych wobec dominujących dziś sił, czyli Polaków o prawicowej orientacji. Organizatorem tego przedsięwzięcia jest potentat branży produkcyjnej, Tomasz Kurzewski, pracodawca żony kandydata władzy Rafała Trzaskowskiego.

Filmiki sygnowane przez „Twój głos” i rozpowszechniane na wielką skalę w internecie to synteza propagandy Tuska i całego liberalnego obozu.

„Dobry Polak to ja – deklaruje typ z głupawym uśmiechem na nalanej gębie – konserwatyzm mam we krwi. Wiem, że kobiety i dzieci trzeba trzymać krótko, a przyjaciół trzeba szukać na wschodzie. Nam, Słowianom, bliżej do Rosjan niż do tych zakichanych Germanów czy niewydarzonych Francuzów. A że Rosjanie nie lubią wolności? Jaję też nie lubię. Lubię za to, gdy jest sprawiedliwe i prawie, ale po naszymu. Nasze prawo i dla nas sprawiedliwość. Przecież nie dla uśmiechniętych” – krzywi się obleśnie.

„Wolę Moskwę niż Brukselę – deklaruje kobietka z histerycznym skurczem twarzy. – Wolę dyktaturę od demokracji, tam przynajmniej wiedzą, że kobieta ma być przy mężu i dzieciach. Lubię porządek, nie wolność” – kuli się nerwowo.

„Co wolicie? Bezpieczeństwo czy kasę? – pyta nieprzyjemny cwaniaczek z szyderczą miną. – Ja tam wolę kasę. Na wiosnę wybierzemy sobie prezydenta, który pogodzi nas z Moskwą, a oleje tę durną Brukselę. No i znowu brudne rubelki popłyną szerokim strumieniem”.

Po każdym filmiku słyszymy: „Czy naprawdę chcesz, aby to oni wybrali ci prezydenta?”.

Oficjalne cele fundacji „Twój głos jest ważny” to: „Podejmowanie działań na rzecz umacniania polskiej demokracji, poprawy jakości debaty publicznej oraz zwiększanie frekwencji wyborczej, a także wzmacnianie i utrwalać pozycji Polski w strefie cywilizacji zachodniej”.

W rzeczywistości ukazywanie Polaków o prawicowych poglądach (co najmniej połowy ludności kraju) jako tępych, znerwicowanych i zdradzieckich idiotów niszczy debatę publiczną. Uderza w jakiegokolwiek poczucie wspólnoty i stosując symboliczną przemoc – jeśli jesteś przywiązany do tradycyjnych wartości, to jesteś albo durniem, albo psychopatą – usiłuje zastraszyć ludzi o konserwatywnych postawach i radykalnie rozdzielić naród, niszcząc samą ideę obywatelstwa.

Skoro liberalna strona ma czuć odrazę i pogardę do inaczej myślących rodaków, to jak może odnaleźć z nimi podstawę porozumienia w sprawie dobra wspólnego, co jest warunkiem demokracji? Zastępowanie argumentacji prowokowaniem wstępu, bo do tego prowadzi opisywana kampania, która jak w soczewce skupia strategię liberalnej oligarchii, to zakwestionowanie racjonalności cywilizacji zachodniej. Tak wygląda „inkluzywność” postępowej formacji. Akceptujemy innych, ale tylko tych, którzy się z nami zgadzają.

Frazes symetrystów, że przecież i prawa strona... jest fałszem. Nawet radykalna krytyka polityków establishmentu ze strony konserwatywnej nie ma charakteru odczłowieczania ich wyborców.

Opisywana kampania kreuje doszczętnie skłamaną obraz prawej strony sceny politycznej. Przedstawienie jako zwolenników Moskwy tych, którzy wskazywali na niebezpieczeństwo płynące ze strony Kremla i oskarżani byli o rusofobię przez środowisko, które stoi za przedstawianą kampanią, jest tego jasną manifestacją. Grzegorz Braun, który zdradza propupitnowskie sympatie, wyciszył je na czas wyborów, gdyż wiedział, że nie będą tolerowali ich prawicowi wyborcy. Rasistowska, „słowiańska” mitologia to margines marginesu. Kto dostawał brudne rubelki? Kto usiłuje odebrać głos swoim rywalom?

Liberalny establishment wykorzystuje opiniotwórczą przewagę, aby utrwalić odczłowieczoną karykaturę przeciwników, organizuje wobec nich seanse nienawiści oraz obrzydzenia, co ostatecznie skutkować ma przyzwoleniem na eliminację ich z życia publicznego.

Przy okazji dokonywane są pomniejsze fałszerstwa w rodzaju przedstawienia biegunowej opozycji Moskwy i Brukseli, z czego wynikać ma, że każdy, kto jest sceptyczny wobec obecnego kształtu UE, musi łągnąć do Putina.

Cała operacja prowadzi do zniszczenia narodowej wspólnoty, racjonalnej debaty i demokracji, a w konsekwencji wolności politycznej.

Oczywiście pod hasłami wolności, tolerancji, pluralizmu i demokracji.

A to wszystko robione jest za państwowe pieniądze. Powtórzę któryś raz: mam nadzieję, że organizatorzy tego przedsięwzięcia za nie zapłacą. **///**



Sygnalista nadaje

🔊 Ten **Nawrocki** z Gdańska nie zatonął. I dalej nie tonie. Czy ludzie nie słuchają autorytetów moralnych i celebrytów, nie czytają „Gazety Wyborczej” i nie oglądają TVN? Przecież od początku jasny jest przekaz, na kogo wypada głosować, a na kogo nie. Ludzie! Zwracamy się do was w sprawach wagi najwyższej. Nasza ojczyzna znalazła się nad przepaścią. Dorobek wielu pokoleń, wzniesiony z popiołów polski dom, ulega ruinie. Verstehen? Poprawcie się 1 czerwca.

🔊 Spójrzmy też na wynik wyborów 18 maja bardziej optymistycznie. Bardziej niż ilość liczy się przecież jakość. To prawda, że ponad połowa mieszkańców Tego Kraju zagłosowała przeciw kandydatom rządowym, a poparło ich 40 proc. Nie używajmy tu słów „aż” i „tylko”, bo wiadomo, kim są ci, którzy głosowali na tych Nawrockich, Mentzenów i Braunów. Chcielibyście mieć poparcie od tej faszystowskiej i antysemitkiej biomasy ze wschodu Polski? „Wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami?” – jak mądrze napisał dr Biłewicz, wybitny uczony pracujący dla rządu demokracji walczącej.

🔊 PS Bardzo piękny wpis, ale mamy tu pytanie dla koleżanki z Miasteczka Wilanów: co to są widły?

🔊 Sondażownie nas oszukali! Słuchać takie hasło, bo według nich **Rafał** miał ogromną przewagę nad tym Nawrockim z Gdańska. Wszyscy mieliśmy nadzieję, że będzie „pierwsza tura dla Bązura”. A tu klops. Nie wiemy, co teraz myśleć. Z jednej strony można się

obrazić na sondażownie, ale z drugiej wiemy, że kierują nimi nasi przyjaciele ze strony demokratycznej. Wielu z nich to bojownicy z dawnych lat, zasłużeni działacze młodzieżówek prawdziwie europejskich partii. Z jednej strony jest rozczarowanie, ale z drugiej trudno mieć pretensje o te sondaże, skoro sami je zamawialiśmy i płaciliśmy. A kto płaci, ten wymaga. Cóż, jest jeszcze jedno wyjście z tych dylematów. Posłuchajcie, mamy świetny pomysł: na niczym się nie znamy i nic nie umiemy robić, ale za to lubimy duże i łatwe pieniądze. Czyli mamy znakomite kwalifikacje, aby założyć własną sondażownię. Mamy już fajną nazwę – IDzPW, czyli Instytut Danych z Pupy Wziętych.

🔊 Druzgocące zwycięstwo Rafała ujawniło elementy niepewne po demokratycznej stronie. Teść Naczelnego Symetrysty Kraju (niejakiego Sroczyńskiego), czyli Jacek Żakowski, wezwał, aby premier Polski Uśmiechniętej **Donald Tusk** podał się do dymisji. A niejaki Andrzej Stankiewicz z Onetu, chyba niestety na trzeźwo, powiedział, że premierowi grozi przewrót pałacowy. To znaczy, że najbliżsi jego współpracownicy będą Brutusami, a premier Tusk stanie się Cezarem. W sumie to dziwne, bo zawsze było odwrotnie. To Tusk wbijał nóż w plecy tym wszystkim Płażyńskim, Rokitom i Gilowskim, a niejemu wbijano. Czy jest możliwa aż tak niespodziewana zamiana ról?

🔊 Ceniony przez wszystkich minister sportu i trzeźwego sposobu życia **Stawek Nitras** potępił międzynarodowe sekty religijne za ingerencję w proces wyborczy w Tym Kraju. „Ubolewam, że dużą kampanię prowadziło np. Opus Dei, które jest organizacją między-

narodową, finansowaną całkowicie z zagranicy” – stwierdził trzeźwo minister. Prawactwo, głupio jak zwykle, rzuciło się na ministra, że się skompromitował, bo członkiem Opus Dei jest **Roman Giertych**. Ale jest na to odpowiedź: po pierwsze, to nie musi być to samo Opus Dei, po drugie, jest członkiem, ale się nie udziela. A po trzecie, jest liderem Silnych Razem, a to nie jest Opus Dei.

Więcej prof. Markowskiego i więcej osoby profesorskiej Środy! Wtedy Rafał na pewno wygra wybory. Jakże mądre słowa wypowiedział prof. Markowski (to ten, co ma taką fajną fryzurę w stylu młodego Einsteina). Po imieniu nazwał on motłoch głoszący na tego Nawrockiego z Gdańska: „Mamy jednego kandydata popieranego przez ciężko pracującą Polskę, która przyczynia się do PKB, ciężko pracująca Polska, która ma sukcesy gospodarcze. I z drugiej strony jest Polska, klasy transferowe, która czeka na transfery budżetowe, która sobie nie radzi w gospodarce”. A pani prof. Środa orzekła po wyborach: „My tak naprawdę nie lubimy demokracji, nie cenimy wolności, brzydzimy się równością i tolerancją”. No fakt. My też bardzo nie lubimy, bo te klasy transferowe zawsze wybierają tych, na których nie powinny głosować. I to mimo tego, że elity zawsze im jasno wskazywały, kto może rządzić Tym Krajem, a kto nie.

A teraz czas na krytykę, a dokładniej samokrytykę. Potępiamy koszmarnie ustępstwo strony demokratycznej. Gorszeniż Monachium i format normandzki. Chodzi o debatę w Czysta Woda TV. Kto się zgodził na to, że debatę między naszym Rafałem a tym Nawrockim z Gdańska prowadził ktoś inny niż ambasadorowa Wysocka-Schnepf? Zawsze ją uwielbialiśmy, także za jej bezkompromisowe i wyrafinowane rozmowy ze Szczurkiem albo Piątkiem. Była cudowna, gdy przetrzepała telefon jakiemuś pisiorowi. Synową Maksymiliana i mamę Maximiliana jeszcze bardziej podziwiamy za to, jak rozjechała kryptopisiora Stanowskiego. I teraz strona demokratyczna chce ją nam zabrać. Panie Gorgoszu, panie Sajórze, panie Sygucie! Nie po to płk Sienkiewicz zdobywał gmach na Woro, abyście ustępowali faszystom z PiS.

Kolejny sukces demokracji: Trzecia Droga jest już Piątą Droga. I nie kpijcie, że to przegrana. Po pierwsze – liczy się jakość, a nie ilość. A po drugie – liczą się skojarzenia. Piąta Droga to jak Fifth Avenue. Nowy Jork, perfumy, glamour. Robi wrażenie. Co prawda odkąd u władzy jest premier Tusk, nie zarabiamy tyle, żeby można było kupować takie perfumy, ale najważniejsze jest to, że PiS już nie rządzi. Przy okazji – rozeszły się plotki, że Szymon Hołownia rzuca wszystko w cho-



lerę i chce się wycofać z polityki. Ale jak to? Był taki błyskotliwy, wszystko wiedział najlepiej, mistrz celnej riposty i coś mu nie wyszło w polityce?

O co chodzi z tym Grzegorzem ksywa „Śledziu”? Jest po naszej stronie czy po drugiej? Tak, wszystko już czytaliśmy na ten temat. Wiemy, że ten Nawrocki z Gdańska poręczył za niego i to jest niedobre. Ale wiemy też, że „Śledziu” to zasłużony działacz społeczny z Sopotu, którego zatrudnił prezydent Jacek Karnowski (to jest ten dobry demokratyczny Karnowski, a nie ten niedobry prawacki). „Na początku wzbudzał we mnie przerażenie. Okazało się jednak, że jest słowny, inteligentny. Gdyby wyraстал w innym środowisku, zrobiłby karierę” – mówił pan Jacek o „Śledziu”. I to dla „Gazety Wyborczej”.

Taki człowiek jak Grzegorz to skarb – napisał o „Śledziu” Wiktoria Osiatyńska. Też w „Gazecie Wyborczej”. Na dodatek wiemy, że „Śledziu” był sąsiadem pana premiera Tuska, haratał z nim w gałę, a nawet spożywał alkohol. To co my teraz mamy zrobić z tą wiedzą?

Halo, sztabie Rafała! Odpowiedzcie nam. Mamy atakować czy chwalić „Śledzia”?

Taki człowiek jak nasz poseł Przemek Witek to też skarb. Że też wcześniej nie był znany opinii publicznej. Ale lepiej późno niż wcale. „Cóż szkodzi obiecać” – odrzekł błyskotliwie pan poseł na pozornie podchwytliwe pytanie o to, czy Rafał podpisze jakieś tam pomysły pana Mentzena. A niech podpisuje wszystkie. Przecież wiadomo, że demokratyczna i liberalna polityka nie polega na dotrzymywaniu obietnic wyborcom, którzy nie dorosli do demokracji. „Obietnice polityczne wiążą tylko tych, którzy w nie wierzą” – stwierdził przecież klasyk i niech to będzie dalej motto Polski Uśmiechniętej. Oprócz oczywiście równie ważnych słów, że „dwa razy obiecać to jak raz dotrzymać”.

Populiści i faszyci wykorzystują prawdomówność przeciw demokracji. Odpowiedzią strony demokratycznej musi być odrzucenie prawdomowości jako pojęcia niezgodnego z prawdą, tak, jak my ją rozumiemy. Oto nowy dowód: w Czysta Woda TV premier Donald Tusk jasno powiedział, że nigdy nie był przeciw pushbackom. Osoba redaktorska Dobrosz-Oracz potwierdziła jego słowa, ale prawackie trolle internetowe znalazły stare cytaty, że niby Donald Tusk krytykował pushbacki. Ludzie rozumnie wiedzą, że jest prawda czasu i prawda ekranu. Pushbacki niedemokratyczne i pushbacki demokratyczne. I nie jest prawdą, że nad łózkami dach przeciekał. Szczególnie że prawie nie padało.

Rafał: No i co powiesz? A tak we mnie nie wierzyłeś...

Donald: Wierzyć to ja mogę żonie albo teściowej. Jest, jak jest.

Rafał: No przecież wygrałem!

Donald: Owszem, ale nie bardzo.

Rafał: Co znaczy „nie bardzo”? Trzask, prask i cała Polska na Rafała!

Donald: Umiesz liczyć?

Rafał: Znam to. „Umiesz liczyć, licz na siebie”. Albo na Sławka Nitrasa.

Donald: Miałeś w szkole dodawanie?

Rafał: O co ci chodzi?

Donald: O drugą turę!

Rafał: Jaką drugą turę? Jest jakaś dogrywka?

Donald: Nie wiedziałeś?

Rafał: Nowacka mówiła, ale myślałem, że mnie wkręca...

Donald: Aha. A sztabowcy?

Rafał: Nie odbieram od nich telefonów. Już mnie kilka razy wkurzyli. Żeby dostawać pytania do debaty na dzień wcześniej? Jak ja mam jeszcze pierdylion powiatów do przejechania?! Drugiej tury im się zachciało. To co robimy?

Donald: Ja nie startuję, więc pytanie brzmi: co ty zrobisz?

Rafał: A nie mógłbyś się włączyć?

Donald: Jak się włączyłem, to cała koalicja dostała raptem 40 proc., a Kosiniak-Kamysz już zdążył namówić Hołownię do seppuku. Sam musisz coś wymyślić. Najlepiej, jak przeprosisz.

Rafał: Ale kogo?

Donald: Wszystkich. Lewaków, że udawałeś centrum, centrum – że udawałeś prawaka. Prawaków nie masz po co przeproszać, bo i tak ci nie uwierzą. Ale musisz walczyć. Jak z tym węgorzem.

Rafał: Będę.

Donald: Masz być jak Wałęsa w stoczni...

Rafał: Wjechać motorówką? Da się zrobić! Co drugi esbek ma taką...

Donald: Nie o to chodzi! Masz być jak Kennedy!

Rafał: W Dallas?

Donald: W srallas. Ty wszystko bierzesz dosłownie. Usłyszałeś „świeckie państwo”, już biegniesz ściągać krzyże. Teraz musisz być twardy. Jak de Niro w „Titanicu”!

Rafał: Ale on tam nie grał...

Donald: I ty też masz nie grać. Musisz wreszcie być sobą. To znaczy nie dosłownie, bo ludzie usną po trzech minutach.

Szcześć Bązur

Masz długopis? To notuj. A potem zjedź notatki. Tylko nie tuż przed debatą, bo znowu będziesz mieć minę wiesz jakiego psa...

Rafał: Zbitego?

Donald: Gorzej.

Teraz uważaj. Witasz się: „Szcześć Boże”.

Rafał: Jakie zboże?

Donald: Boże...

Rafał: No co się denerwujesz? Po prostu nie usłyszałem...

Donald: Boże. Szcześć Boże. Tak się witasz.

Rafał: O, Boże...

Donald: Cholera jasna! Nie „o”, tylko „szczęść”! Pomylił się i od razu wiedzą, że nie jesteś swój. Potem weźmiesz gaśnicę...

Rafał: A nie może być koc gaśniczy?

Donald: Nie. Weźmiesz i powiesz, że ty też jesteś za strażakami. I wywalisz całą tę gaśnicę na „Bobasa”.

Rafał: „Bobas” wie?

Donald: Nie może wiedzieć, bo będzie nienaturalny. Powiesz, że w ten sposób odcinasz się od patologii w Platformie Obywatelskiej. Czyli od „Bobasa”.

Rafał: Mocne. „Bobasa” tak zawieje, że zanim go znajdą, będzie po wyborach.

Donald: Dokładnie. I jeszcze powiesz tak: „Chętnie bym się przeszedł na Marsz Niepodległości, gdyby nie szli tam wyborcy PiS. A tak to kibicuję z ratusza i ochraniam rodziny z dziećmi”.

Rafał: Na nacjonalistycznym marszu?
Donald: Że mają flagi? Raz byś ruszył tylek za granicę, to byś wiedział, że tak się dzisiaj robi.

Rafał: Ale tam wołają: „Śmierć wrogom ojczyzny”...

Donald: I co?

Rafał: Ciarki przechodzą po plecach, jak sobie człowiek pomyśli...

Donald: Nie możesz tak myśleć, musisz walczyć...



KRZYSZTOF FEUSETTE

Rafał: Sam mówiłeś, że jak się doda antyrządowych, to wychodzi więcej niż ja z Hołownią i Biejat!

Donald: Nie szkodzi. Walczyć trzeba.

Rafał: A jak się nie uda?

Donald: To powiesz, że w kampanii miały miejsce liczne nieprawidłowości.

Rafał: Jakież?

Donald: Na przykład takie, że na kampanię szły za-graniczne pieniądze.

Rafał: Ale one mnie promowały!

Donald: Promowały, promowały... Co to znaczy „promować” kogoś, jeśli ten ktoś lepiej wypada na debatach bez swego udziału? Niby promowały ciebie, a Nawrockiego z Mentzenem hejtowały, tak? Ale jak się dobrze przyjrzeć z punktu widzenia prawa unijnego, to ciebie promowały aż do znudzenia. Czyli skutek jest odwrotny, bo im więcej ciebie na ekranie, tym mniej poparcia.

Rafał: Aha. Myślisz, że ludzie to łykną?
Donald: Ja myślę, że będzie, co ma być. Natomiast źle by się stało, gdyby twoja osobista przygoda z polityką miała wpłynąć na postrzeganie całej naszej partii.

Rafał: Idą walczyć. Cała Polska!

Donald: Lepiej będzie brzmiało: „Czołem całej Polsce”!

Rafał: To może: „Szcześć Boże tęczywej Polsce”?

Donald: Boże...

Rafał: No przecież mówię: „Boże”...

Donald: ...ty widzisz i nie grzmisz...

Rafał: Czyli że muszę głośniej?

Donald: Zrobimy inaczej. Powiem wszystkim, że jesteś niezależny. I że będziesz mi patrzył na ręce.

Rafał: Ale jak?

Donald: Normalnie. Pokażę ci sztuczkę. Patrz, to jest taka figurka. Mały Rafałek

Rafał: A czemu taki niski?

Donald: Bo miniaturka. I teraz patrz: jest Rafałek, nie ma Rafalka, jest Rafalek...

Rafał: I nie ma. Ale jak ty to robisz?

Donald: No właśnie o to chodzi. Musisz mi patrzeć na ręce...

Sławomir Mentzen, polityk Konfederacji, który podczas pierwszej tury wyborów prezydenckich zajął trzecie miejsce, by pomóc swoim wyborcom podjąć decyzję, jak głosować w drugiej turze, zorganizował na swoim kanale YouTube rozmowy z kandydatami, którzy pozostali w prezydenckim wyścigu. Gdy piszę ten tekst, trwa rozmowa Sławomira Mentzena z Karolem Nawrockim. Spotkanie z Rafałem Trzaskowskim ma się odbyć dopiero w weekend.

Mentzen przygotował dla dwójki kandydatów deklarację z postulatami ważnymi dla jego wyborców. Dokument zobowiązuje przyszłą głowę państwa m.in. do tego, że w przypadku objęcia urzędu prezydenta nie podpisze „żadnej ustawy, która podnosi istniejące podatki, składki, opłaty lub wprowadza nowe obciążenia fiskalne”. Trzaskowski, kandydat Platformy Obywatelskiej, zgadzając się na spotkanie, zapowiedział, że „nie gwarantuje, że cokolwiek podpisze”.

I tu zaczyna się zabawa, bo jeszcze przed spotkaniem Trzaskowski – Mentzen jeden z polityków PO stwierdził, że właściwie obietnice Trzaskowskiego nie mają żadnego znaczenia. Podczas rozmowy z redaktorką Agnieszką Gozdyrą na antenie Polsat News poseł PO Przemysław Witek pozwolił sobie na kuriozalną wypowiedź dotyczącą poparcia dla postulatów Mentzena. Dziennikarka zapytała go o to, który punkt z deklaracji posła Konfederacji mógłby podpisać Trzaskowski. „Nie dla wyższych podatków i nowych obciążeń. Zdecydowanie tak – oświadczył Przemysław Witek. – I co, nie wprowadzicie nigdy już żadnych nowych podatków?” – zdziwiła się Gozdyra. – Cóż szkodzi obiecać?” – odparł z rozbijającą szczerością poseł.

I tak się okazało, że w partii Donalda Tuska bez zmian. Wciąż nie szanują wyborców. Politycy Platformy nigdy nie przywiązywali szczególnej uwagi do składanych obietnic przedwyborczych. Wystarczy przypomnieć rozmowę czółowych polityków PO, którzy kpili z Polaków. W 2015 r. „Gazeta Polska” opublikowała zapis rozmowy Radosława Sikorskiego z Jackiem Ro-

Obiecanki cacanki, a wyborcom radość

Okazało się, że w partii Donalda Tuska bez zmian. Wciąż nie szanują wyborców



wprowadzenia najniższych podatków w historii. A politycy rządzącej koalicji (m.in. minister Dariusz Wiczorek, marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska czy senator Adam Szejnfeld), peregrynując po mediach przy okazji 100 dni rządu, opowiadali, że 100 konkretnych na 100 dni to była przenośnia, że tak naprawdę chodziło o 4 lata.

Także w 2004 r. Platforma zakpiła ze swoich wyborców. Zbierano wówczas podpisy pod projektem referendum w sprawie zmian ustrojowych. Akcja nazywała się „Powiedz 4 razy TAK dla Polski”.

Chodziło o cztery kwestie: zmniejszenie liczby posłów o połowę, likwidację Senatu, zniesienie immunitetu parlamentarnego i wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych. Gdy jednak zebrano ponad 700 tys. podpisów, sprawa ucichła, a podpisy zmielono. Andrzej Olechowski tłumaczył później, że cała akcja to była tylko zabawa: „To były głównie ćwiczenia skierowane do aktywistów partyjnych, żeby nie kisili się w domach, tylko wyszli na miasto i coś robili”.

Posłowi Witkowi trzeba przyznać, że trzeba mieć cojonos, żeby tuż przed drugą turą wyborców prezydenckich przypomnieć Polakom, jak głęboko gdzieś ma swoich wyborców i składane im obietnice Platforma, dla żartu zwana Obywatelską. A przecież Rafał Trzaskowski wciąż jest jej wiceszefem.

Dorota Łosiewicz

**Chiny**

Czy chińska broń jest porównywalna jakościowo lub nawet lepsza od zachodniej? Takie pytanie zaczęli sobie zadawać eksperci oceniający dotychczasowy przebieg konfliktu zbrojnego pomiędzy Pakistanem i Indiami.

W ciągu kilku dni walk lotnictwo pakistańskie używające chińskich myśliwców J-10 (na zdj.) uzyskało – według własnych twierdzeń – pięć zwycięstw powietrznych. I to nie były jakichś, bo udało się – bez strat własnych – zestrzelić dwie maszyny produkcji rosyjskiej oraz trzy francuskie rafale. Indie nie potwierdziły tych doniesień, ale też im nie zaprzeczyły, wskazując w zamian na skuteczność swoich ataków raketowych na bazy przeciwnika.

Pikanterii sprawie dodaje fakt, że francuskie rafale, które zostały zestrzelone, uchodzą za maszyny bardzo nowoczesne, czego nie da się powiedzieć o chińskich J-10 pilotowanych przez pakistańskich lotników. Oczywiście nie były to klasyczne pojedynki z czasów II wojny światowej, Pakistańczycy walczyli na odległość, wystrzeliwując w stronę indyjskich samolotów rakiety – również chińskiej produkcji. Jak się okazało, atak był bardzo skuteczny.

Przebieg starcia bardzo zaniepokoił wojskowych na Tajwanie. Pojawiły się wątpliwości, czy broń, jaką dysponują tajwańskie siły zbrojne, okaże się skuteczna w ewentualnym starciu z Pekinem. Tym bardziej że Chiny oprócz J-10 posiadają flotę znacznie bardziej nowoczesnych maszyn, a ostatnio

Coraz lepsza broń

pochwalili się filmem przedstawiającym lot samolotu bojowego szóstej generacji oraz nowymi okrętami desantowymi oraz nosicielem dronów dalekiego zasięgu.

Sukcesy pakistańskich lotników z zainteresowaniem przyjęły za to państwa rozwijające się, które od dawna są klientami chińskiego przemysłu zbrojeniowego. W latach 2020–2024 eksport chińskiej broni wzrósł trzykrotnie w porównaniu z okresem 2000–2004, a konflikt między Indiami i Pakistanem zapewne poprawi ten wynik.

Sceptycy wskazują jednak, że zwycięstwa powietrzne odniesione przez Pakistan wcale nie muszą wynikać z przewagi chińskiej broni. Zwraca się uwagę, że skuteczność Pakistańczyków mogła wynikać z faktu, że używają oni jednego systemu uzbrojenia, podczas gdy Hindusi mają ich kilka. Co więcej, chińska broń, choć rośnie jej zaawansowanie technologiczne, jest bardzo awaryjna, czego dowodem było uziemienie floty chińskich myśliwców przez Mjanmę z powodu wykrytych pęknięć oraz reklamacje składane przez Bangladesz. Również Pakistan ma nieustanne kłopoty z eksploatacją chińskich fregat.

Nie ma jednak wątpliwości, że w ostatnich latach Chiny zrobiły postęp. Zdaniem ekspertów zdolności militarne Pekinu powoli osiągają dojrzałość.

Konrad Kołodziejcki

Fot. Falcons Spotters/Shutterstock.com

Donald Trump i sekretarz zdrowia w jego administracji Robert Kennedy jr zapowiedzieli walkę z epidemią dziecięcego autyzmu. Dane przedstawione na konferencji prasowej przez amerykańskiego prezydenta są zatrważające: 10 lat temu 1 przypadek tego zaburzenia neurorozwojowego przypadał w USA na 10 tys. dzieci, a teraz – na 36 dzieci. Stało się to także plagą globalną, ponieważ według danych WHO na świecie współczynnik ten wynosi obecnie 1 na 88.

To problem, którego nie można dłużej ignorować, tym bardziej że ma on negatywne skutki dla zdrowia narodu. Ludzie ze spektrum autyzmu mają trudności w komunikacji i interakcjach społecznych, problemy w wyrażaniu siebie i zrozumieniu innych, a także ograniczony repertuar zachowań, zainteresowań i aktywności.

Walka z epidemią autyzmu

USA

Pierwszym wyzwaniem, które stoi przed władzami USA, jest zdiagnozowanie przyczyn tego zjawiska, ponieważ naukowcy do tej pory nie potrafili odpowiedzieć na pytanie, co spowodowało tak radykalny wzrost występowania zaburzenia. Dotyka ono dzieci niezależnie od ich koloru skóry, pochodzenia etnicznego, statusu społecznego, dochodu rodziny czy stylu życia (jedyna różnica dotyczy płci – autyzm występuje cztery razy częściej u chłopców niż u dziewcząt). W ostatniej dekadzie musiało się zatem wydarzyć coś, co wpłynęło na

najmłodsze roczniki, jednak badacze nie wiedzą, co to może być. Jedną z teorii, którą chce sprawdzić Robert Kennedy jr, mówi, że powodem epidemii może być obecność toksycznych składników, zwłaszcza rtęci i aluminium, w szczepionkach pediatrycznych.

Inna z hipotez wskazuje na nadmierne korzystanie z laptopów i smartfonów. W myśl tej teorii wiele osób miało mieć ukryte skłonności do autyzmu, które pozostałyby jednak uśpione i nigdy by się nie rozwinęły, gdyby nie codzienna wielogodzinna ekspozycja na przekaz internetowy wpływająca na kształtowanie dziecięcych mózgów. Niezależnie od tego, co jest przyczyną owej plagi, przed nauką stoi wielkie wyzwanie. A problem dotyczy również Polski.

Grzegorz Górny

Nielegalne „złote wizy”

Malta



Rząd Malty nie zamierza się podporządkować orzeczeniu Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości (ETS), który stwierdził, że realizowany przez lata program „złotych wiz” dla przyjezdnych spoza Unii Europejskiej jest nielegalny.

Lewicowy premier Malty Robert Abela uważa, że werdykt ETS stanowi kolejny dowód na to, że brukselska biurokracja „w sposób systematyczny” dąży do osłabienia jego kraju. W oświadczeniu maltańskiego rządu podkreślono, że „kwestie związane z obywatelstwem leżą wyłącznie w sferze kompetencji państw członkowskich” i nie powinny być przedmiotem interwencji Brukseli.

Reguły programu „złotych wiz” przewidują, że cudzoziemiec spoza Wspólnoty Europejskiej musi zainwestować na Malcie, np. nabywając lub wynajmując nieruchomość o wartości co najmniej 600 tys. euro i przeznaczyć 10 tys. euro na cele dobroczynne. Musi też mieszkać na wyspie przez trzy lata, ale wymóg ten podlegał negocjacji z władzami i mógł być skrócony do jednego roku w zamian za większe inwestycje.

ETS uznał, że program ten umożliwi zamieszkanie oraz

pracę w każdym kraju Wspólnoty i jest w istocie czystą transakcją handlową pozwalającą cudzoziemcom spoza Unii kupić sobie prawo pobytu na jej terenie. Jednym z uzasadnień tego stanowiska była niezwykle elastyczność władz Malty, a także niezbyt wyśrubowane kryteria przyznawania obywatelstwa w zamian za inwestycje.

Maltańskie „złote wizy” stały się przebojem wśród rosyjskich oligarchów średniego kalibru chcących legalnie mieszkać i pracować w Unii Europejskiej, a mechanizm negocjowania warunków uzyskania obywatelstwa był jednym z argumentów ETS, że w istocie władze Malty handlowały tego rodzaju prawami, ustalając z zainteresowanymi cenę paszportu.

Od 2015 r., kiedy Malta wprowadziła „złote wizy”, opłaty za ich uzyskanie dały budżetowi tego niewielkiego państwa 1,4 mld euro, co wyjaśnia opór władz przed likwidacją programu. W rozmowie z dziennikarzami „The Malta Independent” Abela powiedział, że jego rząd nie zrezygnuje z polityki przyznawania obywatelstwa w zamian za inwestycje, lecz co najwyżej zmodyfikuje jego zasady, starając się przyjąć rozwiązania stosowane w innych krajach europejskich. **✓**

Marek Budzisz

Gorzki smak słodczy

Kontrolowana przez Indonezję zachodnia część wyspy Nowa Gwinea jest brutalnie niszczone przez władze w Dżakarcie i wielkie korporacje – twierdzą rdzenni mieszkańcy tych obszarów. Nawołują oni do bojkotu słodczy i kosmetyków produkowanych przez koncerny, takie jak Mondelez, Nestlé oraz Procter and Gamble.

Wszystkie te produkty zawierają olej palmowy i są wytwarzane, jak twierdzą Papuasi, przez firmy, które pozyskują składnik bezpośrednio z Nowej Gwinei, gdzie tysiące akrów lasów deszczowych jest wycinanych pod wielkie farmy. „Wiąże się to z naruszeniami praw człowieka, przede wszystkim dlatego, że Papuasi są przemocą zmuszani do opuszczenia ziemi, na której mieszkali przez tysiące lat” – twierdzi Raki Ap, rzecznik Zjednoczonego Ruchu Wyzwolenia Papui Zachodniej. Jego zdaniem rządy sprawowane przez Indonezję mają charakter kolonialny.

Zachodnia część wyspy (znana wcześniej pod nazwą Irian Zachodni) przez kilka stuleci była częścią Holenderskich Indii Wschodnich, ale w 1963 r. terytorium zostało przekazane pod kontrolę Indonezji. We wschodniej połowie wyspy znajduje się niepodległa Papua Nowa Gwinea.

W indonezyjskiej Papui znajdują się liczne bogactwa naturalne, w tym największa na świecie kopalnia złota i miedzi, a także rozległe złoża gazu ziemnego, minerałów i drewna. Teraz ma do tego dołączyć największa na świecie plantacja oleju palmowego oraz uprawy trzciny cukrowej i biopaliw. Nowe inwestycje wiążą się z gigantycznym planem wylesiania i – jak podkreślają tubylcy – z masowymi wysiedleniami. Papuasi twierdzą, że w ciągu sześciu dekad indonezyjskiej władzy zginęło ponad 500 tys. rdzennych mieszkańców, a miliony akrów ich ziem zostało zniszczonych dla zysku.

Indonezja

„Stanowisko Zachodnich Papuasów jest bardzo jasne: jesteśmy współczesną kolonią” – powiedział Raki Ap i zaapelował o bojkot produktów firm, które korzystają na wyzysku tubylców. Zainteresowane koncerny zbyły apel milczkiem lub zdawkowymi oświadczeniami. **✓**

Konrad Kotodziejski



ETS2, czyli jak ugotować Europejczyka na wolnym ogniu

Eksperci wyliczają, że w skrajnym scenariuszu podatek wliczony w cenę litra benzyny może przekroczyć 40–50 eurocentów, a rachunki za ogrzewanie gazowe wzrosną nawet o 25–30 proc.



Bruksela ciągle to robi. W imię walki o klimat wprowadza kolejne absurdalne podatki i coraz większe ograniczenia.

Tym razem opowiem państwu o nowym systemie handlu emisjami – ETS2 – tym razem dla transportu drogowego i budynków. Krótko mówiąc: zapłać za oddychanie. A jeśli masz samochód i nie mieszkasz w jaskini, przygotuj się na nową formę opodatkowania codziennego życia. Kosztowną, bezlitosną i kompletnie oderwaną od rzeczywistości.

ETS2 nie wziął się znikąd. To młodszy brat EU ETS – tego samego systemu, który przez lata miał motywować przemysł do „zielonej transformacji”, a w praktyce doprowadził do drastycznych wzrostów kosztów produkcji, ucieczki inwestycji poza Unię Europejską i rekordowych zysków... instytucji finansowych handlujących uprawnieniami jak spekulacyjnym towarem. Teraz zamiast reformy tego chorego mechanizmu dołożono nową warstwę absurdu.

Według założeń ETS2 każda tona CO₂ emitowana przez domowe ogrzewanie czy samochody osobowe ma kosztować. Niesymbolicznie – konkretnie. Eksperti wyliczają, że w skrajnym scenariuszu podatek wliczony w cenę litra benzyny może przekroczyć 40–50 eurocentów, a rachunki za ogrzewanie gazowe wzrosną nawet o 25–30 proc. Oczywiście wszystko to „dla dobra planety”, ale z konta i tak ściągną realne pieniądze, a nie certyfikaty moralnej wyższości.

Największy problem? Nikt nie kontroluje tego szaleństwa. Ceny uprawnień są ustalane na rynku, który bardziej przypomina kasyno niż narzędzie polityki klimatycznej. Gracze? Fundusze inwestycyjne, banki, spekulanci – wszyscy, którzy z ekologią mają tyle wspólnego, co wilk z wegetarianizmem. To oni windują ceny, odcinając kupony, gdy europejski przemysł kona, a obywatele zaciskają pasa.

Tymczasem Komisja Europejska milczy. Przyznać się do błędu? Przenigdy! ETS to przecież „europejski sukces”, „mechanizm rynkowy” i „kluczowy element neutralności klimatycznej”. A że ten sukces oznacza upadek energochłonnego przemysłu, exodus firm do Stanów Zjednoczonych i Azji oraz rosnące niezadowolone społeczeństwo? Cóż, kolateralne skutki zrównoważonego rozwoju.

Wszyscy widzą, że system wymaga pilnej reformy. Potrzeba natychmiastowego wykluczenia instytucji finansowych z handlu uprawnieniami, ETS powinien być narzędziem przemysłu, a nie Wall Street. Potrzeba wprowadzenia limitów cenowych i realnych buforów dla odbiorców indywidualnych. I przede wszystkim: potrzebujemy odwagi politycznej, by powiedzieć to głośno.

Bo jeśli nie, czeka nas ETS3: Europejski Teatr Społeczny trzeciego aktu. W roli głównej: bezrobotni hutnicy, zdesperowani kierowcy i zamarzający emeryci. W tle: urzędnicy, którzy dalej będą obradować przy ekologicznym lunchu z cateringu za 180 euro dziennie, oczywiście zbilansowanym pod względem emisji.

Właśnie tak wygląda zielony absurd w wydaniu europejskim: ratujemy klimat, topiąc własne społeczeństwo. I tylko jedno pytanie wisi w powietrzu: kto pierwszy zapali światło, zanim i ono nie zostanie opodatkowane.

Daniel Obajtek

Droga do dobrobytu czy zwijanie Polski?



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**


W najbliższą niedzielę będziemy decydować o tym, czy Polska ma być bezpiecznym, ambitnym, rozwijającym się państwem przyciągającym inwestorów i turystów, czy przekształcić się w ogarnięty chaosem region zarządzany przez Brukselę, a właściwie przez Berlin, administrowany przez ojkofobów propagujących mikromanię i samozaoranie tysiącletniego dorobku narodu polskiego.

W II turze wybierzemy wolność słowa albo knebel w postaci zbioru przepisów o mowie nienawiści oraz Europejskiej Tarczy Demokracji. Głosując, opowiemy się za suwerennością energetyczną i niskimi cenami energii lub za ich sztucznym zawyżaniem za pomocą paropodatków ETS, utratę konkurencyjności polskiej gospodarki i wprowadzaniem nas w stan zagrożenia blackoutem. Zdecydujemy, czy pozwolimy na masowe wywłaszczenie Polaków za pomocą dyrektywy budynkowej i przyzwalaniu na masowy wykup nieruchomości przez zagraniczne fundusze. Wybierając kandydata wspieranego przez lewicową międzynarodówkę, skazemy nasze dzieci na systemową deprawację, aborcję, eutanazję, czyli cywilizację śmierci, zamiast zapewnienia im harmonijnego rozwoju i rzetelnej edukacji bazującej na triadzie dobra, prawdy i piękna. Głosując, zagwarantujemy sobie bezpieczeństwo żywnościowe albo wyeliminujemy polskie rolnictwo, otwierając nasze granice na importowaną żywność wątpliwej jakości.

Wrzucając swój głos do urny, potwierdzimy swój sojusz cywilizacyjny, militarny i gospodarczy z największym światowym mocarstwem – Stanami Zjednoczonymi lub wepchniemy Polskę w strefę zgniotu pomiędzy Niemcami a Rosją. 1 czerwca pozwolimy na dalszy napływ nielegalnych migrantów, których obecność już dzisiaj stanowi zagrożenie dla naszych dzieci, kobiet, przytakniemy uruchomieniu w naszym kraju zaplanowanego na dekady procesu podmiiany społeczeństwa z narodu o pięknej, tysiącletniej historii w tygiel zdominowany przez muzułmańskie prawo szariat albo ochronimy swoje bezpieczeństwo i swoją tożsamość. Wybierając prezydenta, oddamy nasze siły zbrojne, szkolnictwo, opiekę zdrowotną, edukację, rolnictwo, lasy pod dyktando Niemiec albo będziemy budować międzynarodowe sojusze blokujące plany przekształcenia Unii Europejskiej w państwo, w którym praktycznie nie będziemy mieli nic do powiedzenia.

Przykładem doskonale obrazującym wybór, przed którym stają wszyscy uprawnieni do głosowania, jest stosunek aktualnej władzy m.in. do Centralnego Portu Komunikacyjnego. Kandydat na

prezydenta wysunięty przez środowisko Donalda Tuska zasłynął ze stwierdzenia, że projekt CPK to megalomania, i pytania: „Po co nam CPK skoro mamy lotnisko w Berlinie?”. Chyba tylko protesty społeczne sprawiły, że obecny rząd całkowicie nie skasował tej inicjatywy, ale okroił ją tak znacznie, że w istocie w aktualnych planach nie może być już postrzegana jako epokowy lewar dla polskiego rozwoju i konkurencyjności. Zamiast tętniącego życiem hubu stanowiącego serce gęstej sieci połączeń kolejowych pokrywających wszystkie regiony Polski na mapie pozostał kadłubek z dwoma kikutami linii kolejowych. Taki obrazek doskonale pasuje do najnowszych danych, z których wynika, że w 2024 r. napływ inwestycji zagranicznych do RP spadł o 55 proc., a więc najniższy od 2017 r.

Wysokiej jakości infrastruktura transportowa jest warunkiem zrównoważonego wzrostu gospodarczego i utrzymania konkurencyjności w rozwiniętej gospodarce. Międzynarodowa konkurencyjność jest napędzana przez wzrost produktywności, który jest wspierany przez handel, inwestycje zagraniczne i działalność innowacyjną, a wszystko to jest ułatwione przez transport. Wzrost największych miast świata bez wątplenia pozostaje związany z ich pozycją w światowych sieciach transportowych. Bezprecedensowy sukces Dubaju jest bezpośrednio powodowany jego statusem w światowej sieci lotniczej. Istnieje silna korelacja między rozbudową sieci kolejowych a wzrostem gospodarczym. Lotnicze huby dysponujące gęstymi sieciami połączeń kolejowych są drogą do dobrobytu. Wybory 1 czerwca mogą stać się pierwszym krokiem do jej rozbudowy. Nie zmarnujmy tej szansy. 



Naszemu Koledze

KAMIŁOWI KWIATKOWI

oraz całej Jego Rodzinie

*przekazujemy wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci*

TATY

*W tych trudnych chwilach zapewniamy
o naszej modlitwie i pamięci*

*Redakcja portalu wPolityce.pl
oraz Zarząd i pracownicy Grupy Medialnej Fratria*



Walizka

Łucji Nalerwajk

prezenterki pogody w Polsce24

Najczęściej podróżuję między Warszawą a moim rodzinnym Kadzidłem, miejscowością uznawaną za stolicę Kurpi. Przez lata tańczyłam w zespole folklorystycznym, z którym jeździłam po Polsce i świecie, promując kurpiowską kulturę ludową. Moim marzeniem było zostanie aktorką musicalową, a zamiłowanie do muzyki zaszczylił mi mama (miłośniczka poezji śpiewanej) i tata (fan muzyki rockowej). Wprawdzie moja ścieżka zawodowa poszła w innym kierunku, regularnie wyjeżdżam na koncerty w całym kraju, żeby oglądać na żywo moich ulubionych artystów. Sama też kiedyś śpiewałam. Z perspektywy czasu podróże do znalezienia tego, co chcę robić zawodowo, były najciekawsze i mam nadzieję, że w przyszłości będzie ich więcej.



KSIAŻKI

Od dziecka kocham książki. Na początku czytali mi rodzice, ale gdy tylko sama się nauczyłam, zbiory w mojej biblioteczce zaczęły się szybko powiększać. Nie mam

jednego ulubionego gatunku. Czerpię przyjemność z czytania literatury pięknej, a także kryminałów i powieści science fiction.



SŁUCHAWKI

Muzyka towarzyszy mi cały czas. Gdy siedzę przy komputerze, zawsze mam założone słuchawki. Ściągam je do studia i zastępuję studyjną słuchawką, dzięki której mam połączenie z reżyserką.





TABLET DO MAP POGODOWYCH

Musimy na bieżąco sprawdzać, co się dzieje w świecie pogody. Cały czas dostajemy aktualizacje i nowe komunikaty, bo pogoda potrafi zaskoczyć. Ocieplenie klimatu stwarza np. warunki do zakładania w Polsce dużych winnic.



LOKÓWKA

Jeżeli ktoś ogląda wPolsce24, zauważy, że zawsze mam kręcone włosy, ale naturalnie są one proste. Tak bardzo przyzwyczałam się do loków, że gdy przychodzę do pracy, dziewczyny z charakterystyki na początek uruchamiają lokówkę.



KOSMETYCZKA

Mam kosmetyki nie tylko do makijażu, lecz także do demakijażu. Ponieważ make-up jest nieodłączny, prywatnie wolę, żeby moja skóra odpoczywała i na wyjazdach się nie maluje.



SZPILKI

Czy ktoś kiedyś widział pogodynkę bez szpilek? Jedna para to za mało, ale po pracy chętnie zakładam trampki.



BILETY

Kocham koncerty i festiwale muzyczne. Obserwowanie artystów na żywo jest czymś więcej niż zwykłym słuchaniem muzyki, dlatego kiedy tylko mogę, korzystam z szansy. Już teraz ostrzę sobie zęby na koncert japońskiej grupy rockowej One Ok Rock, który odbędzie się w październiku.



**Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun**



RODZINNE ZDJĘCIA

Nie wyobrażam sobie, żeby codziennie nie porozmawiać przynajmniej z jednym członkiem mojej rodziny: moją młodszą siostrą, bratem czy rodzicami. Zawsze mi pomagają, wiedzą, jak mnie pocieszyć w sytuacjach kryzysowych. Jestem prawdziwą szczęściarą.

KOTY

Mam dwa koty rasy europejskiej (czytaj: dachowce): Melisę i Ziutę. Fundują mi skrajne emocje, bo potrafią być bardzo nieznośne, ale nie wyobrażam sobie dnia bez ich mruczenia.



POGODYNKOWY KUBECZEK

Dzień zaczynam zazwyczaj o godz. 4:30, a stanąć na nogi pomaga mi kawa, która w ciągu dnia nie kończy się na jednym kubku.



BUDZIK

Należę do osób, które trudno wybudzić, więc mój telefon ma ustawione z 10 alarmów, które co minutę podejmują się tego karkołomnego zadania.



I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Dynamiczny rozwój nędzy

Jan
Pietrzak

Oto rządowa perspektywa dla Polski. Mam nadzieję – a piszę ten felieton między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich – że finalne zwycięstwo Karola Nawrockiego zahamuje degradację naszego kraju, lecz niestety jej nie zatrzyma. Jeżeli obecny rząd pozostanie w Al. Ujazdowskich, będzie mocno utrudniał prezydentowi przywracanie nadziei na „normalność”. Rząd ma znacznie większe możliwości administracyjne i finansowe niż prezydent.

Gabinet Tuska przez półtora roku udowodnił, że w dziele niszczenia przeskoczył wszelkie prognozy. Zatrzymać zgubne poczynania tuskoidów może jedynie zmiana tego beznadziejnego towarzystwa en masse. I to jest powód, dla którego nawet takim staruszkom jak ja chce się wygrzebać z łóżka i pisać, działać, występować na mitingach... bo mamy tylko dwa tygodnie na uratowanie Polski przed okupacją. A więc wszystkie ręce na pokład, wszystkie siły dla OJCZYZNY!

Brzmi to nieźnośnie patetycznie, ale bardziej nieźnośna będzie niewola pod niemieckim butem, którą nam szykują brukselskie elity. Samo zadłużenie Polski na niebotyczne sumy jest celową akcją typu „skok stulecia” na 500 t złota uzbieranego przez prezesa Glapińskiego.

Furtka do niepodległości nie otwiera się zbyt często. Kto jak kto, ale Polacy powinni o tym pamiętać. Można tu sięgnąć po analogię sportową, kiedy drużyny otrzymują okienko transferowe i dzięki wymianie zawodników mogą przeskoczyć

do wyższej ligi, na mistrzowski level. Ponieważ jestem przekonany, że Karol Nawrocki zwycięży, namawiam gorąco, by szedł za ciosem, by z marszu podejmował decyzje przywracające konstytucyjne obowiązki organów państwa.

Teoretycznie sprawa wydaje się prosta, bo przecież wystarczy unieważnić bezprawne decyzje rządu, przywracając *status quo ante*. W praktyce nie będzie łatwo, ale należy próbować, nie ustępować przed najazdem cudzoziemców. Bronić polskiej granicy za wszelką cenę! Nie lekceważyć żadnego najeźdźcy. Pakt imigracyjny tajnie zawarty przez jakiegoś Tuska nie obowiązuje Polski. Np. Niemców nie obowiązują reparacje wojenne wynikające z międzynarodowych konwencji. Tak sobie ustalili sami ze sobą. Kiedy kolejny kanclerz przyjechał z wizytą, oświadczył nam w pierwszych słowach, że ta sprawa jest zamknięta. Zamknąć sprawę zamordowania milionów Polaków może tylko państwo ofiar, a nie spadkobiercy mordców. To jest proste, oczywiste i nieodwołalne!

Przy okazji – żadne głązy narzutowe w Berlinie, gdzie miał stanąć pomnik „przyjaźni polsko-niemieckiej”, nas nie obchodzi. To nie jest gest dobrej woli – to są kpiny. Jak wiadomo, po powstaniu warszawskim Hitler wydał rozkaz, by po naszej stolicy nie został nawet kamień na kamieniu. Czy berliński głaz ma upamiętniać groźbę tamtego rozkazu! /

Trauma

Zniemałym zaskoczeniem została odebrana ofensywa medialna Donalda Tuska, który uznał, że wobec kłopotów Rafała Trzaskowskiego i nieudolności jego sztabu wejście do gry i zacznie pojawiać się w Sejmie czy w mediach. Zdziwienie wynika z faktu, iż ocena działań gabinetu po 1,5 roku jest gorsza niż opinie na temat rządu Prawa i Sprawiedliwości po 8 latach i tak intensywnej operacji nienawiści, że każda inna ekipa już dawno musiałaby się pakować.

Czy Tusk jest ślepy na nastroje społeczne, czy tak bardzo zakochany w sobie? Być może jedno i drugie, ale podejrzewam, że przyczyna jest inna. Rafał Trzaskowski był w kiepskim stanie już w Końskich, o czym świadczy nie tylko jego zachowanie w trakcie własnej debaty robionej przez TVP w likwidacji, lecz także wynajęcie psychologa, który miał go emocjonalnie „rozmasować”. Nie wiem, czy dalej korzysta z takiego wsparcia, ale nie ulega wątpliwości, że z każdym miesiącem sytuacja prezydenta Warszawy stawała się coraz trudniejsza, a z kłopotami wróciła pamięć wszystkiego, co wydarzyło się pięć lat temu. Przecież

to wtedy, mając dużo większe szanse niż cała reszta (wymieniając kandydatkę na kandydata, PO zamieniła wyścig w sztafetę), przegrał z Andrzejem Dudą, a teraz ma w perspektywie kolejną porażkę w wyborach prezydenckich.

Kto bardzo dobrze wie, jak boli taka porażka? Donald Tusk, który po 2005 r. już nigdy nie zdecydował się na powtórny start w wyścigu prezydenckim. Teraz widząc, co się dzieje z jego politycznym „synkiem”, postanowił otoczyć go opieką, pokazać, że stoi za nim, zmobilizować. Czy to zadziała? Być może to ostatnia deska ratunku i widok „taty”, który udaje się do mediów, by go bronić i chwalić, pozwoli mu wyzwolić się z politycznego marazmu. Tylko jaka to walka i jaka obrona, jeśli Donald Tusk idzie do swoich mediów, gdzie może liczyć na taryfę ulgową, a nie na teren „wroga”? Trzaskowskiemu tyle musi wystarczyć, bo na więcej już nigdy nie będzie ich stać. /

Samuel
Pereira

Kaganiec na prawicę – plan Trzaskowskiego i Tuska

Jesteśmy po pierwszej turze wyborów. Wyniki wskazują, że punkty zebrali kandydaci, którzy kontestują obecną władzę w Polsce i Unii Europejskiej. Karol Nawrocki z wysokim poparciem, Sławomir Mentzen uzyskał doskonały wynik, Grzegorz Braun zaskoczył nawet sceptyków. To jasny sygnał: Polacy mają dość lewicowego wariactwa, ideologicznych inżynierii, klimatycznych absurdów i zamachów na polską suwerenność.

Ale to dopiero pierwszy krok. Teraz stajemy przed wyborem: czy zbudujemy wspólny front wolnościowy, czy oddamy Polskę w ręce tych, którzy marzą o państwie policyjnym dla patriotów i państwie bez granic dla obcych interesów.

Rafał Trzaskowski to zastępca Tuska – człowieka, który z obecnego rządu i pro-

kuratury zrobił pancerfaust wymierzony w konserwatywną Polskę. Tusk dziś nie kandyduje, ale każdy, kto zna jego sposób działania, wie, że to on rządzi sztabem Trzaskowskiego. Ich program to jedynie realizacja niemieckich i brukselskich instrukcji. Nie ma w nim miejsca dla nikogo, kto nie śpiewa unijnym głosem.

Zwycięstwo Trzaskowskiego to ryzyko nie tylko ideowe, lecz także realna groźba delegalizacji partii opozycyjnych wobec niemiecko-brukselskiego układu, w którym Trzaskowski ma pełnić tylko funkcję i mieć rolę do odegrania. To wizja naszego kraju, w którym za sprzeciw wobec „uśmiechniętego” reżimu, waluty euro, Zielonego Ładu czy tęczowej propagandy trafia się przed oblicze upolitycznionego prokuratora.

Tymczasem wyborcy niepopierający obecnej władzy to nie ekstremiści, ale ludzie, którzy chcą normalności. Wiedzą, że Polska potrzebuje CPK, a nie niemieckich hubów. Chcą złotego, nie euro. Pracy, nie jałmużny. Suwerennego państwa, nie unijnego landu. Dlatego mam głębokie przekonanie, że naturalnym wyborem dla nich wszystkich będzie Karol Nawrocki – kandydat, który nie tylko rozumie te wartości, lecz także jest gotów ich bronić, co zresztą pokazał w rozmowie na kanale lidera Konfederacji. Jego program to rozwój, suwerenność i wolność.

Dziś nie chodzi tylko o to, kto zostanie prezydentem. Chodzi o to, czy Polska pozostanie krajem wolnych ludzi. Jeśli Trzaskowski wygra – system się zamknie. Także dla tych, którzy dziś jeszcze się wahają, na kogo oddać głos.

Arkadiusz Mularczyk



Kto jest podpalaczem, kto wręcza zapalniczki?

Z reżyserem **Janem Holoubkiem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadzworna

Debiutuje pan jako reżyser Teatru TV. Czym jest dla pana ta scena?

Jan Holoubek: Klasyczny teatr pozostaje raczej poza kręgiem moich zainteresowań, natomiast w Teatrze TV poza tekstem i aktorską interpretacją jest też kamera, jej filmowa optyka. Dla mnie jako reżysera to bardzo ciekawy format (wcześniej pracowałem przy kilku telewizyjnych spektaklach jako autor zdjęć). Pochodzę też z rodziny mocno związanej z tą instytucją. Doceniam każde spotkanie z nią.

Sztukę szwajcarskiego dramaturga Maxa Frischa „Biedermann i podpalacze” (napisaną w 1953 r. jako słuchowisko i cztery lata później adaptowaną na scenę) da się dziś odczytać na wiele sposobów, a nawet skrajnie zinterpretować. Każdy widz może lub powinien znaleźć własny klucz?

Taki był mój cel. Nie chcę wskazywać, kto jest podpalaczem, a kto wręcza zapalniczki. Mam na ten temat swoje zdanie, jak się okazało, inne nawet od opinii odtwórcy tytułowej roli Andrzeja Seweryna, mimo

że robiliśmy ten sam spektakl. Rodzaj konfliktu społecznego, który przejawia się w sztuce Frischa, jest aktualny, choć nie tak dosłownie jak w sytuacji, w której opisywał go autor – tuż po wojnie, po Norymberdze. Dziś czasy nie są dobre, nie są bezpieczne. Potrzeba mobilizacji, żeby nie zapłonęły.

Spektakl będzie miał telewizyjną prapremierę 26 maja, w Dniu Matki. Zaprosił pan Magdalenę Zawadzką na specjalny pokaz.

Mama zna moją twórczość kinową, serialową. Realizacja dla Teatru TV jest przeniesieniem się w nowy wymiar, inną formę. Było dla mnie ważne, by zobaczyła ten spektakl.

Czy w Teatrze TV czuje się pan – bardziej niż gdzie indziej – dzieckiem swoich rodziców?

Życie w aktorskim domu, bywanie od małego w teatrze (nawet jeśli się tam nudziłem) na pewno jest dla reżysera handicapem, ale z dziećmi znanych ludzi różnie bywa. Raz im się udaje, a raz nie. Mnie chyba się udało. /



Domykanie układu

Wyniki I tury wyborów prezydenckich pokazują, że wahadło zdecydowanie odbiło w prawą stronę. Po zsumowaniu rezultatów osiągniętych przez konserwatywną i ultrakonserwatywną pravicę (Karol Nawrocki, Sławomir Mentzen, Grzegorz Braun, Marek Jakubiak) – razem 51,4 proc. – kłęska koalicji zgrupowanej wokół Rafała Trzaskowskiego wydaje się nieunikniona. Kandydat obywatelski może jeszcze czerpać z zasobów przyjaznego mu Krzysztofa Stanowskiego, ekonomicznego patrioty Artura Bartoszewicza i zawiedzionych wyborców Trzeciej Drogi (PSL)! Nie wierzę, aby cały ten elektorat głosował masowo za LGBT+, Zielonym Ładem, przymusową relokacją migrantów, zerwaniem sojuszu z USA czy oddaniem naszego bezpieczeństwa Niemcom.



Polska opozycja nie powinna jednak wpaść w przedwczesny triumfalizm (*vide*: rozstrzygnięcie elekcji w Rumunii). Mimo rewelacyjnej pierwszej tury George'a Simiona wybory prezydenckie wygrał tam ostatecznie Nicușor Dan, kandydat forsowany przez Unię Europejską. Również u nas możemy się spodziewać fali medialnego hejtu, obłudy, kłamstwa i bezczelnych „cudów nad urną”, które w znacznie mniejszej skali przerażaliśmy już wcześniej. Mam nadzieję, że społeczny Ruch Kontroli Wyborów potrafi dopilnować prawidłowego liczenia głosów, a międzynarodowy monitoring (USA, CPAC) nie pozwoli na bezczelne „skręcenie” ostatecznego wyniku.

Jeśli tak się nie stanie, czeka nas dramatyczna powtórka z historii: utrata suwerenności, wolności i bezpieczeństwa. Polacy głosujący 1 czerwca 2025 r. mogą się obudzić w zupełnie innej rzeczywistości, pełnej przemocy, strachu i biedy. Zarówno realisci, jak i wyznawcy Zielonego Ładu będą marznąć na „płonącej planecie”, jeść kotlety ze swierszczy i doskonalić się w migracyjnym survivalu. Pobudzone edukacją nastolatki poszukają prawdziwej miłości w darknetcie. Zdeklarowani pacyfiści zmuszeni będą ginąć na nie swoich wojnach. A nieliczne nowe pokolenie przeklnie swoich rodziców. **Lech Makowiecki**

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

MINISTERSTWO ZDROWIA ZAPROSIŁO DZIENNIKARZY NA KONFERENCJĘ PRASOWĄ NA TEMAT PROJEKTU SZEROKIEJ NOWELIZACJI USTAWY REFUNDACYJNEJ, UŻYWAJĄC SKRÓTU „SZNUR”. PO LAWINIE ZŁOŚLIWYCH KOMENTARZY NAZWA PROJEKTU ZOSTAŁA ZMIENIONA NA „SZAFOT”, CZYLI SZEROKA AKTUALIZACJA FINANSOWANIA OPERACJI I TERAPII.



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGÓRZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA,
MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁĄBECKA, ANIA.LĄBECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
WWW.SIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAŻ@FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEMALOWIOWYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMIOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNA.

WYDARZENIA **PBC** **PALETA**

FOT. GRZEGÓRZ WALDA REPORTER, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, WALDEMAR KOMPATYV, SHUTTERSTOCK/MARCO IACUBUCCI EPI, SWIWO, TOMASZ WARSZAWSKI

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

*Dane do przeliczeń w stopce redakcyjnej



Fot. Krzysztof Galiński

*Fundacja Stefczyka wspiera
piłkarzy ręcznych z Białej Podlaskiej*

To realna pomoc dla mniejszych ośrodków

W świecie sportu łatwo dostrzec kluby z największych miast – te, które regularnie goszczą na czołówkach portali informacyjnych, mają szeroką widownię i medialne wsparcie. Trudniej zauważyć zespoły, które funkcjonują z dala od światła reflektorów, często bez szerokiej promocji, ale za to z ogromnym zaangażowaniem lokalnej społeczności. Jednym z takich klubów jest Akademicki Klub Piłki Ręcznej AZS AWF Biała Podlaska

Odlat występuje on w Lidze Centralnej, czyli na drugim szczeblu rozgrywek w Polsce, nieprzerwanie rozwijając sportową pasję wśród młodych ludzi. W tym wysiłku towarzyszy mu Fundacja Stefczyka – partner, który rozumie, jak istotne jest wspieranie ambitnych, choć mniej widocznych drużyn z mniejszych miast.

Biała Podlaska to ośrodek akademicki – funkcjonuje tutaj filia Akademii Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie. To właśnie przy tej uczelni działa klub AZS AWF łączący edukację i sport w duchu akademickim. Choć miasto nie znajduje się w centrum wydarzeń medialnych, a mecze szczypiornistów nie są transmitowane w ogólnopolskich stacjach, nie zmienia to faktu, że klub odgrywa bardzo ważną rolę: daje młodym sportowcom szansę na

rozwój, współtworzy lokalną tożsamość i promuje zdrowy styl życia.

To, co czyni wsparcie Fundacji Stefczyka tak istotnym, jest jego uczciwość i długofalowość. Pomoc nie jest tu kalkulacją opartą na marketingowym ekwiwalencie, nie chodzi o natychmiastowy zysk z reklam czy transmisji w masowych mediach. Wręcz przeciwnie – klub AZS AWF Biała Podlaska nie trafia codziennie na paski informacyjne ogólnopolskich portali, ale jego obecność w lokalnym krajobrazie sportowym ma ogromne znaczenie. To właśnie tu, w mniejszych ośrodkach, rodzi się codzienny, prawdziwy sport – oparty na determinacji, współpracy i pasji.

Wspierając klub z Białej Podlaskiej, Fundacja

Stefczyka pokazuje, że sponsoring sportowy może mieć także wymiar społeczny i misyjny. Inwestowanie w sport akademicki i lokalny to inwestowanie w ludzi – ich rozwój, motywację i możliwości. Dla wielu młodych zawodników gra w klubie akademickim stanowi nie tylko szansę na sportową karierę, lecz także możliwość połączenia nauki z aktywnością fizyczną, a także naukę dyscypliny, pracy zespołowej i odpowiedzialności.

Warto podkreślić, że Liga Centralna, choć pozostająca poza ścisłym mainstreamem, to rozgrywki na bardzo wysokim poziomie. Drużyny takie jak AZS AWF Biała Podlaska rywalizują z klubami z całej Polski, mierząc się z różnymi stylami gry, strategiami i warunkami organizacyjnymi. To środowisko wymagające i jednocześnie niezwykle rozwijające. Właśnie w takim środowisku jest niezbędne wsparcie z zewnątrz – takie, jakie oferuje Fundacja Stefczyka.

Dzięki tej współpracy jest możliwe nie tylko codzienne funkcjonowanie klubu, lecz także organizacja wyjazdów, udział w zawodach, zakup sprzętu czy szkolenie młodzieży. To właśnie ten aspekt działania – budowa fundamentów i troska o rozwój zawodników – czyni pomoc Fundacji tak cenną i autentyczną. W czasach, gdy sport bywa utożsamiany głównie z widowiskiem i medialnością, warto przypominać, że fundamentem wielkich sukcesów jest praca u podstaw – często właśnie w takich miejscach jak Biała Podlaska.

Fundacja Stefczyka pokazuje, że można myśleć o sponsoringu sportowym nie tylko przez pryzmat wielkich hal, wielomilionowych kontraktów i ogólnopolskich kampanii reklamowych. Można też patrzeć lokalnie, wspierać rozwój oddolny i tworzyć trwale relacje. To przykład odpowiedzialnego mecenatu, który nie szuka łatwego rozgłosu, ale realnego wpływu.

Sport to coś więcej niż wynik na tablicy – to przestrzeń kształtowania charakteru, budowania wspólnoty i rozwoju jednostki. Dzięki wsparciu Fundacji Stefczyka klub

AZS AWF Biała Podlaska może kontynuować swoją misję i dawać młodym ludziom szansę na realizację sportowych marzeń. A to największa wartość, jaką może nieść każda forma wsparcia. **✓**



FUNDACJA STEFCZYKA



Ostatnia runda

Coraz więcej wskazuje na to, że za tydzień niemożliwe stanie się możliwe. Że Donald Tusk zostanie zatrzymany w swoim marszu do jednowładztwa. Że narodzi się szansa na odwrócenie fatalnych dla Polski procesów rozpoczętych półtora roku temu. A murowany faworyt tych wyborów znów będzie musiał przelknąć porażkę. W polskiej polityce błyskawicznie narodził się nowy zawodnik wagi ciężkiej. Karol Nawrocki jest coraz bliżej prezydentury Rzeczypospolitej



MAREK PYZA

Aby to uzyskać, musi się dopełnić jedna z najbardziej niesamowitych historii w polskiej polityce.

Oto pół roku przed wyborami nieznanym nawet połowie wyborców urzędnik państwowy uzyskuje poparcie jako potencjalny kandydat na prezydenta RP szerokiego grona autorytetów i organizacji, w tym największej partii opozycyjnej. Partii, która przed chwilą straciła władzę, jest poddawana bezpre-

cedensowym represjom i właśnie została nielegalnie pozbawiona wszelkich należnych jej środków finansowych.

Jego start jest przyjęty przez obóz władzy parsznięciem. Dyżurni „specjaliści” od czytania nastrojów społecznych wieszczą łatwe zwycięstwo faworyta, nawet w stosunku 70:30. Ale jednocześnie natychmiast rusza niespotykana wcześniej czarna kampania. To znaczy, że jednak się go boją. Jak się okaże, słusznie.

Było już wielu wchodzących przebojem do polityki, by z ostatnich lat wymienić Pawła Kukiza czy Szymona Hołownię. Ale żaden z nich nie dotarł do drugiej tury wyborów prezydenckich. W pewnym sensie takim był człowiekiem Andrzej Duda w 2015 r., ale już wtedy miał za sobą kilka lat doświadczeń jako wiceminister sprawiedliwości, minister w Kancelarii Prezydenta RP, radny Krakowa,



zeum II Wojny Światowej, wreszcie na najważniejsze stanowisko w centrali Instytutu Pamięci Narodowej. Podejmuje tam działania, które doprowadzają do wpisania go na czarną listę Kremla.

Nie jest to życiorys charakterystyczny dla ludzi ubiegających się o prezydenturę. Jednak w tym przypadku nie okazał się przeszkodą. Może nawet zaletą. Mamy wszak trudne czasy, zagrożenie konfliktem zbrojnym, a martwiący się o bezpieczeństwo ciepłej spoglądają na człowieka twardego, silnego, stawiającego na swoim, znającego prawdziwe życie, a nie wychowanego na pogaduszkach w salonach oderwanych od rzeczywistości intelektualistów i snującego opowieści o swoich walkach z rekinami i kongerami.

Zgłaszają się do nas ludzie z Gdańska, do których dzwonią i próbują dowiadywać się czegośkolwiek z dawnych lat Karola. Świadczy to o tym, że będą nas chcieli zaatakować czymś jeszcze – mówi polityk PiS

poseł i europoseł. Nie można więc powiedzieć, że przyszedł znikąd.

Nawrocki jest debiutantem, w roli funkcji dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, ani prezesa Instytutu Pamięci Narodowej nie są polityczne. Do polityki wszedł pod koniec ubiegłego roku, a za sześć dni może sięgnąć jej szczytu.

To iście filmowa historia. Chłopak z gdańskiego blokowiska, zagorzały kibic Lechii Gdańsk, który zna zapach piłkarskiej szatni (był młodzieżowym zawodnikiem Ex Siedlce i Gedanii), smak kibolskich ustawek, a także ringowych bitew według bokserskich reguł. Zdobywa juniorski tytuł mistrza Pomorza wagi ciężkiej w boksie. Jednocześnie idzie na studia historyczne, a na czwartym roku zatrudnia się jako ochroniarz. Historia go wciąga zupełnie, robi doktorat, trafia do regionalnego IPN, Mu-

stawia sam siebie w memicznej książce „Rafał” – skoro nie jest samodzielny w swoich decyzjach? A te zależą a to od lokalnego pryncypała, a to od patronów z obcych stolic, a to od zagranicznych sponsorów, zwłaszcza niemieckich i tych z lewicowej międzynarodówki.

Nawrocki okazał się kandydatem nieźle impregnowanym na ataki i kłopoty. Dęta sprawa kawalerki go nie przewróciła, a dziś już nie ma większego znaczenia. Kwestię uczestnictwa w kibolskich ustawkach sam rozbroił u Mentzena. Czy wiedział, że ma to być wyciągnięte np. w debacie z Trzaskowskim?

Na podstawie wielu komentarzy można odnieść wrażenie, że w elektoracie, który na niego nie głosował, a który może zdecydować o ostatecznym wyniku, rozmową z kandydatem Konfederacji Nawrocki zyskał, a nie stracił. W mediach społecznościowych szybko pojawiło się przeciwstawienie: z jednej strony mamy twardego faceta, który umie się bić, a więc jeśli zajdzie potrzeba, będzie się bił o Polskę, z drugiej rozdygotanego, zmęczonego maminsynka, który potrzebuje wsparcia psychologa nawet przed debatą telewizyjną, której nie udało mu się do końca wyreżyserować.

KIBOL? NIE SZKODZI

Nie trzeba wielkiej sympatii dla Nawrockiego, by uznać, że to on jest człowiekiem z krwi i kości, nawet jeśli czasem wydaje się trochę grubo ciosany, ze swoimi hobby, tatuażami, przeszłością. Może jeszcze nie zna całej formalnej ścieżki implementowania dyrektyw unijnych i meandrow procesu legislacyjnego w Brukseli, może nie jest mistrzem w wyliczaniu makroekonomicznych skutków zmian stóp procentowych. Ale to on nie da się oszukać na obradach międzynarodowych, bo nie po drodze mu z polityczną poprawnością i nie będzie się obawiał uderzyć pięścią w stół, by zadbać o interes kraju.

Co z tego, że Rafał Trzaskowski jest jednym z najlepszych w Polsce specjalistów od Unii Europejskiej – tak przed-

Co jeszcze mu wyciągną? Jak oplują? Czy coś spreparują? Dotychczasowe metody obozu władzy wskazują, że należy się spodziewać wszystkiego. Skoro w tej kampanii były już kłamstwa, materiały podrzucane przez służby czy hejterskie filmy finansowane z zagranicy, nie można wykluczyć kompletnych fałszywek, jakichś fotomontaży itp. Świadczą o tym także słowa Tuska, który zapowiadał w TVN24, że wkrótce mają się pokazać kolejne informacje o życiu kandydata PiS i „będą kolejne zaskoczenia”.

– Zgłaszają się do nas ludzie z Gdańska, do których dzwonią i próbują dowiadywać się czegośkolwiek z dawnych lat Karola. Świadczy to o tym, że będą nas chcieli zaatakować czymś jeszcze, a jednocześnie pokazuje, że nic nie mają – odpowiada polityk PiS.

WYKORZYSTAĆ OKAZJE

Jaki jest klucz do zwycięstwa? Sztabowcy wymieniają trzy punkty na ostatnie dni. – Po pierwsze, musimy zadbać o absolutną mobilizację. Po drugie, na tym etapie nie wolno już popełnić żadnego błędu. Każdy kosztuje dużo więcej niż przed pierwszą turą, bo nie ma czasu na jego naprawienie. Po trzecie, wykorzystać nadarżające się okazje do umocnienia swojej pozycji – słyszymy od jednego z architektów kampanii.

Taką okazją była propozycja rozmów jeden na jeden Mentzena. Prezes IPN szybko ją przyjął i zapowiedział podpisanie deklaracji przygotowanej przez lidera Konfederacji. Zrobił to bez wahania, bo wszystkie jej punkty są zbieżne z jego poglądami (pewne wątpliwości dotyczą jedynie podatku katastralnego, ale nie wydaje się, że jest to gardłowa kwestia przed drugą turą).

Najważniejsze było jednak to, co wydarzyło się na początku tego spotkania. Pokazało ono, dlaczego PiS musiało postawić w tych wyborach na kandydata spoza partii. Żaden polityk tego ugrupowania nie mógłby tak mocno zarysować swojej odrębności i odciąć się od dawnych błędów formacji, których ona sama pewnie dziś żałuje: „nowego ładu” podatkowego, „piątki dla zwierząt”, zbyt szerokiego ściągania do Polski pracowników z państw islamskich czy za bardzo proukraińskiej polityki. Przez pierwsze pół godziny rozmowy z prezesem Nowej Nadziei najlepiej w całej kampanii dowiódł, że nie jest kandydatem pisowskim, lecz obywatelskim.

Rozmowa Sławomira Mentzena z Rafałem Trzaskowskim (jeśli faktycznie do niej doszło, bo w przypadku kandydata KO nie można wykluczyć żadnej wolty) odbyła się już po zamknięciu tego wydania tygodnika „Sieci”, ale można zgadywać, że entuzjastyczne reakcje polityków Konfederacji (samo Mentzena, Przemysława Wiplera czy Krzysztofa Bosaka) na grillowanie Nawrockiego nie są dobrą wiadomością dla wiceszefa PO. Ale nie powinny one dziwić, skoro chwilami prezes IPN okazywał się bardziej konfederacki od samego Mentzena. Ten ostatni wręcz z zachwytem zareagował na wieść, że

jego gość ma prawo do posiadania broni osobistej, o które wystąpił, gdy wpisano go na listę wrogów Rosji.

Gdy powstaje ten tekst, nie możemy też wyciągnąć wniosków z piątkowej debaty telewizyjnej. Ale sztab Nawrockiego w ogóle się o nią nie martwił.

– Karol jest dobrze przygotowany, w telewizyjnych starciach radzi sobie coraz lepiej. My musimy tylko przypilnować detali. Np. nasz kandydat na każdej z wcześniejszych debat prezentował się najlepiej, bo przyjeżdżał już umalowany, a nie był zdany na makijaż przygotowany przez organizatorów. Zawsze ma też swoją wodę. To dmuchanie na zimne, ale w polityce i tej kampanii widzieliśmy zbyt wiele rzeczy, by ryzykować jakąś po-

Pytamy w sztabie, w jakiej formie jest Karol Nawrocki.

– W najlepszej z nas wszystkich – pada odpowiedź

ważniejszą prowokację – mówi jeden ze współpracowników Nawrockiego.

Nasi rozmówcy ostrzyli sobie też zęby na niedzielne marsze. – Wbrew pozorom nasz został zaplanowany dużo wcześniej, niż go ogłoszono. Gdy zatem Tusk z Trzaskowskim ogłosili, że oni też będą maszerować tego dnia, ucieszyliśmy się, bo dało nam to kolejną okazję do bezpośredniej konfrontacji, w której wypadamy lepiej. Zabezpieczyliśmy też trasę tak, by nasze wydarzenie dobrze wyglądało w obrazkach ze wszystkich kamer, również tych z lotu ptaka – podkreśla osoba zajmująca się przy Nowogrodzkiej strategią wyborczą.

GRAMY DO KOŃCA!

Pytamy w sztabie, w jakiej formie jest Karol Nawrocki. – W najlepszej z nas wszystkich – pada w odpowiedzi. Każda kampania męczy, a faworyci mają najciężej. To oni muszą zrobić największą liczbę kilometrów, odbyć największą liczbę spotkań, najczęściej się pilnować w czasie pub-

licznych sytuacji. To po prostu fizycznie wykańczające, co widać po jednym z pretendentów. Ale w przypadku Nawrockiego jest inaczej. – Po nim tego zmęczenia nie widać, a gdyby była taka potrzeba, spokojnie wytrzymałby na dwukrotnie dłuższym dystansie – nie mogą się nachwalić jego współpracownicy.

Ale nie ma czasu więcej. Zostało kilka dni. Co się wydarzy w ich trakcie?

Słowo „mobilizacja” co chwilę pojawia się w ustach naszych rozmówców. – George Simion na papierze miał 55 proc. poparcia, a przegrał. Rumuński przypadek każe nam z pokorą walczyć o każdą piędź ziemi do ostatnich minut kampanii. Wytypowaliśmy 100 miejsc, w których nasz obóz może poprawić frekwencję. Na podstawie danych z PKW z pierwszej tury wliczyliśmy, które powiaty i miejscowości należy odwiedzić. Tam się rozjadą posłowie PiS. Będą ulotki, gazetki, namawianie każdego, by wziął udział w najważniejszych wyborach od 1989 r. Karol też do końca będzie w trasie. Każde spotkanie ma znaczenie – słyszymy w sztabie.

Będzie też kolejne wsparcie od Andrzeja Dudy, który dwa dni przed końcem kampanii jako pierwszy urzędujący prezydent w historii pójdzie na wywiad do studia telewizyjnego. Zawsze wszystkie głowy państwa przyjmowały dziennikarzy u siebie – w pałacu prezydenckim czy Belwederze. W środę prezydent ma wystąpić w kilkugodzinnym programie Kanalu Zero, w tym odpowiadać na pytania widzów.

Już w zeszłym tygodniu Nawrockiego wsparł Jan Krzysztof Ardanowski, były minister rolnictwa w rządzie PiS, który po „piątce dla zwierząt” opuścił partię i ostatecznie związał się z Wolnymi Republikanami. Ten ruch może zupełnie zneutralizować zaangażowanie Władysława Kosiniaka-Kamysza w kampanię Trzaskowskiego. Bo wśród elektoratu wiejskiego większą wiarygodność ma Ardanowski niż przytulający się do lewicy i liberałów prezes PSL.

PANIKA Z LEWEJ

Ciężko powiedzieć, że dziś to Nawrocki jest faworytem, ale ma przewagę. Nie tylko w pierwszych sondażach przed

drugą turą (zarówno wśród wiarygodnych, jak i tych skompromitowanych pracowni) czy u bukmacherów (to też cenny wskaźnik nastrojów). Jest coś jeszcze, na co zwraca uwagę jeden ze sztabowców kandydata obywatelskiego: – Mieliliśmy zaniżone oczekiwania, a po tamtej stronie były zawyżone. Stąd wzięła się ta pozytywna emocja dla Karola. Gdyby od początku była mowa, że PiS i PO mają po 30 proc. poparcia, więc Trzaskowski z Nawrockim dostaną po 30 proc. w pierwszej turze, to sytuacja wyglądałaby inaczej, a wynik drugiej tury byłby oczywisty. Ale napompowano balon „Rafał”, który miał mieć po 40 proc. w niektórych sondażach, więc po tamtej stronie jest poczucie głębokiego zawodu. Jeśli dodamy do tego wyniki Mentzena i Brauna, zobaczymy, skąd się bierze entuzjazm po naszej stronie.

To tłumaczy również nerwość w obozie koalicji 13 grudnia. – Jeśli najważniejsi publicyści obozu proplatformerskiego po pierwszej turze stwierdzają, że najlepszym ruchem byłaby teraz natychmiastowa wymiana premiera, to o czym to świadczy? O kompletnym rozedrganiu. To tak jakby w naszym środowisku zaczęto mówić o konieczności wymiany prezesa. To byłaby katastrofa – mówi nam parlamentarzysta PiS, nie kryjąc uśmiechu.

Rzeczywiście, w koalicji 13 grudnia czuć popłoch. Słyszymy plotki o kolejnej wściekłości Tuska, jego próbie wyrzucenia z funkcji szefa sztabu Sławomira Nitrasa (ostatecznie Trzaskowski miał go obronić). Sam Tusk się gubi i publicznie wrzuca temat rekonstrukcji rządu, czym nie uspokaja sytuacji na swoim podwórku.

Coraz gorzej oceniany przez Polaków premier tak bardzo wierzy w swoją wielkość, że wbrew wszelkim badaniom społecznym, zamiast się schować, wysuwa na pierwszy plan i „pomaga” Trzaskowskiemu. Nawrocki osobiście zaprasza na swój marsz. Tusk w nagraniu wśród fruujących pyłków filmie nagania na marsz swojego zastępcy. Niczym tata, który wchodzi na scenę, by powiedzieć, że zaraz wystąpi jego dziecko i prosi, by go ładnie przywitać oklaskami. To tata, którzy nie wierzy, że synek sam sobie poradzi.

Koalicja Tuska ma problemy na każdym poziomie. Władysław Kosiniak-Kamysz postuluje rozszerzenie formuły Trzeciej Drogi, ale Ryszard Petru stwierdza, że ten projekt już nie ma sensu i trzeba go zakończyć. Inni politycy Polski 2050 dywagują o zmianie umowy koalicyjnej i pozostawieniu Szymona Hołowni w fotelu marszałka Sejmu. Zaniepokojona tym planem Lewica rozpoczyna plotki o załamaniu po słabym wyniku wyborczym TVN-owskiego celebryty, który ma chcieć kończyć przygodę z polityką. Pachnie głębokimi rozliczeniami, przetasowaniami i rozpadem koalicji.

Nie pomagają też szeregowi parlamentarzyści. Nie za bardzo rozpoznawalny Przemysław Witek z KO stał się gwiazdą, gdy w telewizyjnym studiu py-

Wytypowaliśmy 100 miejsc, w których nasz obóz może poprawić frekwencję. Na podstawie danych z PKW z pierwszej tury wyliczyliśmy, które miejscowości należy odwiedzić – słyszymy w sztabie

tany o podpis Trzaskowskiego pod deklaracją Mentzena rzucił: „Cóż szkodzi obiecać?”. Owszem, to tylko szeregowy poseł, ale naturalność i luz, z jakimi obnażył cynizm swój i swojej formacji zrobiły wielką karierę i przejdą do historii. To zdanie szybko zaczęto porównywać ze: „Zmienić pracę, wziąć kredyt” – złotą radą dla młodych Bronisława Komorowskiego, która była jednym z powodów jego klęski przed dekadą.

Z dnia na dzień rozkręca się też afera związana z przemytem nielegalnych migrantów, w który miały być zaangażowane pierwszoplanowe postacie ze środowisk organizacji pozarządowych stanowiących zaplecze obecnej władzy. Ujawniona przez TV Republika korespondencja Klementyny Suchanow powinna zaprowadzić ją wyłącznie na ławę oskarżonych

(i tam zasiada w białostockim procesie), ale nie jednocześnie do rządowych komisji, m.in. badających wpływy rosyjskie.


W najlepsze trwają bazujące na nie-nawiści kampanie w mediach społecznościowych sponsorowane przez spółki Skarbu Państwa, a jednocześnie coraz więcej dowiadujemy się o nielegalnym finansowaniu kampanii na rzecz Trzaskowskiego z zagranicy. Wirtualna Polska ujawniła, że stoi za nią środowisko amerykańskiej Partii Demokratycznej, które już w 2023 r. wydało 1,5 mln zł na podobne kampanie i przyczyniło się do zmiany władzy w Polsce. Nawet politycy partii Razem mówią tu o grubym skandalu i domagają się rozliczeń. Na marginesie dodajmy, że sztabowcy Trzaskowskiego wcale nie powinni ufać

przewidywaniom, iż 70 proc. wyborców formacji Adriana Zandberga i Pauliny Matysiak odda swój głos na kandydata KO. Ich krytyka obecnego rządu oraz powszechnie dostrzegana ideowość mogą na to nie pozwolić wielu ich sympatykom.

Sprawa hejterskich spotów nadaje się dla komisji śledczej, która w przyszłości (chyba jednak bliższej niż dalszej) zapewne powstanie.

Aby jednak do tego doszło, w najbliższą niedzielę Tusk z Trzaskowskim muszą przegrać. Jest do tego blisko, ale jednocześnie wciąż daleko. Każdy głos będzie miał olbrzymią wagę.

Tylko w takiej sytuacji będziemy mogli liczyć na wyjaśnienie tych skandali i pociągnięcie do odpowiedzialności ludzi, którzy skradli nam już niejedne wybory. Tylko wtedy będzie możliwe rozliczenie służb specjalnych i ich nadzorców za zaangażowanie w kampanię. Tylko wtedy wyborcy Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej będą mogli spać spokojnie, nie obawiając się, że popierane przez nich formacje nie zostaną zdelegalizowane, a np. Grzegorz Braun nie trafi do więzienia za głoszone poglądy.

Tylko wtedy nie spełnią się słowa Jana Rokity wypowiedziane niedawno w Kanale Zero: „Jest bardzo wielu ludzi w Polsce, którzy boją się samowładzy Tuska i ja do nich należę. Otwarcie to mówię. Tusk jako samowładca jest niebezpieczny”. Jest. I lepiej, żebyśmy wszyscy nie musieli się o tym przekonywać. 

*Rafał Trzaskowski nie zrealizował
żadnego z celów kampanii wyborczej,
dlatego nie może się uważać
za wygranego*



STANISŁAW JANECKI

Rafał Trzaskowski wygrał, ale przegrał. Wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich 18 maja 2025 r., a nawet uzyskał o 230 457 głosów więcej niż w 2020 r. Jednak nawet jego najwięksi zwolennicy zauważają, że to nie było zwycięstwo.

Dziennikarz Jacek Żakowski w radiu TOK FM stwierdził: „Mam wrażenie, że mamy klęskę rządu po prostu i to jest najsilniejszy przekaz. Ten rząd dostał czerwoną kartkę. [...] 40 proc. głosów oddanych na trzech kandydatów reprezentujących koalicję rządzącą to jest klęska. Wydaje mi się, że w normalnym demokratycznym kraju premier odchodzi w takiej sytuacji. [...] Po prostu jest odpowiedzialność”. Żakowski sugeruje, że Trzaskowski przegrał przez rząd Donalda Tuska oraz samego premiera i to prawda, lecz dalece niepełna, gdyż przegrał przede wszystkim przez siebie. I nie jest tak, jak powiedziała dr Ewa Pietrzyk-Zieniewicz, politolog z UW, że „pozwolono, żeby pan Trzaskowski został takim człowiekiem bez właściwości. Bardzo miłym, ale takim cudownym dzieckiem bogatego domu, inteligencikiem. Jakżeż można było dopuścić do takiego wizerunku kandydata”. Tyle że dopuścił do tego sam Rafał Trzaskowski, bo taki jego wizerunek wylewa się z 500 stron książki „Rafał” (wywiadu rzeki, jakiego prezydent Warszawy udzielił Donacie Subbotko).



**Przegrany
zwycięzca**

Tam też pojawił się „klasizm” Trzaskowskiego, podjęty przez jego największych zwolenników, takich jak prof. Radosław Markowski: „Ewidencje mamy jednego kandydata, którego popiera Polska, która przyczynia się do PKB. Ciężko pracująca Polska, która jest zatrudniona, ma sukcesy gospodarcze itd. Iz drugiej strony jest Polska, która w literaturze przedmiotu nazywa się klasy transferowe, które w znacznej części czekają na transfery budżetowe”. Wprost oznacza to zaliczenie wyborców Karola Nawrockiego do „pasażerów”.

Trzaskowskiemu zaszkodził fatalny wizerunek rządu Tuska, ale przede wszystkim – jego wyalienowanie ze społeczeństwa, rzeczywistości. I nie jest tak, że rząd to ciało obce wobec prezydenta Warszawy, skoro jest on wiceprzewodniczącym rządzącej Platformy Obywatelskiej i miał setki okazji, by się starać, aby to fatalne rządzenie się zmienilo.

Kandydatowi PO nie pomogło też „opętanie” sprawą kawalerki kupionej przez Karola Nawrockiego od Jerzego Ż. Nie przykryła ona pustki programowej i myślowej Rafała Trzaskowskiego i chyba trafnie została potraktowana jak wymówka, żeby się nie starać o wyborców, tylko nawalać w Karola Nawrockiego. W dodatku ta nawalanka była tak intensywna i tak mało inteligentna, że duża część wyborców miała poczucie przesyty, a nawet obrzydzenia. Ta strategia się wypaliła szczególnie wtedy, gdy ujawniono przypadki nielegalnego finansowania kampanii Trzaskowskiego: poprzez opłacanie wyborczych klipów oraz akcji obrzucania błotem Nawrockiego.

WYBRANIEC GANGUSÓW

Karolina Lewicka, dziennikarka TOK FM, po ogłoszeniu exit poll i relacjach ze sztabów mówiła, że „było widać rozczarowanie u kandydata KO. Od razu próbował przejść do ofensywy. I było widać wielką radość u Karola Nawrockiego. Mowa ciała nie kłamie”.

W przeciwieństwie do całej Polski poparcie dla prezydenta stolicy w Warszawie spadło o 5 pp. w porównaniu do

wyborów prezydenta RP sprzed 5 lat. Wprawdzie Trzaskowski wygrał we wszystkich 18 dzielnicach zarządzanego przez siebie miasta i uzyskał poparcie na poziomie 42,27 proc., ale 5 lat wcześniej głosowało na niego 47,58 proc. wyborców. To oznacza, że na niekorzyść wiceszefa PO działa też jego sposób zarządzania Warszawą. Mniejsze poparcie niż 5 lat wcześniej miał na Pradze Północ (2025 r. – 34,38 proc., 2020 r. – 39,41 proc.), Targówku (2025 r. – 38,28 proc., 2020 r. – 41,69 proc.) i w Ursusie (2025 r. – 37,56 proc., 2020 r. – 41,69 proc.). W Warszawie Trzaskowski dostał 460 616 głosów, czyli o ponad 26 tys. mniej niż w pierwszej turze w 2020 r.

We Wrocławiu, twierdzy PO, Rafał Trzaskowski uzyskał 39,67 proc. głosów. Co charakterystyczne, najwięcej osób postawiło na niego w Zakładzie Karnym nr 1 przy ul. Kleczkowskiej. Poparło go tam 74,53 proc. wyborców, zaś w Areszcie Śledczym we Wrocławiu – 68,47 proc. Obiektywnie to policzek, szczególnie w kontekście oskarżenia Karola Nawrockiego o kontakty z gangusami. Ci, którzy odsiadują wyroki, czyli są prawdziwymi gangusami, zdecydowanie są za Trzaskowskim.

Trzaskowskiemu nie opłacał się pogardliwy wobec biedniejszych „klasizm”, o czym świadczy głosowanie w trzech najzamożniejszych gminach w Polsce. W najbogatszej gminie Kleszczów (w województwie łódzkim nieopodal Bełchatowa) wygrał Karol Nawrocki, którego poparło ponad dwa razy więcej wyborców niż Trzaskowskiego (1153 głosy wobec 511). W drugiej najbogatszej gminie Sulmierzyce (też w łódzkim) Nawrocki zdobył 1126 głosów, a Rafał Trzaskowski 332. Kandydat KO wygrał dopiero w trzeciej najbogatszej gminie Kobierzyce (5430 wobec 2453 dla Nawrockiego), ale znajduje się ona bardzo blisko Wrocławia, który od zawsze jest przechylony ku Platformie.

Padł mit, że Rafał Trzaskowski jest kandydatem młodych, bo spełnia ich nadzieje na lepszą przyszłość. To bajka. Zgodnie z danymi z sondaży exit poll w grupie wiekowej 50–59 lat wygrał Trzaskowski (36,5 proc.), na Karola Nawrockiego głosowało 35,6 proc. W grupie wiekowej ponad 60 lat wygrał Karol Nawrocki (44,8 proc.), ale Trzaskowski

był bardzo blisko (42,6 proc.). Natomiast dla osób w wieku 18–29 lat „wiecznie młody” Trzaskowski się nie liczył, bo najlepszy wynik uzyskał Sławomir Mentzen (36,1 proc.), a za nim Adrian Zandberg (19,7 proc.). Trzaskowski przegrał z Mentzenem nawet w grupie 30–39 lat: odpowiednio 20,9 proc. do 26,2 proc. głosów). Kobiety częściej głosowały na prezydenta Warszawy (33,8 proc.), ale nie jest to duża przewaga. Nie jest niespodzianką, że Trzaskowski wygrał w dużych aglomeracjach, bo ich mieszkańcy często dzielą z kandydatem Tuska te same kompleksy, a ich ambicje znacznie przekraczają możliwości.

W pierwszej turze Trzaskowski uzyskał najwyższy wynik w 10 województwach, które prof. Radosław Markowski zalicza do „lepszej Polski” (dolnośląskim, kujawsko-pomorskim, lubuskim, mazowieckim, opolskim, pomorskim, śląskim, warmińsko-mazurskim, wielkopolskim, zachodniopomorskim), co tylko podkreśla historyczne podziały, które kandydat Tuska jedynie podsyca.

CZŁOWIEK BEZ KRĘGOSŁUPA

„Rafał Trzaskowski bez zbędnej zwłoki powinien skierować swój przekaz do elektoratu konserwatywnego” – mówił po pierwszej turze Piotr Zgorzelski z PSL. „Jeśli chce przegrać, to na pewno” – odpowiedział mu Maciej Gdula z Lewicy. „Udawanie prawicy wzmacnia prawicę. Mówienie językiem prawicy wzmacnia prawicę. To przepis na katastrofę wyborczą” – stwierdziła Katarzyna Kotula, minister ds. równości, polityk Lewicy. Te głosy pokazują, że w przypadku Trzaskowskiego ważną sprawą jest tożsamość ideowa. W kampanii nominat Tuska zmieniał ją częściej niż garnitury, w których występował na wiecach. Ideowa elastyczność prezydenta Warszawy, która normalnie nazywa się koniunkturalizmem, na pewno mu nie pomogła. Powstały już nawet żarty, że gdy Rafał wracał do domu, to żona Małgorzata pytała go, kim jest. Chodziło oczywiście o poglądy polityczne. Na pytanie, jakie one aktualnie są, Trzaskowskiemu przypisywano odpowiedź: „A jakie mają być, to się dostosuje?”.

Prezydent Polski nie może być ideową chorągiewką, bo zagraniczni partnerzy nie będą go szanować, a obywatele

przeszłość rozumieć, co sobą reprezentuje. Te zmiany wynikały ze słabości charakteru, ale przede wszystkim z lizusostwa wobec różnych warstw społecznych i grup interesu. Gdy chciał się komuś podliznąć, natychmiast przyjmował jego poglądy. Ale to oznacza kompletny brak kręgosłupa, stąd słowa Krzysztofa Stanowskiego w jednej z debat: „Uważam, że osobie po 50. roku życia już powinien wykształcić się kręgosłup”. Trzaskowskiemu nie wykształcił się chyba nigdy, bo cała jego kariera polityczna została zbudowana na tym, że ma kręgosłup tak elastyczny jak węgorez. Z dnia na dzień, a nawet z godziny na godzinę potrafi zamienić lewicowy permissywizm na konserwatywny rygorizm i odwrotnie. To sprawia, że wielu wyborców zarzuca mu nieszczerłość. Np. w sprawach bezpieczeństwa i migracji zbyt często upodobił się do Karola Nawrockiego, co zmyliło część jego liberalnego elektoratu. Miał zyskać w centrum, a nie zyskał, tylko stracił głosy bardziej „progresywnego” elektoratu.

MŁODZI NIE DALI SIĘ NABRAĆ

Rafał Trzaskowski wyprzedził Karola Nawrockiego zaledwie o 1,82 pp. (31,36 proc. wobec 29,54 proc.). To porażka, a nie sukces, bowiem przed wyborami sondaże dawały prezydentowi Warszawy wynik powyżej 40 proc. w pierwszej turze. I można powiedzieć, że jedną z jej przyczyn jest nadymanie wskaźników poparcia przed wyborami. Tym bardziej że nie było realnych podstaw do triumfalizmu, czyli nawet wieszczenia wygranej w pierwszej turze. Sondażowo Trzaskowski był napompowany tak jak w 2015 r. Bronisław Komorowski, co jednak powszechnie uznano za jakiś szwindel, a nie odzwierciedlenie rzeczywistości. I część wyborców chciała powiedzieć kandydatowi KO, że powinien ich traktować poważnie, a napompowane sondaże są niepoważne. To mogła być ważna przyczyna utraty głosów młodych wyborców (Trzaskowski stracił część poparcia wśród uczniów, studentów, osób przed 30. rokiem życia). To dowód na to, że kampania bazująca na przesadzie, megalomanii i przece-

nianiu własnych możliwości nie trafiła do tych, którzy trzymają się rzeczywistości i nie wierzą w polityczne bajki.

Młodzi wyborcy – zresztą nie tylko oni – zaliczyli Trzaskowskiego do establishmentu, i to do jego górnej warstwy. Śmieszyło ich udawanie przez prezydenta Warszawy antysystemowca. Za takich uznano nie jego, a Mentzena, Brauna czy Zandberga i całkiem nieprzypadkowo zebrali oni łącznie ponad 5 mln głosów. To, co miało być wielkim atutem kandydata wystawionego przez Donalda Tuska, czyli poparcie młodych i antysystemowych wyborców, okazało się kompletną kląpą. To też świadczy o nierealistycznych założeniach kampanii i trafianiu kulą w płot, gdy chodzi o adresatów wiecowych przekazów.

Padł mit, że Rafał Trzaskowski jest kandydatem młodych, bo spełnia ich nadzieje na lepszą przyszłość. Najmłodszy wyborcy postawili na Sławomira Mentzena i Adriana Zandberga

Nie dziwi więc to, że Trzaskowski zyskał głosy głównie starszych głosujących: najwięcej zwolenników miał wśród osób w wieku 60+ – 42,5 proc. Im młodszy wyborca, tym rzadziej udzielał mu poparcia: kandydat KO zebrał najmniej głosów od tych w wieku 18–29 lat – tylko 13 proc.


SZKODLIWA POMOC

W kampanii Trzaskowski poszedł zbyt szeroko, czyli starał się zadowolić wszystkie grupy wyborców, a to było niemożliwe przy wielkiej skali polaryzacji, inaczej niż jeszcze w 2020 r., gdzie jego szeroki przekaz w jakimś sensie zadziałał. W 2020 r. w grupie 18–29 lat kandydat KO miał większe poparcie niż Andrzej Duda – 24,3 proc. głosów wobec 20 proc. Trzaskowskiemu za-

szkodziła też niejasna i niezrozumiała strategia dotycząca udziału w wyborczych debatach. Jego decyzja o pominięciu niektórych, np. tej w telewizji Republika (współorganizowanej przez telewizję w Polsce24), została odebrana jako brak pewności siebie, strach przed porażką. Organizacja własnej debaty w Końskich z udziałem nie dwóch, jak planował, lecz ośmiorga kandydatów wypadła źle, nie pozwoliła Trzaskowskiemu się wyróżnić. W dodatku było widać, że zmiana planów negatywnie wpłynęła na jego stabilność emocjonalną i odporność psychiczną.

Falowanie nastrojów wzmacniał Donald Tusk, który obawiał się, że jeśli jednoznacznie poprze swego wybrańca, zaszkodzi mu – głównie z powodu swych wad oraz fatalnych notowań rządów. Ale większość w sztabie domagała się wyraźnego poparcia i uważała, że jego brak zaszkodził Trzaskowskiemu.

Poza tym przez część wyborców był on postrzegany jako zdecydowanie mniej wyrazisty niż Nawrocki, który skonsolidował prawicowy elektorat, skorzystał na poparciu prezydenta Andrzeja Dudy i pokazał swoje duże możliwości, spotykając się z Donaldem Trumpem.

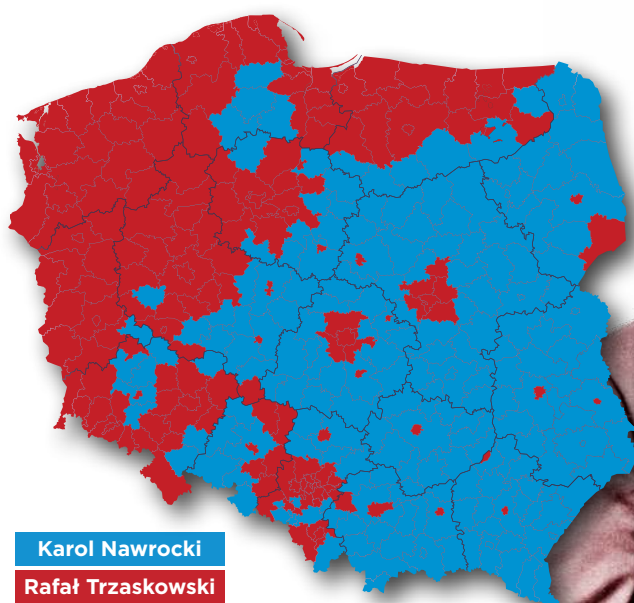
Trzaskowskiemu zaszkodziło to, że instytucje państwowe, w tym tajne służby, były wykorzystywane do dyskredytowania Karola Nawrockiego. Zaszkodziła mu afery z obrzydliwymi reklamami atakującymi konkurentów Trzaskowskiego (Nawrockiego, Mentzena i Brauna), określona przez dyrektora NASK jako możliwa „prowokacja”, co skompromitowało tę rządową instytucję. Ta afery uderzyła w żonę Trzaskowskiego (praca dla jednego z odpowiedzialnych za owe obrzydliwe reklamy) oraz samych rządzących, którzy blisko współpracowali z fundacją Akcja Demokracja uczestniczącą w tworzeniu reklam. A jej prezes Jakub Kocjan robił sobie fotki z liderami obozu rządzącego i był traktowany jako ważny sprzymierzeniec. Trzaskowski sam wszedł w to, co ostatecznie mu zaszkodziło, więc w głosowaniu 1 czerwca 2025 r. odcinanie się od tego również może mu tylko zaszkodzić. 

Gdzie kandydaci mogą szukać poparcia?

Wybory prezydenckie 2025 – I tura

ZWYCIĘZCY W POWIATACH

POPARCIE W SKALI KRAJU



Karol Nawrocki

Rafał Trzaskowski

31,36%

29,54%

Frekwencja 67,31%



PIOTR GURSZTYN

Wyborcza statystyka bardziej jest po stronie Karola Nawrockiego niż Rafała Trzaskowskiego. Kandydat prawicy ma większe rezerwy wyborcze, nie jest to jednak wskazanie ostateczne. Wiele może zmienić się między jedną a drugą turą wyborów. Zdecyduje obecność lub nieobecność przy urnach

Popatrmy na liczby. 18 maja 2025 r. zgłosiło 19,689 mln wyborców. Dla porównania: w wyborach parlamentarnych w 2023 r. głosowało 21,944 mln obywateli, a w drugiej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. – 20,636 mln. Widać, że tegoroczne wybory przyciągnęły mniej wyborców, ale i tak bardzo dużo. Mieliśmy rekordową frekwencję, jeśli chodzi o pierwszą turę wyborów prezydenckich.

Jakie wnioski można z tego wyciągnąć? Wiadomo, że dotychczas różnica frekwencji między pierwszą a drugą turą wynosiła maksymalnie 6,38 proc. (w 2015 r.). Zazwyczaj była jednak dużo niższa, łącznie z ujemną – minus 7,24 proc.

w 1990 r., gdy wielu wyborców nie chciało wybierać między Lechem Wałęsą a Stanem Tymińskim.

To jest punkt odniesienia do oceny szans w drugiej turze. W pierwszym głosowaniu kandydaci utożsamiani z władzą zdobyli łącznie 8,170 mln głosów (Rafał Trzaskowski, Szymon Hołownia, Magdalena Biejat i Joanna Senyszyn). Pretendenci kojarzeni z prawicą – 10,426 mln głosów (Karol Nawrocki, Sławomir Mentzen, Grzegorz Braun, Krzysztof Stanowski, Marek Jakubiak, Artur Bartoszewicz). Niewiadomą pod względem zachowania w drugiej turze jest 952 tys. wyborców Adriana Zandberga. Widać zatem ponaddwumilionową przewagę głosów antyrządowych nad zwolennikami obecnej władzy.

Do tego rachunku dodajmy możliwą liczbę nowych wyborców, którzy nie głosowali 18 maja. Szacunkowo można założyć, że będzie to kolejne 1,5 mln głosów. Bardzo na nie liczy sztab Rafała Trzaskowskiego, ale wiadomo, że ci nowi podzielą się między jednym a drugim konkurentem.

Bezpośrednie rezerwy Rafała Trzaskowskiego

Trzaskowski zdobył 6,147 mln głosów (31,36 proc.). To mniej niż uzyskała Koalicja Obywatelska w wyborach parlamentarnych 2023 r., gdy na jej listę padło 6,629 mln głosów (przy frekwencji wyższej w porównaniu z obecną o 7,07 proc.).

Sztab Trzaskowskiego może się pocieszać tym, że to nieco więcej niż głosy oddane na niego w pierwszej turze wyborów w 2020 r. (5,917 mln) i dużo więcej niż na Bronisława Komorowskiego w pierwszej turze wyborów w 2015 r. (5,031 mln). Ale przynębiającą wiadomością musi być fakt, że odbyło się to kosztem bardzo słabego wyniku Szymona Hołowni i niedostatecznego Magdaleny Biejat przy jednoczesnej „ucieczce” z obozu prorządowego prawie miliona wyborców Adriana Zandberga.

Bezpośrednie rezerwy Karola Nawrockiego

Nawrocki uzyskał 5,790 mln głosów (29,54 proc.). To dużo mniej niż PiS w 2023 r. (7,640 mln) i Andrzej Duda w pierwszej turze wyborów w 2020 r. (8,450 mln), ale zauważalnie więcej niż zdobył Duda w pierwszej turze wyborów w 2015 r. (5,179 mln). To znak, że Nawrocki nie dotarł jeszcze do całego elektoratu PiS, niezależnie od tego, że jego znacząca część przerzuciła swoje poparcie na Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna.

Kto ma większe rezerwy?

Wskazuje na to wiele symptomów. Słynne Jagodno to miejsce, w którym wygrał Trzaskowski. W znanej całej Polsce komisji nr 148 uzyskał 44,2 proc. poparcia, lepiej niż Koalicja Obywatelska w październiku 2023 r. (43,64 proc.). Nawrocki dostał tam tylko 15,4 proc. głosów. Ale na tym kończą się dobre wiadomości dla Trzaskowskiego. Nie dlatego, że Nawrocki znacznie przeskoczył poparcie dla PiS (5,95 proc. w 2023 r.). Zmieniły się proporcje: w 2023 r. obóz dzisiejszej władzy zdobył tam 81,3 proc. głosów, a Konfederacja z PiS 14,75 proc. Teraz kandydaci władzy uzyskali 57,7 proc., a reprezentanci prawicy 31,6 proc.

W Warszawie Trzaskowski uzyskał 42,27 proc. poparcia. To dokładnie tyle samo, co KO w 2023 r. (42,26 proc.), ale wyraźnie mniej niż on sam w pierwszej turze wyborów w 2020 r. (47,58 proc.). Spadek nastąpił nawet w Wilanowie – twierdzy Trzaskowskiego – z 59,17 proc. przed pięcioma latami na 53,92 proc. Na dodatek w tym roku frekwencja w Wilanowie wyniosła prawie 85 proc. Kolejny znak, że kandydat KO ma bardzo ograniczone rezerwy w swoich matecznikach wyborczych.

Zmiany poparcia

Opozycyjna część opinii publicznej z zaciekawieniem patrzyła na rejony dotknięte problemami, z którymi słabo sobie radzi rząd Donalda Tuska. Mowa o terenach popowodzi-

wych, zagrożonych imigracją miastach graniczących z Niemcami oraz miejscach dotkniętych zwolnieniami grupowymi.

Zaskoczeniem okazał się fakt, że Trzaskowski wygrał na terenach popowodziowych, i to poprawiając dotychczasowe osiągnięcia swojego obozu politycznego. Osiągnął jednak pułap niższy niż sumaryczny wynik kandydatów prawicy.

Głucholazy: Trzaskowski – 34,64 proc., Nawrocki – 32,23 proc., Mentzen – 11,99 proc., Braun – 7,06 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: PiS – 40,36 proc., KO – 32,68 proc., Konfederacja – 5,98 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Duda – 47,78 proc., Trzaskowski – 29,33 proc., Bosak – 5,13 proc.

Kłodzko (miasto): Trzaskowski – 41,93 proc., Nawrocki – 25,88 proc., Mentzen – 11,93 proc., Braun – 5,09 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: KO – 40,11 proc., PiS – 30,78 proc., Konfederacja – 5,37 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Trzaskowski – 38,45 proc., Duda – 37,85 proc., Bosak – 5,53 proc.

Kłodzko (gmina): Nawrocki – 32,66 proc., Trzaskowski – 27,82 proc., Mentzen – 17,49 proc., Braun – 7,35 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: PiS – 38,79 proc., KO – 26,23 proc., Konfederacja – 5,39 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Duda – 49,89 proc., Trzaskowski – 25,30 proc., Bosak – 5,63 proc.

Stronie Śląskie: Trzaskowski – 39,82 proc., Nawrocki – 24,98 proc., Mentzen – 11,98 proc., Braun – 6,45 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: KO – 35,98 proc., PiS – 30,47 proc., Konfederacja – 6,09 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Trzaskowski – 37,72 proc., Duda – 36,68 proc., Bosak – 5,15 proc.

Lądek Zdrój (tu Nawrocki nosił pralkę): Trzaskowski – 37,21 proc., Nawrocki – 28,73 proc., Mentzen – 12,29 proc., Braun – 7,93 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: PiS – 34,56 proc., KO – 31,7 proc., Konfederacja – 5,92 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Duda – 42,45 proc., Trzaskowski – 33,22 proc., Bosak – 5,91 proc.

Podobnie jest na granicy zachodniej. W Zgorzelcu Trzaskowski poprawił wszystkie wyniki, ale widać też, że ogólnie więcej głosów padło na kandydatów prawicy.

Zgorzelec (miasto): Trzaskowski – 41,24 proc., Nawrocki – 25,77 proc., Mentzen – 11,39 proc., Braun – 5,77 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: KO – 38,29 proc., PiS – 30,93 proc., Konfederacja – 5,22 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Trzaskowski – 38,05 proc., Duda – 36,31 proc., Bosak – 5,1 proc.

W Słubicach mimo poprawy indywidualnego wyniku Trzaskowskiego suma głosów prawicowych wzrosła o wiele bardziej niż w Zgorzelcu.

Słubice: Trzaskowski – 45,17 proc., Nawrocki – 17,87 proc., Mentzen – 14,21 proc., Braun – 6,01 proc.

Wybory parlamentarne w 2023 r.: KO – 40,38 proc., PiS – 20,11 proc., Konfederacja – 6,25 proc.

Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Trzaskowski – 44,95 proc., Duda – 26,07 proc., Bosak – 6,01 proc.

Tu ogólna liczba głosów oddanych na kandydatów prawicy wzrosła z ok. 32 proc. na 38 proc., co można tłumaczyć strachem przed imigrantami.

Zwolnienia grupowe

W Płocku, gdzie firma Levi Strauss zlikwidowała zakład, zwalniając 650 osób, Trzaskowski był pierwszy – 36,23. To wyniki lepsze niż z wyborów w 2023 r. (34,60 proc.) i pierwszej tury w 2020 r. (35,11 proc.). Ale prawicowa trójka – Nawrocki, Mentzen, Braun – razem zdobyła 46,14 proc. Czyli więcej niż łączny wynik PiS i Konfederacji z 2023 r. (39,91 proc.) i prawie tyle samo, co zsumowane wyniki Dudy i Bosaka z 2020 r. (40,97 proc. plus 6,06 proc.).

Racibórz – zakłady Rafako, 700 osób do zwolnienia. Tam Trzaskowski również był pierwszy – 36,18 proc. Analogicznie poprawił poprzednie wyniki (34,33 proc. i 32,1 proc.). I jak wyżej, dużo mu brakuje do zsumowanego wyniku trójki pracodawców – 46,99 proc.

Dodajmy, że w Raciborzu łączny wynik PiS i Konfederacji w 2023 r. to 41,80 proc., a Dudy i Bosaka w 2020 r. – 46,56 proc. Wyniki w obu tych miastach wskazują, że to Trzaskowski jest bliżej limitu zdolności mobilizacyjnych, a Nawrocki ma znacznie większe rezerwy.

CPK – gmina Baranów

Miejsce symboliczne dla obu stron sporu o Polskę. Wygrał tu Nawrocki – 34,96 proc. To znacznie słabiej niż poprzednie wyniki jego obozu: 2023 r. – 40,21 proc. dla PiS, 2020 r. – 54,56 proc. dla Dudy. Ale słabiej też wypadł Trzaskowski – 20,58 proc., 2 pp. mniej niż KO w 2023 r., ale więcej niż on sam w 2020 r. (18,47 proc.).

Mieszkańcy Baranowa nie przestali jednak popierać prawicy. Nawrocki, Mentzen i Braun zdobyli razem 62,21 proc., czyli lepiej niż PiS plus Konfederacja w 2023 r. (40,21 proc. i 9,12 proc.). I jednocześnie jest to powrót do poziomu poparcia dla prawicy z 2020 r. – Duda 54,56 proc. i Bosak 7,0 proc.

Gmina Baranów, a jeszcze mocniej najbardziej prawicowa gmina w Polsce, czyli Chrzanów w województwie lubelskim, jasno ukazały nowy podział prawicowego tortu. Wielu niedawnych wyborców PiS przerzuciło swoje poparcie na Mentzena i Brauna.

W Chrzanowie padł rekord poparcia dla Nawrockiego – 64,95 proc. Mentzen zdobył tam 16,55 proc., Braun 10,53 proc., a Trzaskowski tylko 2,82 proc. (45 głosów). Z wyborów na wybory widać, że tamtejsi wyborcy szukają nowej prawicy. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. PiS zdobyło 79,01 proc. głosów, Konfederacja – 6,92 proc., KO była tam dopiero piąta, zdobywając 1,84 proc. (33 głosy). Wybory prezydenckie w 2020 r., pierwsza tura: Duda – 85,22 proc., Bosak – 6,61 proc., Trzaskowski – 1,95 proc. (34 głosy).

Wyniki w Chrzanowie i podobnych miejscowościach to ból głowy dla kierownictwa PiS, ale jednocześnie naprawdę zła wiadomość dla sztabu Trzaskowskiego. Okazuje się bowiem, że wyborcami Konfederacji nie są jacyś wymagowani libertariańscy przedsiębiorcy, lecz ludzie o tradycyjnym konserwatywno-narodowym światopoglądzie. I jedyne, o czym może marzyć Trzaskowski, jest to, że nie pójdą oni na wybory.

Końskie. Jak głosuje miejsce, w którym wygrywa się wybory?

Wygrał tu Nawrocki – 39,96 proc., ale nie powtórzył osiągnięć PiS (44,94 proc.) i Dudy (54,01 proc.). Trzaskowski osiągnął 27,38 proc., czym poprawił wyniki (22,53 proc. i 23,09 proc.). Ale uzyskał to – tak jak w bardzo wielu miejscach – kosztem kanibalizacji elektoratu Hołowni. Dodatkowym problemem dla niego jest zaś niezły wynik pozostałych polityków prawicy (Mentzen i Braun – razem 16,76 proc.).

Dynamika Sławomira Mentzena i Grzegorza Brauna

Sławomir Mentzen uzyskał 2,902 mln głosów (14,81 proc.), a Grzegorz Braun 1,242 mln (6,34 proc.), czyli razem – 4,145 mln (21,15 proc.). To ogromny sukces w porównaniu z wynikiem z 2023 r., gdy Konfederacja została poparta przez 1,547 mln wyborców.

Widać też, że każde kolejne wybory to stopniowy przyrost poparcia dla tego nurtu. W pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2020 r. Krzysztof Bosak zdobył 1,31 mln głosów, w wyborach parlamentarnych w 2019 r. Konfederacja zdobyła 1,256 mln głosów, w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 2015 r. 486 tys. głosów oddano na Janusza Korwin-Mikkego, a 124 tys. – Grzegorza Brauna. Razem 610 tys. głosów (można tu jeszcze dodać 68 tys. głosów na Jacka Wilka).

Dynamika Szymona Hołowni

Szymon Hołownia zdobył 978 tys. głosów (4,99 proc.). To katastrofa w porównaniu z wynikiem Trzeciej Drogi z 2023 r., gdy zdobyła ona 3,110 mln głosów oraz wynikiem Hołowni z 2020 r. – 2,693 mln głosów. Do tego trzeba dodać ówczesny wynik Władysława Kosiniaka-Kamysza – 459 tys. głosów (czyli razem z Hołownią 3,152 mln).

Tragiczną wiadomością dla drugiego ugrupowania koalicji 13 grudnia jest też to, że wielu wyborców PSL nie zagłosowało na Hołownię (dla porównania wynik ludowców z wyborów parlamentarnych w 2019 r. to 1,578 mln głosów). I wiele wskazuje na to, że nie są to wyborcy, którzy zostali przejęci przez Trzaskowskiego, lecz wręcz przeciwnie – to ludzie głosujący dzisiaj na kandydatów prawicy.

Dynamika lewicy

Zwolennicy lewicy mają powody do umiarkowanego optymizmu. Adrian Zandberg zdobył 952 tys. głosów (4,86 proc.) a Magdalena Biejat 829 tys. głosów (4,23 proc.). Można jeszcze doliczyć Joannę Senyszyn z 214 tys. głosów (1,09 proc.). Sumując – przy wszystkich zastrzeżeniach – daje to 1,996 mln głosów (10,18 proc.). To wynik lepszy niż głosy na Nową Lewicę z 2023 r. – 1,859 mln głosów (8,61 proc.) i rewelacyjny w porównaniu z wyborami prezydenckimi z 2020 r. (432 tys. na Roberta Biedronia). Wyraźnie jednak słabszy niż poparcie dla SLD w 2019 r., które wyniosło 2,319 mln głosów (12,56 proc.).

Na dodatek dzisiaj lewica jest podzielona na nurt prorządowy i antyrządowy. Dla niej samej oznacza to ogromną trudność w zjednoczeniu działań. A dla Rafała Trzaskowskiego, że nie jest to pewne źródło uzyskania dodatkowych głosów w liczbie tak wielkiej, aby przewyższyć ogół wyborców prawicy



Kto zyskał, kto stracił

W tle głównego starcia o prezydenturę rozgrywał się drugi ważny mecz. Jego wyniki mogą mieć znaczący wpływ na to, jak w przyszłości będzie wyglądała polska scena polityczna



KONRAD KOŁODZIEJSKI

To nie jest koniec tej historii – to jest dopiero jej początek” – powiedział po ogłoszeniu wyników pierwszej tury wyborów prezydenckich lider Razem Adrian Zandberg (4,9 proc. głosów). „Jest 2025 rok, przed nami jest 2026, a w 2027 roku są wybory parlamentarne, w których doprowadzimy do zmiany i skończymy z PO-PiSem. Dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek wcześniej wierzę, że razem damy radę” – podsumował.

W podobnym nastroju kończył swój udział w walce o prezydenturę Sławomir Mentzen (14,8 proc.), który jeszcze nie tak dawno temu odsyłał Kaczyńskiego i Tuska na emeryturę, oraz Grzegorz Braun (6,3 proc.). Oni również przedstawiali się jako kandydaci antysystemowi – tyle że z prawej strony – i także osiągnęli wynik, który w przyszłości może być podstawą do zagrania o znacznie większą pulę.

KRYZYS DUOPOLU

Gdyby zsumować wyniki Mentzena, Brauna i Zandberga, okaże się, że mamy dziś ponad 5 mln aktywnych wyborców, którzy odrzucają partyjny duopol rządzący Polską od 20 lat. Znacznie więcej

jest ich po prawej stronie na co wskazują wyniki uzyskane przez Mentzena i Brauna, ale zniecierpliwienie rośnie również na lewym skrzydle. Warto zauważyć, że trzech wymienieni politycy – w największym stopniu Mentzen – bardzo szeroko i umiejętnie korzystali z mediów społecznościowych, gdzie najłatwiej jest pozyskać wyborców nieufnych wobec tradycyjnej polityki i środków przekazu. Co istotne, wielu z nich to ludzie młodzi, których nie pasjonują już spory polityczne pokolenia ich rodziców.

Inną sprawą jest pytanie, czy przełamanie dotychczasowego duopolu byłoby rzeczywiście korzystne dla Polski i czy nie doprowadziłoby do jeszcze większego chaosu i polaryzacji. W tej chwili nie da się na nie odpowiedzieć, choć trend został już wyraźnie zarysowany i stanowi poważne wyzwanie dla Platformy i PiS, które będą musiały wkładać znacznie więcej wysiłku niż dotąd, aby pozyskać lub tylko utrzymać przy sobie większość wyborców.

Kryzys duopolu objawił się też w wynikach Szymona Hołowni (5 proc.) i Magdaleny Biejat (4,2 proc.), których można śmiało uznać za największych przegranych tych wyborów. Oboje byli jedynie przystawkami Platformy, co zostało bardzo surowo ocenione przez elektorat. Większość Polaków wykazała się dużą przytomnością i nie kupiła udawanej niezależności. Okazało się, że współludział w rządach Platformy jest piętnem, którego nie da się tak łatwo zmyć, a związki z partią Tuska są w oczach wielu ludzi okolicznością

obciążającą. Ich porażka była więc – niezależnie od błędów popełnionych w kampanii – nieunikniona.

MENTZEN: JEZYCZEK U WAGI

Podczas kampanii Sławomir Mentzen tak często powtarzał, że jest „jedynym kandydatem, który w drugiej turze ma szansę wygrać z Rafałem Trzaskowskim”, że aż stało się to obiektem żartów. Nigdy nie miał takiej szansy i było to jedynie zaklinanie rzeczywistości. Przy czym nie chodzi tu tylko o to, że wyborców Karola Nawrockiego jest po prostu więcej. Mentzen nie mógł nawet liczyć na cały elektorat Konfederacji, który rozbił swoje głosy pomiędzy niego a Grzegorza Brauna. W ten sposób Mentzen zamiast spodziewanych 20 proc. głosów (co i tak nie pozwoliłoby mu przejść do drugiej tury) otrzymał ich 15 proc., bo musiał się nimi podzielić z Braunem.

Mimo to uzyskał wynik znacznie wyższy od Krzysztofa Bosaka w 2020 r. (6,8 proc.), a to pozwala mu spokojnie patrzeć w przyszłość. Dzięki temu wzmocnił swoją pozycję w Konfederacji, a jego formacja zapewniła sobie stabilne trzecie miejsce na polskiej scenie politycznej, co oznacza, że jeśli dowiezie takie poparcie do kolejnych wyborów parlamentarnych, nie uda się sformować stabilnych rządów bez niej. Mentzen stał się więc obiektem załotów zarówno PiS, jak i Platformy. Jeżeli jednak chce myśleć o odgrywaniu większej roli w polityce, musi konsekwentnie odgrywać rolę „antysystemowca”, co oznacza, że nie powinien się trwale wiązać z nikim, a w szczegól-



ności z rządzącą Platformą, do której notabene z wielu względów programowo jest mu bliżej niż do PiS. Tym bardziej że za jego plecami pojawił się Grzegorz Braun, który natychmiast wykorzystywał każdą taką „zdradę” Mentzena.

Atrakcyjność Mentzena polega na mało wyrafinowanym pojmowaniu wolności, gdzie każdy jest sobie panem i władcą. To slogan, który łatwo trafia do ludzi zmagających się z codziennymi problemami, za które – często nie bez pewnej racji – winią świat zewnętrzny. Tym jest dla nich opresyjne państwo i jego urzędnicy, wysokie podatki, a także otoczenie międzynarodowe, przede wszystkim Unia Europejska i Ukraina.

BRAUN: UDAWANY „WARIAT”

Na tym tle pojawiają się różnice między Mentzenem i Braunem. O ile popularność tego pierwszego jest w głównej mierze skutkiem kryzysu społecznego, w jakim od początku tej dekady znajduje się Polska, o tyle Braun jest skrzywioną odpowiedzią na kryzys tożsamościowy. Wbrew pozorom nie jest on „wariatem”, za jakiego uchodzi. To tylko starannie odgrywana rola outsidera, która – jak się okazało – przyniosła mu dużą rozpoznawalność i niemało głosów wyborców. Przy czym nie oznacza to, że problemy, których dotyczy Braun, zwykle w mocno przerysowany, wykoślawiony sposób, nie są istotne. Przeciwnie – jego wynik wskazuje, że rośnie w Polsce grupa ludzi żyjących w poczuciu zagrożenia własnej tożsamości, którzy poczuli się porzuceni przez państwo polskie oraz jego polityków.

Relatywnie wysoki wynik Brauna (a także Mentzena) oznacza, że rośnie u nas sprzeciw wobec Unii czy szerzej

– liberalnego Zachodu. Coraz więcej Polaków zaczyna postrzegać nasze członkostwo w UE jako rodzaj zniewolenia, a przecież 20 lat temu umawialiśmy się na coś zupełnie innego. Pojawił się strach przed relokacją imigrantów, wciągnięciem nas w wojnę, ubóstwem

Podkarpacia i całej ściany wschodniej.

Oslabienie PiS jest więc nierozzerwalnie związane ze wzrostem popularności skrajnej flanki na prawicy. W tym sensie zarówno Mentzen, jak i Braun odnieśli duży sukces, który może się dla nich stać fundamentem trwałej obecności na polskiej scenie politycznej.

Porażka Biejat i Hołowni to dobry znak. Nie tylko dlatego, że osłabia to reżim Tuska, lecz także z tego powodu, że wyborcy coraz sprawniej wychwytyują przebierańców w polskiej polityce

HOŁOWNIA; UPADEK Z WYSOKOŚCI

O ile Mentzen i Braun mogą mówić, że weszli na drogę wiodącą ku politycznym salonom, o tyle Szymon Hołownia właśnie z niej szedł. A właściwie spadł, i to z wielkim hukiem. Polityk, który według własnych zapowiedzi miał być tym trzecim rozgrywającym na polskiej scenie politycznej, uzyskał w wyborach niespełna 5 proc. głosów.

Bardziej przenikliwi obserwatorzy przewidywali ten scenariusz od początku jego politycznej kariery. Bo przecież Hołownia był wielką kreacją wyreżyserowaną przez liberalną oligarchię, aby przejąć głosy niezdecydowanych wyborców, zwłaszcza tych, którzy chcieli kontynuacji pisowskiej polityki, ale bez PiS, co oczywiście było niemożliwe. Udało mu się to zarówno w 2020 r., jak i w październikowych wyborach do Sejmu w 2023 r. (dwukrotnie 14 proc. głosów). Kończy jednak jako gwiazda jednego sezonu, podobnie jak jego poprzednicy w rodzaju Ryszarda Petru czy Janusza Palikota.

A przecież teoretycznie mogło być inaczej. Hołownia, który nabrał swoich wyborców w 2023 r., udając „niezależnego”, miał w ręku właściwie wszystkie atuty. To przecież od niego zależało

wywołanym przez absurdalną politykę klimatyczną oraz – co także istotne – ograniczaniem wolności i brutalną presją ideologiczną.

Liczne badania opinii publicznej pokazują, że narasta niechęć wobec Ukrainy oraz uchodźców wojennych z tego kraju. Szczególnym momentem był tu kryzys zbożowy z ostatniego roku rządów PiS, gdy zalew ukraińskich płodów rolnych doprowadził wiele gospodarstw na krawędź bankructwa. Opresyjność państwa kojarzy się zaś wielu stronnikom Konfederacji z polityką podczas pandemii. Sporo tych rzeczy poszło na rachunek PiS i mimo sukcesów ówczesnej władzy popchnęło wielu jej wyborców w stronę Mentzena i Brauna. Szczególnie w tradycyjnym bastionie prawicy, jakim były obszary wiejskie

istnienie obecnej koalicji rządowej. Wystarczyło tylko wycofać poparcie dla rządu Tuska. Oczywiście nie mogło się wydarzyć, bo Hołownia, nawet gdyby wpadł mu do głowy taki pomysł, był zakładnikiem swoich sojuszników z PSL oraz polityków własnej partii. Niewielu z nich chciałoby się rozstawać z intratnymi posadami i ryzykować – w przypadku nowych wyborów – wypadnięcie z polityki. W praktyce Hołownia był jedynie przystawką Platformy, słupem Tuska, posłusznie realizującym jego wytyczne.

Dziś, gdy jego projekt się sypie, a przyszłość na stanowisku marszałka Sejmu – zgodnie z umową koalicyjną – jest niepewna, postanowił całkowicie podporządkować się Tuskiemu, ogłaszając poparcie dla Trzaskowskiego w drugiej turze bez żadnych warunków. Wszystko wskazuje na to, że jego partia, a na końcu może i on sam – o ile dłużej przetrwa w polityce – zostaną ostatecznie wchłonięci przez Platformę.

BIEJAT: KONIEC FIKCJI

Udawanie niezależnej nie przyniosło też sukcesu Magdalenie Biejat. Startując w wyborach, miała ona kilka zadań. Po pierwsze – utrzymanie lewicowo-liberalnego elektoratu, który nie chciał oddawać głosu na Trzaskowskiego (w przypadku elektoratu bardziej konserwatywnego podobne zadanie miał Hołownia), po drugie – maksymalne osłabienie lewicowej konkurencji spod znaku Zandberga i po trzecie – ściągnięcie jak największej liczby głosów kobiet. Właściwie nic z tego się nie udało.

Kompromitacją dla Biejat okazała się rywalizacja o liberalno-lewicowego wyborcę. Okazało się, że dla sporej części tego środowiska jej kolaboracja z partią Tuska jest kompletnie nie do przyjęcia. Dotyczyło to przede wszystkim wielkomiejskiej młodzieży, u której Platforma coraz częściej budzi skojarzenia z obciachowymi dziadziernymi.

Biejat nie potrafiła też wytłumaczyć, jak godzi realizację lewicowego programu społecznego z poparciem dla reżimu

Tuska. Przedstawiła się w kampanii jako niewiarygodna karierowiczka, dla której posada u boku władzy jest ważniejsza od głoszonych postulatów. Tym bardziej że jeszcze niedawno temu była działaczką partii Razem i opuściła ją, gdy Zandberg zdecydował się na przejście do opozycji.

Porażka Biejat i Hołowni to dobry znak. Nie tylko dlatego, że osłabia to reżim Tuska, lecz także z tego powodu, że wyborcy coraz sprawniej wychwytyają przebierańców w polskiej polityce.

W tej chwili przyszłość pani senator jako liderki lewicy rysuje się w czarnych barwach. Z pewnością znajdzie jednak miejsce na lewym skrzydle Platformy. Fikcja „niezależnej” kandydatki się skończyła.

O ile popularność Mentzena jest w głównej mierze skutkiem kryzysu społecznego, w jakim znajduje się Polska, o tyle Braun jest skrzywioną odpowiedzią na kryzys tożsamościowy

ZANDBERG: PREMIA ZA NIEZALEŻNOŚĆ

Misja Magdaleny Biejat poniosła fiasko, bo w drogę wszedł jej dawny towarzysz partyjny. Adrian Zandberg okazał się bardziej wiarygodny dla lewicowych wyborców, ponieważ wybrał – nie bez obaw i oporów – polityczną niezależność. Dało mu to blisko 5 proc. głosów, ale dziś miałby ich znacznie więcej, gdyby przeszedł do opozycji na samym początku tej kadencji Sejmu.

Na lewym skrzydle widać już pierwsze oznaki tego samego zjawiska, które kilka lat temu pojawiło się na prawej flance. Chodzi o korozję obecnego duopolu i wyrastanie na jego obrzeżach nowych sił politycznych, które korzystając ze zmiany pokoleniowej wśród wyborców, coraz śmielej wkraczają

na polską scenę polityczną, wypychając z niej dotychczasowych głównych aktorów.


Zandberg zaryzykował i jak widać po wynikach – oplotło się. Po lewej stronie znalazł wielu zwolenników, zwłaszcza wśród młodzieży, która nie zadowalała się kolejnymi klonami Platformy w rodzaju Magdaleny Biejat i domaga się nowego rozdania. Jeżeli nie zapadnie teraz w głęboki sen i zdoła podtrzymać rozbudzone nadzieje swoich wyborców, to ma szansę stać się liderem lewicy.

Wiele zależy też od tego, jaka będzie ta lewica. Czy propaństwowa o twarzy posłanki Matysiak, czy też tęczę? Jeżeli zwycięży ten drugi wariant, to lewica tak jak dotąd pozostanie w wąskiej niszy.

Przyszłość Zandberga zależy więc od jego decyzji: czy chce odgrywać większą rolę w polskiej polityce, czy woli pozostać zakładnikiem warszawskich hipsterów.

STANOWSKI I RESZTA

W wyborach prezydenckich jak zwykle pojawiło się też kilku kandydatów z pogranicza politycznego folkloru. Niektórzy startowali, aby zaistnieć, np. Marek Woch, inni, aby o sobie przypomnieć (Marek Jakubiak, Joanna Senyszyn), jeszcze inni – z zupełnie niezrozumiałych powodów (Artur Bartoszewicz, Maciej Maciak).

Spośród tego grona warto zwrócić uwagę na Krzysztofa Stanowskiego, którego kampania była performancem promującym Kanał Zero. W tym sensie jego start można uznać za udany. Jednak zasługi Stanowskiego okazały się o wiele większe, bo jak napisał na platformie X Jacek Łęski, przy okazji udało mu się „przebić kilka balonów, które spokojnie sobie latały po polskiej polityce”. Korzystając ze statusu trefnisia, ujawnił manipulacje reżimowych mediów, w tym ustawkę z debatami organizowanymi przez neo-TVP, zwrócił uwagę na nieprzejrzysty system zbierania podpisów i agitacyjną rolę sondaży. Wreszcie to on w dużym stopniu odpowiada za tak dużą frekwencję wyborczą wśród młodych ludzi. A to właśnie ich głosy ujawniły kierunek, w którym może podążyć nasza polityka. 

Sondaż nieprawdę ci powie

Największym przegranym pierwszej tury wyborów prezydenckich okazał się nie tylko Szymon Hołownia, który ostatecznie nie uzyskał nawet 5 proc. poparcia. Przegrały też największe ośrodki badawcze, które nie potrafiły przewidzieć politycznych wyborów Polaków. Czy to błędy metodologiczne, czy może zwykła manipulacja?



DOROTA ŁOSIEWICZ

W pierwszej turze wyborów prezydenckich zwyciężył Rafał Trzaskowski z wynikiem 31,36 proc. poparcia. Tuż za nim znalazł się Karol Nawrocki, zdobywając 29,54 proc. głosów. Różnica między kandydatami wyniosła 1,82 pp. Na trzecim miejscu uplasował się Sławomir Mentzen z poparciem 14,81 proc., na czwartym Grzegorz Braun – 6,34 proc. Dopiero piąty był marszałek Sejmu Szymon Hołownia – 4,99 proc. oddanych głosów. Tuż za nim byli Adrian Zandberg w wyniku 4,86 proc. i Magdalena Biejat z poparciem na poziomie 4,23 proc.

BADANIA KONTRA RZECZYWISTOŚĆ

Niestety większość tzw. renomowanych pracowni badających nastroje społeczne nie była w stanie prawidłowo przewidzieć wyniku wyborów. Spójrzmy na jeden z sondaży IBRiS dla Polskiego Radia 24 przygotowany 10–11 maja 2025 r., a więc tydzień przed wyborami. W tym badaniu Rafał Trzaskowski cieszył się poparciem 31,5 proc. wyborców, a Karol Nawrocki jedynie na poziomie 23,6 proc. – różnica między liderami stawki wynosiła niemal 8 pp., a ostatecznie nie sięgnęła nawet dwóch. W tym sondażu IBRiS znacząco pomylił się także w wynikach kolejnych kandydatów. Na trzecim miejscu był Sławomir Mentzen z poparciem 12,6 proc., a na czwartym Szymon Hołownia, na którego miało głosować 8,6 proc. wyborców, tymczasem uzyskał on niecałe 5 proc. poparcia. W badaniu Magdalena Biejat zdobyła 6,3 proc. głosów., Adrian Zandberg – 5,4 proc.



Dopiero za nim był Grzegorz Braun z wynikiem 2,6 proc., choć w rzeczywistości wyborcy dali mu czwarte miejsce.

Dzień po wyborach Marcin Duma, szef ośrodka IBRiS, w Kanale Zero tak tłumaczył wyniki badań: „W ogóle nie są sondaże po to, żeby przewidywać rzeczywistość. Sondaże nigdy nie przewidują przyszłości. One zawsze pokazują tę sytuację w momencie, w którym były robione”. Ten sam Marcin Duma w rozmowie z Marcinem Mellerem na początku wyborczego wyścigu pytał: „Jaki jest cel PiS-u w tych wyborach? – Wygrać? – odpowiedział mu Meller. – To odkładamy na półkę, to jest jakaś fantasmagoria – twierdził Duma. – Po co wystawiają tego kandydata? Żeby zewrzeć partyjne szeregi, wygrać dzisiaj nie są w stanie. Dzisiaj ktokolwiek, kto z flagą PiS wchodzi w starcie z Rafałem Trzaskowskim, przegrywa. Nie ma go. Zamiata go i to tak 70 do 30. Dobrze, bądźmy łaskawi 60 do 40 – przekonywał Marcin Duma”. Okazało się,

że sondaże IBRiS były bardziej projekcją poglądów szefa pracowni niż odbiciem społecznych emocji.

– Nie do końca potrafisz stwierdzić, czy sondaże były przekłamywane w sposób świadomy, czy błędy wynikały z metodologii. Widać też pewną logikę sondaży. Są sondaże mobilizujące pewną część elektoratu, czyli złe dla popieranego przez dane medium kandydata. Są też sondaże nadmiernie optymistyczne dla danego kandydata. Przed samymi wyborami widać też zjawisko urealniania sondaży, czyli walkę o wiarygodność sondażowni. Ośrodki badawcze mogą manipulować grupą badawczą i momentem, w którym robi się sondaż. Sondażownie mają często problem z dotarciem do niektórych grup wyborców. Pojawia się też duża ilość odmów udzielenia odpowiedzi i z tym pracowni sobie nie radzą. Często też wyborcy mówią, że są niezdecydowani, choć już wiedzą, na kogo zagłosują – próbują tłumaczyć błędy pracowni badawczych Wiktor Świetlik, publicysta, autor kanału „Dobitnie” na platformie YouTube.

NIE WSZYSCY SIĘ MYLILI

Są jednak pracowni, które myliły się znacznie mniej niż reszta. Autorem najtrafniejszego sondażu, jaki pojawił się tuż przed wyborami, jest Ogólnopolska Grupa Badawcza, na której czele stoi Łukasz Pawłowski. Ten ośrodek najtrafniej typował wyniki również wyborów do Parlamentu Europejskiego.

Wedle badania opublikowanego 16 maja poparcie dla kandydatów wynosiło: Rafał Trzaskowski – 32,89 proc., Karol Nawrocki – 28,68 proc., Sławomir Mentzen – 14,21 proc., Grzegorz Braun – 5,87 proc., Szymon Hołownia – 4,72 proc., Adrian Zandberg – 4,45 proc., Magdalena Biejat – 4,30 proc.

„W dyskusji o jakości sondaży przedwyborczych dużą rolę odgrywają media. Media zamawiają sondaże i powinny wymagać ich większej dokładności. Pilnować jakości” – mówił Łukasz Pawłowski w Radiu 357. Nawet Onet musiał zauważyć gigantyczne błędy pracowni badawczych: „Przed wyborami regularnie pojawiały się sondaże, które miały przewidzieć wynik. Okazuje się, że najlepiej z tym zadaniem poradziła sobie pracownia OGB. W jej przypadku łączny błąd wyniósł nieco ponad 5 pp. Wśród 10 pracowni tylko jedna przewidziała, że na czwartym miejscu znajdzie się Grzegorz Braun” – informował portal.

Portal sprawdzamysondaże.pl sprawdził, który ośrodek badawczy najlepiej poradził sobie z przewidzeniem wyników wyborów prezydenckich. Na pierwszym miejscu znalazła się właśnie Ogólnopolska Grupa Badawcza, której łączny błąd wyniósł 5,4 pp. Drugie miejsce pod względem trafności zajął serwis ewybory.eu, który przeprowadził sondę uliczną na próbie prawie 15 tys. osób. W jego przypadku łączny błąd wyniósł 9,54 pp. W badaniu przed wyborami Rafał Trzaskowski uzyskał 33,24 proc., a Karol Nawrocki 30,16 proc. Na ostatnim miejscu podium znalazł się państwowy CBOS. Łączny błąd w przypadku tego ośrodka badawczego wyniósł 10,86 pp. Według badania przedwyborczego CBOS Rafał Trzaskowski miał zdobyć 32,7 proc. a Karol Nawrocki 27,5 proc. To właśnie w przypadku kandydata PiS CBOS zaliczył największą pomyłkę – wyniosła ona 2,04 pp.

Ranking ośrodków badawczych, które najlepiej przewidziały wynik pierwszej tury wyborów prezydenckich i łączny procentowy błąd, który popełniły w ocenie

1. OGB – 5,4 pp.
2. ewybory.eu – 9,54 pp.
3. CBOS – 10,86 pp.
4. Atlas Intel – 11,42 pp.
5. POLLSTER – 12,78 pp.
6. IPSOS – 15,3 pp.
7. IBRiS – 15,98 pp.
8. United Surveys – 17,5 pp.
9. Research Partner – 18,82 pp.
10. Opinia24 – 19,70 pp.

Źródło: SprawdzamySondaże.pl

STEROWANIE EMOCJAMI

Warto jeszcze zauważyć, że gdy pod koniec stycznia 2025 r. z badania OGP wynikało, że zwycięzcą pierwszej tury wyborów prezydenckich może być Karol Nawrocki z przewagą niecałego 1 pp., inne ośrodki badawcze, w tym IBRiS i Opinia24, wskazywały na znaczną przewagę Trzaskowskiego nad Nawrockim, sięgającą nawet 10 pp.

W lutym niektóre pracowni rozpoczęły także akcję spłaszczania w sondażach wyniku Nawrockiego i Mentzena. „Dokładnie miesiąc po badaniach OGB inne, bardziej »renomowane« pracowni ogłosiły mijankę, a kandydat popierany przez PiS miał niby osiągać wynik na poziomie 16 proc.” – przypomina użytkownik platformy X Szymon Woźniak. Media informowały wówczas o „sensacyjnym wyniku” Mentzena, który miał wyprzedzić Nawrockiego, lub o „trzęsieniu ziemi”, jakim jest mijanka Mentzena i Nawrockiego.

Analityk i publicysta Miłosz Lodowski, autor kanału „Chłodnym okiem” na platformie YouTube, zwraca uwagę, że sondaże po prostu manipulowały opinią publiczną. – Okazało się, że niektóre sondażownie uczestniczyły w manipulowaniu rzeczywistością. Wyszło na jaw, że one bardziej warunkują ludzi, a nie informują o tym, jak w rzeczywistości wygląda stan emocji – mówi mi Lodowski. – W ostatnich dwóch tygodniach przed wyborami sondażownie starają się zracjonalizować swoje wyniki, żeby uniknąć blamażu, ale nie zawsze to się udaje. Tak było w przypadku Marcina Dumy, który mocno przestrzelił. Okazało się także, że niektórzy wykonują zlecenia, są kupieni do budowania wizerunku i trzymają się tego do samego końca. Naszym problemem jest to, że w przestrzeni publicznej pozwalamy na tę manipulację. Z jednej strony wyborcy wciąż wierzą w sondażowe bajki. Jest popyt, jest rynek, więc łatwo kupić sondaż. Z drugiej strony nikt nie weryfikuje branży i mało komu zależy na prestiżu

i jakości. Niedługo więc pożegnamy tę branżę, ponieważ na rynek wejdą nowoczesne sondażownie z Zachodu i USA, które będą stosowały wyłącznie metody bazujące na sztucznej inteligencji i prekognicji, polegające na analitycznym badaniu nastrojów społecznych na podstawie trendów internetowych. Skończy się wówczas miejsce dla pracowni, które nie dbają o swoją reputację. Obserwujemy głęboką zmianę technologiczną i na rynku zostanie ten, kto będzie w stanie wykazać się wiarygodnością. To jest kolejny z przełomów, którego doświadczymy. Okazuje się, że sterowność społeczeństwa przez szeroko rozumiane media jest naszą największą słabością. Osoby głębiej obserwujące rzeczywistość muszą się starać zasypywać tę sterowność profesjonalnym komentarzem i szlachetną edukacją, pokazując, jak odróżniać fakty od fikcji, jak nie dawać się łapać na proste triki propagandowe, które nie są opisem rzeczywistości, a wyłącznie manipulacją, jak nie oddawać się czystym emocjom, tylko mieć realny wpływ na własne decyzje. Bo teraz ludzie zbyt często tracą kontrolę nad własnymi decyzjami i dają się kierować prosto generowanymi emocjami. A w sytuacji konfliktów, które dzieją się wokół nas, świadomość, że jesteśmy podatni na manipulację, buduje duży obszar niebezpieczeństwa w sferze militarnej i strategicznej. Pora, byśmy dorośli jako społeczeństwo – komentuje Miłosz Lodowski.

CO NAS CZEKA W DRUGIEJ TURZE?

Wynik pierwszej tury wyborów prezydenckich pokazał nam także, że łącznie kandydaci o poglądach prawicowych zdobyli poparcie wyższe niż ci o poglądach lewicowych, centrolewicowych i liberalnych. Ogólnopolska Grupa Badawcza Łukasza Pawłowskiego przewidziała także ten trend. W lutym 2025 r. OGB przeprowadziła badanie, z którego wynikało, że w Polsce przybywa wyborców prawicowych.

„Jeszcze nigdy w naszych badaniach tak wiele osób nie deklarowało poglądów prawicowych. Okazuje się, że największy na to wpływ ma zmiana poglądów kobiet w Polsce. Prawicowa fala nie omija naszego kraju, ale do tej pory miała ona twarz mężczyzny, ograniczając poparcie dla takich partii jak Konfederacja do połowy elektoratu, ale zaczyna się to zmieniać – wyjaśniał w mediach społecznościowych szef OGB Łukasz Pawłowski. – Jak się zmieniły poglądy Polaków przez ostatni rok? Doszło tutaj do małej rewolucji. Jeszcze w lutym 2024 r., kilka miesięcy po wygranych przez opozycję wyborach parlamentarnych, 32 proc. deklarowało poglądy prawicowe, 22 proc. lewicowe. Było to zdecydowanie na fali tamtego zwycięstwa. Już w wyborach samorządowych – 39 proc. prawicowe, 18 proc. lewicowe. Bardzo podobnie wyglądało

Okazało się, że niektóre sondażownie uczestniczyły w manipulowaniu rzeczywistością. Wyszło na jaw, że one bardziej warunkują ludzi, a nie informują o tym, jak w rzeczywistości wygląda stan emocji – mówi Miłosz Lodowski

to przy wyborach europejskich – 38 proc. (prawicowe) i 18 proc. lewicowe” – tłumaczył szef OGB. Jednak w badaniu opublikowanym w lutym 2025 r. 42 proc. Polaków zadeklarowało poglądy prawicowe. To najwyższy wskaźnik odnotowany w badaniach OGB w ostatnich pięciu latach. Poglądy lewicowe zadeklarowało tylko 15 proc. badanych. To zaś najniższy poziom poglądów lewicowych we wszystkich badaniach przez ostatnie pięć lat, które przeprowadził OGB.

Co się może wydarzyć w drugiej turze wyborów prezydenckich? Po zakończeniu pierwszej tury OGB zaprezentowała sondaż dotyczący drugiej tury. Wyniki pokazują, jak kształtuje się poparcie dla kandydatów przed decydującym starciem 1 czerwca. Z badania wynika, że w drugiej turze Karol Nawrocki wygrywa z wynikiem 51,5 proc. Rafał Trzaskowski może liczyć na 48,5 proc. głosów wyborców.

Żuł niebawem przekonamy się, czy i tym razem Ogólnopolska Grupa Badawcza typowała najtrafniej.

REKLAMA



"Ucho igielne"
Mariola Serafin
sobota, godz. 18.30
i niedziela, godz. 11.30

Radio 106.2
Warszawa
dobrze słuchać



Sześć refleksji po pierwszej turze

Wyraźnie rysuje się społeczny wymiar potencjalnego prawicowego sojuszu u władzy. Byłby to faktyczny sojusz młodych ze starymi, co w praktyce rządzenia wymagałoby zarówno stopienia libertariańskiego ostrza młodej Konfederacji, jak i socjalnych zapędów starego PiS

1. Pierwszą turę wyborów wygrał Rafał Trzaskowski, a przegrał Donald Tusk.

Tak by można najkrócej ująć głębszy polityczny sens wyników głosowania z poprzedniej niedzieli. Kandydat Platformy wygrał jednak tylko 2 proc. przewagi nad kandydatem PiS, a to zbyt mało, aby być faworytem ostatecznego głosowania. Teraz trochę zbyt nisko wisi nad nim tzw. szklany sufit, którego przebicie, choć teoretycznie możliwe, w praktyce zawsze jest bardzo trudne.



JAN ROKITA

„Szklany sufit” w podwójnym znaczeniu tego terminu.

Po pierwsze, bo suma głosów oddanych na wszystkich centrolewicowych kandydatów to dla Trzaskowskiego ciągle zbyt mało, by zwyciężyć, nawet

gdyby wszystkie te głosy przepłynęły do niego w drugiej turze.

Po drugie, bo od wyniku PO z wyborów parlamentarnych 2023 r. Trzaskowski dzieli tylko ok. 500 tys. głosów, podczas gdy jego rywala od analogicznego wyniku PiS – blisko 2 mln. Gdyby zatem w drugiej turze obu udało się zmobilizować pełne elektoraty swoich macierzystych partii, wygranym byłby kandydat PiS.

Wszystkie rozważania tego typu warte są jednak tylko tyle, iż pozwalają



balną, czyli propagandową, stanowczością premiera a jego nieustanną taktyką krok w przód i dwa kroki do tyłu niemal w każdej kwestii doniosłej dla wyborców.

Tusk przekonał swoich zwolenników, że politycy PiS w ciągu swych rządów mieli ukraść niebotyczną sumę 100 mld zł. Ludzie liczyli na to, że w końcu się dowiedzą, gdzie były te kradzieże, kto idzie za nie siedzieć, ile pieniędzy odzyskano. Dziś, choć premier stosuje jeszcze ostrzejszą niż dotąd „kryminalną” retorykę wobec PiS (np. we wtorkowej sejmowej mowie oskarżycielskiej), każdy rozumie, że sensacje Tuska to humbug niepoparty ani dowodami, ani skutecznym działaniem państwa.

Tak samo z wielkimi inwestycjami publicznymi, które za Mateusza Morawieckiego stały się znakiem firmowym rządu i czymś na kształt polskiej ambicji narodowej. Od Tuska raz było

Co sprawiło, że premier Tusk przegrał pierwszą turę wyborów? Moja hipoteza jest taka, że płaci za swoją politykę kunktatorstwa i niezdecydowania

stwierdzić, że inaczej niż w pierwszej turze w finałowej rozgrywce Nawrocki startuje z wyraźnie lepszej pozycji. Tylko tyle i aż tyle można dziś uczciwie powiedzieć na ten temat.

2. Co sprawiło, że premier Tusk przegrał pierwszą turę wyborów? I to tak wyraźnie, iż zauważyli to wszyscy, nawet jego dotychczasowi zaciekli poplecznicy?

To trudne pytanie, bo w istocie można stawiać wyłącznie hipotezy, zapewne wzajemnie sprzeczne.

Moja jest taka, iż Tusk płaci za swoją politykę kunktatorstwa i niezdecydowania. Ten pogląd jest zapewne znany czytelnikom moich analiz na łamach „Sieci”. Nieraz się zastanawiałem, skąd tak drastyczna różnica pomiędzy wer-

bać ich skrajne potępienie, drugi raz – deklaracje kontynuacji. A w praktyce krok w przód i dwa do tyłu, kunktatorstwo i niezdecydowanie, których naturę trudno nawet sensownie objaśnić. To wszystko coraz bardziej czyni z premiera jakąś figurę krzykliwego demagoga niżli wiarygodnego egzekutora polityki. I odbija się zawodem oraz rozczarowaniem nawet najbardziej entuzjastycznych zwolenników.

A teraz, po przegranej dla premiera w pierwszej turze, on sam znierzępliwiony tym faktem „marudzi i kwęka”, opowiadając w rządowej telewizji, iż ponoć „nie lubi takiego marudzenia i kwękania tych wszystkich, którzy wiedzą, o co chodzi, ale tracą bardzo

szybko ducha walki”. Jakby nie rozumiał, że coraz więcej ludzi właśnie nie wie, o co mu chodzi.

3. Ciekawę jest, w czym upatrują przyczyny tej przegranej Tuska wielkie europejskie media, całym sercem zaangażowane przeciwko stronie Platformy.

Typowym przykładem może tu być wpływowy niemiecki dziennik „Politico”, czytany w gabinetach rządowych w Europie i za oceanem. Przywołany przez tę gazetę ekspert z Uniwersytetu Sussex wskazuje wyłącznie na zawód lewicowych wyborców tym, iż Tusk nie wykazał mocnej woli ani we wprowadzeniu swobody aborcyjnej, ani w uznaniu małżeństw gejowskich, ani nie pokazał konsekwencji w ściganiu i aresztowaniach funkcjonariuszy PiS.

To charakterystyczny pogląd zachodnich mediów liberalnych, choć w Polsce podzielany raczej tylko przez ludzi o skrajnie lewicowych przekonaniach. Niemniej jest w nim (jak mi się zdaje) pewna doza racji. Jeśli premier na serio chciał rozbić prawicę, powinien był zmobilizować po swojej stronie entuzjazm i pragnienie odwetu wszystkich najbardziej ekstremalnych rewanżystów i piewców kontrkultury. Wtedy dziś zamiast obecnego zrządzenia profesorów, „Wyborczej”

i feministek wszyscy oni podążyliby za Tuskiem i Trzaskowskim ze śpiewem na ustach. A takie rzeczy są kluczowe do wytworzenia atmosfery zwycięstwa, której brakuje w obozie władzy. Przez półtora roku rządzenia nie da się mobilizować zwolenników wyłącznie werbalną propagandą, nawet jeśli jest ona tak agresywna, jakby miała zwiastować wojnę domową.

4. Rozkwit nacjonalistycznej i libertarianńskiej prawicy (Mentzen, Braun) pozostanie zapewne najważniejszym i najbardziej zapamiętanym zjawiskiem politycznym pierwszej tury wyborów.

Co ciekawe, mocno przypomina to kształt ruchu trumpistowskiego w Ameryce, który w gruncie rzeczy też jest (podobnie jak polska Konfederacja) ideowym sojuszem grup nacjonalistycznych i radykalnie wolnościowych.

W polskich warunkach rozkwit tego ruchu ma ogromne znaczenie w prognozowaniu przyszłej polityki. Pozwala się bowiem spodziewać odwrócenia obecnej sytuacji ze zdolnością koalicyjną obu wielkich partii. A warto pamiętać, iż w wyniku wyborów 2023 r. Tusk został premierem nie dlatego, że je wygrał, lecz dlatego, że w przeciwieństwie do PiS PO dysponowała przewagą zdolności koalicyjnej. Teraz premier niczym polityczny rekin polyka swoje „przystawki”, a niedzielne głosowanie chyba już definitywnie rozstrzyga nie-szczęśny (choć chyba zasłużony) los plastikowego Szymona Hołowni.

Na prawicy – mimo wszelkich prób przeciwdziałania temu przez Jarosława Kaczyńskiego – przy prawej ścianie i tak umacnia się potencjalny partner PiS do rządu. Może to wyglądać na paradoks, ale w istocie wcale nim nie jest: wielkie partie zazwyczaj robią wiele, aby umożliwić rozwój swym potencjalnym koalicyjantom, a potem tego żałują, gdyż same tracą przez to zdolność rządu.

5. Wrażenie robi skala dominacji Mentzena w młodym pokoleniu: to przeszło jedna trzecia w kohorcie wyborców poniżej 30. roku życia.

To ważne, zważywszy na jeszcze inną ciekawą okoliczność dotyczącą młodych wyborców. Już drugi raz z kolei (podobnie było w wyborach 2023 r.) obserwujemy zwiększoną mobilizację młodych wyborców przed trzydziestką, wśród których frekwencja jest wyższa niżli wśród ludzi po sześćdziesiątce.

Wygląda to na odwrócenie trendów, z jakimi mieliśmy do czynienia w polskiej polityce przez długie lata, tzn. wzmoczonej aktywności wyborców na emeryturze i obywatelskiej dekadencji młodych. Jeśli zestawić ten nowy trend ze znaną od dziesięcioleci dominacją PiS wśród najstarszych wyborców, wyraźnie rysuje się społeczny wymiar potencjalnego prawicowego sojuszu u władzy. Byłby to faktyczny sojusz

młodych ze starymi, co w praktyce rządu wymagałoby zarówno stępienia libertariańskiego ostrza młodej Konfederacji, jak i socjalnych zapędów staro PiS. Takie kompromisy u władzy stanowiłyby niewątpliwym pożytkiem dla idei sprawiedliwości.

Swoją drogą imponująca jest nowa ideowość prawicowej młodzieży, która en masse głosuje na kandydata mówiącego w toku kampanii o płatnych studiach i antyaborcyjnym rygoryzmie. W potocznej wyobraźni społecznej jedno i drugie powinno kategorycznie odrzucać od Mentzena wyborców z tzw. pokolenia zet i milenialsów, ale w rzeczywistości wcale tak nie jest.

Rozkwit prawicy pozostanie zapewne najważniejszym i najbardziej zapamiętanym zjawiskiem politycznym pierwszej tury wyborów. Ma to ogromne znaczenie w prognozowaniu przyszłej polityki. Pozwala spodziewać się na przyszłość odwrócenia obecnej sytuacji ze zdolnością koalicyjną obu wielkich partii

Zestawienie poglądów Mentzena, które jest on gotów głosić z odwagą, z jego wynikiem, pozwala zatem wyrobić sobie znacznie lepsze wyobrażenie o ideowości młodych i ich gotowości do myślenia w kategoriach wspólnego dobra. To bardzo optymistyczny sygnał dla polityków, którym marzyłaby się bardziej ambitna i mniej oportunistyczna polityka państwowa. Niewykluczone, że dziś wśród młodych wyborców można by znaleźć bezcenne zaplecze dla niej.

6. Jeśli na prawicy coś musi niepokoić, to wniesienie przez Konfederację do centrum

debaty – akurat teraz, tuż przed rozstrzygnięciem wyboru głowy państwa – kwestii polskiego sprzeciwu wobec przysięgłego członkostwa Ukrainy w NATO.

Jest to jedno z żądań, które Mentzen nie tylko przedstawił obu kandydatom, lecz także domagał się ich podpisu pod tego rodzaju zobowiązaniem. Co innego mówić takie rzeczy pod publiczność, a co innego żądać pisemnych zobowiązań.

To pomysł zdecydowanie szkodliwy dla interesów państwa polskiego. Logicznym nonsensem jest już sama próba skrępowania w ten sposób polskiej polityki wschodniej w przyszłości,

i to przy niemożliwej do uzyskania dziś wiedzy o tym, jak po wojnie ukształtuje się nowy układ sił we Europie Wschodniej. A może być tak, że po zakończeniu wojny silna armia ukraińska okaże się (tak jak w 1920 r.) jedynym europejskim sojusznikiem gotowym do braterstwa broni z Polakami, jeśli Moskalom na serio przyszedłby kiedyś do głowy pomysł ruszenia na Europę.

Niestety odnoszę wrażenie, że Mentzen nie rozumie tego, iż jedyną postacią polskiego politycznego zwycięstwa w obecnej wojnie byłoby rozszerzenie amerykańskiej strefy bezpieczeństwa na wschód od polskich granic. Czyli Ukraina w NATO.

Niestety nie zależy to od Polaki, bo blokada nie od dziś tkwi w Waszyngtonie i Berlinie. Nie wiedzieć tylko, po co Mentzen próbuje wymusić na przyszłym prezydencie, aby ten *in blanco* podziwował amerykańsko-niemiecką politykę, niekorzystną dla polskich interesów. Na polskiej prawicy przydałoby się w końcu przemyśleć i zrozumieć takie rzeczy.

Przed drugą turą przydałaby się też jasna, porządkująca interwencja Jarosława Kaczyńskiego, który nie zwykł tracić głowy w sprawach interesu narodowego i dobrze rozumie, co jest polskim interesem na Wschodzie. Tyle że milczy. /



Ukraina. Wojna czy pokój?

Nic nie wskazuje na to, by Putin chciał szybkiego zakończenia wojny. Ukraińcy przygotowują się do dalszej walki. Jakie czynniki mogą zmusić obie strony do zawieszenia broni i pokojowych negocjacji?



MAREK BUDZISZ

Wątlę proces pokojowy, w wyniku którego mogłaby się zakończyć wojna na Ukrainie, wisi na włosku. Amerykański prezydent po rozmowie telefonicznej z Putinem, której przebieg, jak relacjonowała Kaja Kallas, szefowa unijnej dyplomacji, „szokował” tych

przywódców państw naszego kontynentu, do których zadzwonił Trump. Niespodziewanie zadeklarował też rezygnację z roli pośrednika. Jego zdaniem mediatorem mógłby być Watykan, a papież Leon XIV podobno jest gotów gościć ukraińskich i rosyjskich negocjatorów.

Prezydent Finlandii Alexander Stubb potwierdził te informacje w rozmowie z lokalną stacją telewizyjną, twierdząc, że „techniczna” faza rozmów pokojowych mogłaby się rozpocząć już w przyszłym tygodniu. Nie będą one łatwe, bo Kreml zaostrza swoje stanowisko. Putin, „wyraźnie zrelaksowany”, jak opisują media, odwiedził obwód kurski, gdzie spotkał się z gubernatorem i wolontariuszami. W wygłoszonym przemówieniu znów mówił o „neofaszystach” rządzących w Kijowie oraz podkreślał, że Rosjanie i Ukraińcy „to jeden naród”. Tego rodzaju wypowiedzi wskazują na chęć powrotu do tematu „denazyfikacji”, czyli zmiany ekipy rządzącej Ukrainą, a także do kwestii prawnej ochrony rosyjskojęzycznej mniejszości, co miałyby być narzędziem ograniczenia ukraińskiej suwerenności.

W Kursku Putin pozytywnie zareagował na postulat Pawła Zołotariowa, przedstawiciela lokalnej administracji, który postulował zajęcie przez Rosjan ukraińskiego nadgranicznego miasta Sumy z przyległymi terenami i uczynienie z tych obszarów rosyjskiej „strefy buforowej”. Tego rodzaju plany potwierdzają zarówno doniesienia ukraińskiego zwiadu o koncentracji przez Moskali sił w rejonach przygranicznych, jak i niedawna wypowiedź jednego z rosyjskich negocjatorów, który na koniec spotkania w Turcji miał powiedzieć, że brak zgody ukraińskich przedstawicieli na rosyjskie propozycje pokojowe będzie oznaczał, że „następnym razem będziemy rozmawiać” nie o czterech prowincjach, które chce anektować Rosja, ale o pięciu.

Może się zatem okazać, że jedynym wymiernym wynikiem rozmów o pokoju będzie wznowienie walk z większą intensywnością, a wojna przedłuży się do końca roku, jak prognozują niektórzy eksperci. Warto się zatem zastanowić, jakie czynniki przemawiają za zawarciem rozejmu, a co powoduje, że szanse na pokój się oddalają.

UKRAIŃSKA „STREFA ŚMIERCI”

Po pierwsze, Rosjanie posuwają się coraz wolniej i to jest jeden z zasadniczych powodów, dla których rośnie ich skłonność do negocjacji. Z analiz grupy

ekspertów Deep State wynika, że od stycznia udaje im się zdobywać jedynie 41 km², czyli 0,15 proc. ukraińskiego terytorium miesięcznie. Oznacza to, że przesuwają się trzy razy wolniej niż jeszcze pod koniec poprzedniego roku i na razie mają niewielkie szanse na zmianę tego trendu. Tym bardziej że Ukraińcy rozpoczęli budowę „linii Drapatego” i zapowiedzieli skokową rozbudowę swych sił dronowych. Chcą stworzyć „strefę śmierci”, przez którą rosyjscy żołnierze, nie mówiąc już o sprzęcie, nie będą się w stanie przebić. Ma to być głęboki na 15 km pas terenu rozgraniczającego walczące strony, który w intencji strony ukraińskiej ma być „nie do przebycia”. W pasie 10–15 km siły ukraińskie będą się koncentrowały na wyeliminowaniu artylerii i pojazdów pancernych przeciwnika. Są w tym niezli, bo jak pod koniec lutego informował dowódca 412. pułku systemów bezzałogowych Nemesis, tylko w ciągu miesiąca jego podwładnym udało się zniszczyć 365 haubic samobieżnych i dział przeciwnika. W pasie 5–10 km mają być niszczone zdolności logistyczne Rosjan, a ostatni odcinek od „linii zero”, czyli linii walki, do głębokości 1,5 km będzie strefą nie do przejścia dla rosyjskiej piechoty. Ten obszar buforowy ma uzupełniać strefa działań na tyłach przeciwnika, bo Ukraińcy chcą początkowo zniszczyć cele położone 50 km w głąb rosyjskiego terytorium, a potem rozszerzać ten obszar nawet do 80 km.

Dowodzący ukraińskimi siłami lądowymi gen. Drapaty zapowiedział też zmiany w zakresie rekrutacji. Najskuteczniejsze w walce „jednostki dronowe” mają prowadzić własny nabór i szkolenie, a pieniądze z ukraińskiego budżetu mają płynąć wprost proporcjonalnie do liczby udokumentowanych „trafień”. Ten system już uruchomiono i jak relacjonował mediom dowódca jednej z pięciu najlepszych ukraińskich jednostek dronowych, których zwierzchnicy go zainicjowali, w pierwszym miesiącu na publiczny apel tylko do jego pułku zgłosiło się 7 tys. ochotników. Uczestniczące w projekcie pułki, takie jak Rarog, Achilles czy Feniks, szybko mają stać się brygadami, a najskuteczniejsza brygada dronowa Ptaki Madziara może się rozrosnąć do wielkości dywizji.

PRZEWAGI ROSJAN

Jeśli Ukraińcom uda się budowa „linii Drapatego”, straty Rosjan wzrosną, a tempo, w jakim zdobywają teren – spadnie. Problemem jest to, że Moskale też się uczą. Jeśli chodzi o nowe konstrukcje, Ukraińcy mają zdecydowaną przewagę, wymyślając, produkując i wysyłając na front nowe modele dronów, ale Rosjanie przyspieszają. Jak mówiło mi wielu rozmówców w czasie mojej niedawnej wizyty w Kijowie, Moskale mają to, czym na razie nie dysponuje strona ukraińska, czyli masę. Wojna dronowa jest intensywna, a to oznacza, że obie strony bardzo szybko wchodzą w posiadanie nowinek technicznych, którymi posługuje się przeciwnik. Rosjanie kopiują ukraińskie rozwiązania, a dysponując większą bazą przemysłową, zaczynają to robić na znacznie większą skalę. Na razie Ukraina nie ma takich zdolności, dysponując rozproszoną i złożoną z garażowych firm bazą produkcyjną.

Obecnie starania Kijowa koncentrują się na zbudowaniu zaplecza produkcyjnego dla ukraińskich sił zbrojnych, które miałyby być zlokalizowane w bezpiecznych państwach sojusznicych. Kopenhaga uruchomiła tzw. model duński, polegający na finansowaniu produkcji zbrojeniowej na Ukrainie i w Danii w ramach puli pomocy dla Kijowa, a Litwini chcą produkować drony morskie Magura w formule 1+1 – to oznacza, że jedna zbudowana w litewskiej fabryce konstrukcja pozostanie na miejscu, a druga – przekazana Ukrainie. Kijów chciałby, aby tego rodzaju partnerstwo rozszerzyć również na Polskę, bo sprzęt używany w codziennych walkach nie może być produkowany za oceanem i tygodniami pokonywać drogi na front.

STRATY PO OBU STRONACH SĄ CORAZ WIĘKSZE

W najbliższym czasie Rosjanie spróbują zapewne przeprowadzić kolejną dużą ofensywę i jeśli Ukraińcom uda się ją zatrzymać, to wojownicze apetyty Kremla mogą znacząco osłabnąć. Coraz większą rolę po obu stronach zaczyna bowiem odgrywać demografia. Straty są tak duże, że kontynuowanie walki w obecnym modelu może negatywnie

wpłynąć na przyszłość narodu. Putin mówiący o tym, że „Rosja ma wystarczające zasoby”, aby kontynuować wojnę do zwycięskiego końca, blefuje, o czym świadczą najnowsze dane na temat sytuacji demograficznej w Rosji. Należałoby raczej napisać o braku danych, bo Rosstat, odpowiednik naszego GUS, właśnie utajnił informacje na ten temat.

„W Rosji od marca 2025 r. praktycznie nie ujawnia się publicznie statystyk” na temat liczby zgonów i narodzin”, powiedział mediom Aleksiej Raksza, niezależny analityk demograficzny. Jego zdaniem spadek liczby dzieci przychodzących na świat jest największy od 200 lat, a zgony, zarówno ze względu na wojnę, jak i oszczędności w służbie zdrowia – bo pieniądze są potrzebne na co innego – szybko rosną. W efekcie szacuje się, że w ub.r. liczba obywateli Federacji Rosyjskiej spadła o blisko 600 tys., a w tym roku należy spodziewać się pogłębienia tego trendu. To oznacza, że ogłoszenie kolejnej mobilizacji staje się dla Putina coraz trudniejsze, a do przelamania ukraińskiej „linii dronów” może być potrzebna „masa ludzka”. Rosyjski przywódca może poprosić swego sojusznika z Korei Północnej o dostarczenie nowej partii mięsa armatniego, ale i to łatwiej zapowiedzieć, niż przeprowadzić.

KTO ZA TO ZAPŁACI?

Czynnik demograficzny jest zatem argumentem na rzecz pokoju po obu stronach. Kolejnym są pieniądze. Ukraina przeznaczająca całość swych dochodów budżetowych na finansowanie sił zbrojnych, a państwo funkcjonuje dzięki zagranicznym kredytom i pomocy. Rosja jest znacznie zamożniejsza, ale to nie oznacza, że ma nieograniczone możliwości. Polityka Trumpa i porozumienie Waszyngtonu z Arabią Saudyjską wpłynęły na obniżenie światowych cen ropy naftowej, a jej eksport jest jednym z głównych źródeł finansowania wojny przez Putina. W efekcie w maju rosyjski rząd musiał skorygować budżet, obniżając planowane dochody z eksportu węgłowodórów o 2,6 bln rubli, czyli ok. 25 proc. Sytuacji nie ułatwia też silny

rubel, którego kurs w ciągu roku wzrósł o 20 proc. Nie należy z tego wywodzić, że Putinowi zabraknie pieniędzy na kontynuowanie wojny, ale będzie mu trudniej korzystać z dostępnych zasobów.

Związane z wojną większe wypłaty dla ludności w postaci żołdu i premii dla ochotników czy podwyżki wynagrodzeń w sektorze przemysłowym w połączeniu z wysokim oprocentowaniem depozytów w bankach spowodowały rekordowo wysoki poziom oszczędności rosyjskich rodzin. Bankowe oszczędności wynoszą dziś w Rosji 60 bln rubli, podczas gdy

Ukraińcy chcą stworzyć tzw. strefę śmierci, przez którą rosyjscy żołnierze nie będą się w stanie przebić. Ma to być głęboki na 15 km pas terenu rozgraniczającego walczące strony. To on ma zapobiec posuwaniu się Moskali w głąb Ukrainy

wydatki na wojnę, jak szacuje ekonomista Sergiej Szelin, zamykają się kwotą ok. 18 bln rubli.

Putin chce wydawać na siły zbrojne 200 mld dol., czyli 8 proc. rosyjskiego PKB, co odpowiada poziomowi z czasów ZSRR i nie musi prowadzić do wzbudzenia niezadowolenia społecznego. Ale wydatków na takim poziomie nie da się sfinansować wyłącznie malejącymi dochodami z eksportu węgłowodórów, więc kontynuowanie wojny, nie mówiąc już o zwiększeniu jej intensywności, musiałoby oznaczać przejście przez państwo oszczędności ludności. Nie musi to oznaczać ich konfiskaty – ten sam efekt można osiągnąć, oferując program np. 10-letnich obligacji dla ludności, ale nie zmienia to faktu, że tego rodzaju krok może być źle odebrany przez „głębiny naród”. Dlatego Putin nie spieszy się z tego rodzaju decyzjami.

CO DALEJ Z SANKCJAMI?

Innym źródłem niepewności obu walczących stron – a to może zwiększać skłonność do zawarcia zawieszenia broni – jest kwestia sankcji. Jak informuje dziennik „The New York Times”, Trump nie chce ich wzmożenia, aby zwiększyć presję na Kreml, ale z ostatnich wypowiedzi Marco Rubio można wnioskować, że w Kongresie i administracji rośnie presja zwolenników bardziej siłowej rozgrywki z Putinem. Jeśli amerykańskiemu prezydentowi skończy się cierpliwość, a o takiej perspektywie publicznie mówił sekretarz stanu, w grę wchodzi „opcja atomowa”, czyli przyjęcie propozycji senatora Grahama przewidujących amerykańskie sankcje automatycznie nakładane na wszystkie państwa handlujące z Rosjanami, w tym importujące ich ropę naftową.

Możliwy jest też scenariusz korzystny dla Kremla. Jeśli bowiem Biały Dom nie poprze sankcji, a Europejczycy mimo odważnych deklaracji nie będą w stanie wprowadzić ich nowego pakietu w najbliższych tygodniach, może się okazać, że przedłużenie starych regulacji sankcyjnych, co musi nastąpić w czerwcu, będzie problemem. W najczarniejszym scenariuszu załamanie się europejskiego reżimu sankcyjnego może też oznaczać uwolnienie rosyjskich aktywów wartych 200 mld dol., zamrożonych w Belgii.

W opinii wielu ekspertów od czwatego szczytu NATO zależy nie tylko przyszłość Sojuszu, lecz także to, jaką politykę wobec zakończenia wojny na Ukrainie będzie realizował Zachód. Kijów może nie chcieć zakończenia wojny na rosyjskich warunkach, ale postawa państw sojuszniczych w zasadniczy sposób wpłynie na to, czy Ukraina będzie w stanie trwać w opozycji. Rosjanie liczą, że osiągną sukces także na tym polu, a to oznacza, że do końca czerwca raczej trudno spodziewać się rozstrzygnięcia. Każda ze stron konfliktu będzie uważała, że jest w stanie wygrać wojnę, a tej pewności może ją pozbawić jakieś bliżej nieokreślone, ale decydujące wydarzenie. Póki ono nie nastąpi, konflikt będzie trwał, rozmowy, choć prowadzone, nie przyniosą konkluzji, a ludzie będą ginąć.

Bez Boga jest tylko ciemność



O sytuacji na froncie i pod rosyjską okupacją, swojej służbie w Zbrojnych Siłach Ukrainy, Bogu i patriotyzmie mówi **Janušas Mindaugas**, litewski ratownik medyczny walczący przeciwko Rosji, w rozmowie z Andrzejem Skwarczyńskim

Zacznijmy od początku – skąd się wziął Litwin na Ukrainie w czasie wojny z Rosją?

Janušas Mindaugas: Gdy tylko rosyjska armia pogwałciła suwerenność Ukrainy i pod koniec lutego 2022 r. wkroczyła na jej terytorium, postanowiłem jak najszybciej jechać do zaatakowanego kraju i jako wolontariusz nieść niezbędną pomoc. Moje pierwsze wyjazdy zaprowadziły mnie do Lwowa, Kijowa i Odessy. Przede wszystkim pomagaliśmy cywilom, dostarczając wodę, żywność i leki.

Moja reporterska ścieżka na początku konfliktu wiodła tym samym szlakiem, ale mimo kilkunastu wyjazdów pozostałem dziennikarzem.

Twoja droga zaprowadziła cię jednak w inne miejsce. Z wolontariusza stałeś się żołnierzem. Skąd taka decyzja?

Dowózac w wiele miejsc najpotrzebniejsze produkty cywilom poszkodowanym przez rosyjską napaść, widziałem wiele zła wyrządzonego przez najeźdźców. Skutki ostrzału raketowego czy artyleryjskiego często były niewyobrażalne, ale nie sposób ich porównywać z tragediami ludzi tracących najbliższych na skutek bombardowań. W pewnym momencie poczułem, że walka ze złem wymaga więcej niż tylko próbowania łagodzenia efektów jego działań. Wolontariat przestał mi wystarczać. Chciałem bezpośrednio walczyć z wrogiem. Zaciągnąłem się do ukraińskich sił zbrojnych, tam miałem możliwość wyboru: czy chcę służyć śmierci, czy życiu. Zostałem medykiem i służę życiu. Dzięki medycynie więcej żołnierzy przeżyje i wróci do domów.

Obecnie sytuacja na Ukrainie jest bardzo ciężka. Ludność codziennie, nie tylko nocami, ponosi bardzo wysokie straty od różnego rodzaju ostrzałów. Zginęło dużo dzieci i całych rodzin. Co z tego wynika? W pierwszej kolejności mężczyźni muszą iść do wojska, by bronić kraju, a po drugie potrzebna jest modlitwa i pomoc ludziom. Dobrze znam sytuację z Zaporozża – tam są całe rodziny, które pilnie potrzebują wsparcia. Nie chodzi tylko o żywność i wodę, lecz także pomoc psychologiczną i duchową.

Czy państwo nie pomaga potrzebującym?

W czasie wojny w wielu miejscach Caritas i Kościół zastępują władze państwowe, które nie są w stanie zadbać o wszystko. W Zaporozżu bracia Albertyni [zgromadzenie zakonne założone przez św. Alberta Chmielowskiego – Brata Alberta – przyp. red.] oddają wiekopomne zasługi, żywiąc setki potrzebujących. Chwała Bogu za ich misję, bo bez nich sytuacja byłaby znacznie cięższa. Z kolei na terenach okupowanych rzeczywistość jest okropna, a świat nie chce o tym słuchać.

Tylko za używanie języka ukraińskiego można trafić do więzienia lub stracić życie. Co więcej, identyczna kara może spotkać ludzi, którzy nie mając co jeść, wezmą żywność od wolontariuszy.

Czy Ukraińcy znajdujący się pod okupacją są w stanie zarobić choćby na jedzenie?

Jest z tym różnie, ale koniecznym warunkiem zatrudnienia pozostaje uzyskanie rosyjskiego paszportu. Bez tego nie ma możliwości legalnej pracy. W Mauriupolu na początku okupacji

Sytuacja na froncie jest bardzo ciężka. Liczba ofiar jest wysoka, ciągle potrzeba nowych rekrutów i wszelkiego rodzaju pomocy. To nie jest tak, że skoro front się nie przesuwają, nie giną ludzie. Ginią codziennie

nie było niczego – brakowało wody, jedzenia, pracy, a nawet możliwości przywiezienia pomocy humanitarnej. Obecnie sytuacja się tam poprawiła, jednak wszystko działa w rosyjskim systemie prawnym.

Ale ze względu na dużą liczbę ludzi uciekających przed wojną w wielu miastach na Ukrainie sytuacja też nie jest łatwa.

Jak Ukraińcy mogą pomagać sami sobie?

Obecnie są trzy drogi – można zostać żołnierzem, wolontariuszem albo zakonikiem. Każdy na swój sposób pomaga Ukrainie i jej mieszkańcom i każda z tych ścieżek wsparcia ludzi jest istotna.

Państwo najpilniej potrzebuje rekrutów. Niejednokrotnie słyszałem historie o wcielaniu do armii wo-

lontariuszy, którzy w cywilu byli bardziej przydatni niż na froncie. Opowiadano mi również o tym, że sutanna coraz rzadziej daje możliwość uchylecia się od poboru.

Tak, są takie sytuacje. Jednak ja odwróciłem to pytanie. Według mnie istotniejszy jest powód, przez który tak się dzieje. Jeżeli część mężczyzn ukrywa się w domach i w żaden sposób nie wspiera państwa w potrzebie, to ono musi się uciekać do takich działań. Wojna dotyczy każdego – czy tego chcemy, czy nie. Wszyscy powinni być patriotami i nie ukrywać się za plecami żołnierzy walczących na froncie, którzy niejednokrotnie dobrowolnie wstępowały do wojska już w czasie wojny. Propanstwowa postawa społeczeństwa spowodowałaby zanik przymusowego poboru.

Na początku lutego br. podczas zdalnego spotkania kijowskiej młodzieży z papieżem jedna z dziewcząt przedstawiła Franciszkowi sytuację na Ukrainie słowami: „Ciemno, smutno, śmierć, ostrzał”. Jednocześnie spytała go, jaką on widzi misję dla nich. Papież powiedział, że młodzi powinni być patriotami.

Według mnie te słowa nie dotyczą jedynie młodzieży, lecz wszystkich ludzi mieszkających na Ukrainie.

Wszyscy powinniśmy być patriotami Ukrainy.

Co przez to rozumiesz?

Po pierwsze, należy mówić po ukraińsku. Znać i kultywować kulturę oraz tutejsze tradycje, nosić wyszywanki. Patriotci powinni wstępować do wojska, do zakonów albo działać w ramach wolontariatu. Teraz nie wystarczy nazywać się patriotą – teraz trzeba ratować Ukrainę.

Jesteś Litwinem, skąd u ciebie taka proukraińska postawa?

Przy okazji pomagania jako wolontariusz udało mi się trochę poznać Ukrainę. Zobaczyłem, jaka jest piękna, poznałem jej tradycje. W pewnym momencie zrozumiałem, że kocham ten kraj, że chcę, by był on wolny i zwycięski. Przez wygraną rozumiem nie tylko oswobodzenie okupowanych ziem, lecz także ukrócenie korupcji

oraz faktyczne wprowadzenie ukraińskiego języka i kultury na całym terytorium kraju. Ważnym elementem ukraińskiej identyfikacji jest wyszywanika. Chciałbym, żeby rozpowszechniła się ona w całym kraju. To nasz symbol narodowy.

Jeżeli wyszywanika jest również twoim symbolem narodowym, to czy jesteś bardziej Litwinem, czy Ukraińcem?

Po nieprzerwanym półrocznym pobycie tutaj czuję się bardziej Ukraińcem, ale litewskiej krwi nikt mi nie odbierze. Ukraina, Litwa, Polska – wiele nas łączy. Bardzo lubię Polskę.

A twoja rodzina?

Nie mam żony ani dzieci i nie będę mieć. Wkrótce kończy mi się kontrakt z armią, a potem zamierzam wstąpić do zakonu. Może się to wydawać nietypowe, ale nie będę pierwszym, który podąży tą ścieżką. Słyszałem o wielu przypadkach zastąpienia służby wojskowej duchową.

Skąd takie wybory?

Bycie w okopach w nieustannym zagrożeniu życia, codzienne ostrzały, obecność śmierci wzmagają miłość do Boga i innych ludzi. W takich przypadkach byli żołnierze często trafiają do seminarium albo do zakonu. Jest też druga strona tego medalu – traumatyczne przeżycia na froncie mogą skutkować całkowitą utratą wiary w Boga, i tak też się zdarza.

Dziękuję Bogu za to, że obdarzył mnie wiarą. Cieszę się, że będę zakonnikiem, a także z tego, że nie przestanę pomagać ludziom, którym jest ciężko, są chorzy, stracili dobytek. Czuję, że moją misją jest służba Bogu i ludziom. Wybrałem już zakon, do którego zamierzam wstąpić, ale na razie niech jego nazwa pozostanie tajemnicą.

Wróćmy jeszcze do teraźniejszości. Czy jako medyk wojskowy udzielasz pomocy cywilnym ofiarom ostrzału?

Jestem przypisany do swojej jednostki, która ma inne rozkazy. Pomoc cywilom nie jest głównym zadaniem sił zbrojnych. Nie mogę samowolnie oddalać się z miejsca stacjonowania,



ale czasami wykonuję zadania na terenie miasta. Zawsze mam przy sobie apteczkę z opatrunkami i jeżeli akurat w pobliżu nastąpiłby atak, to oczywiście udzieliłbym pomocy poszkodowanym. Co do zasady pomoc cywilom noszą takie służby, jak straż pożarna, pogotowie ratunkowe i policja.

W obecnych czasach wszyscy powinni być w stanie udzielać pierwszej pomocy. Każdy powinien się zaznajomić z medycyną pola walki – jak używać opasek uciskowych czy opatrywać obrażenia. Niestety cywile też odnoszą rany, które bez szybkiego opatrzenia często prowadzą do wykrwawienia. Wykonując proste czynności, ludzie są w stanie ratować życie innych, nie tylko swoich najbliższych, co również jest wyrazem miłości do Boga. Uważam, że jeżeli nie chcemy pomagać potrzebującym – uchodźcom, głodnym, bezdomnym, jeżeli wolimy na nich nie patrzeć, to nie kochamy Boga.

Czy w oddziale, w którym służysz, są też inni cudzoziemcy?

Tak. Byli inni Litwini, Kolumbijczycy, Szwed.

A Polacy?

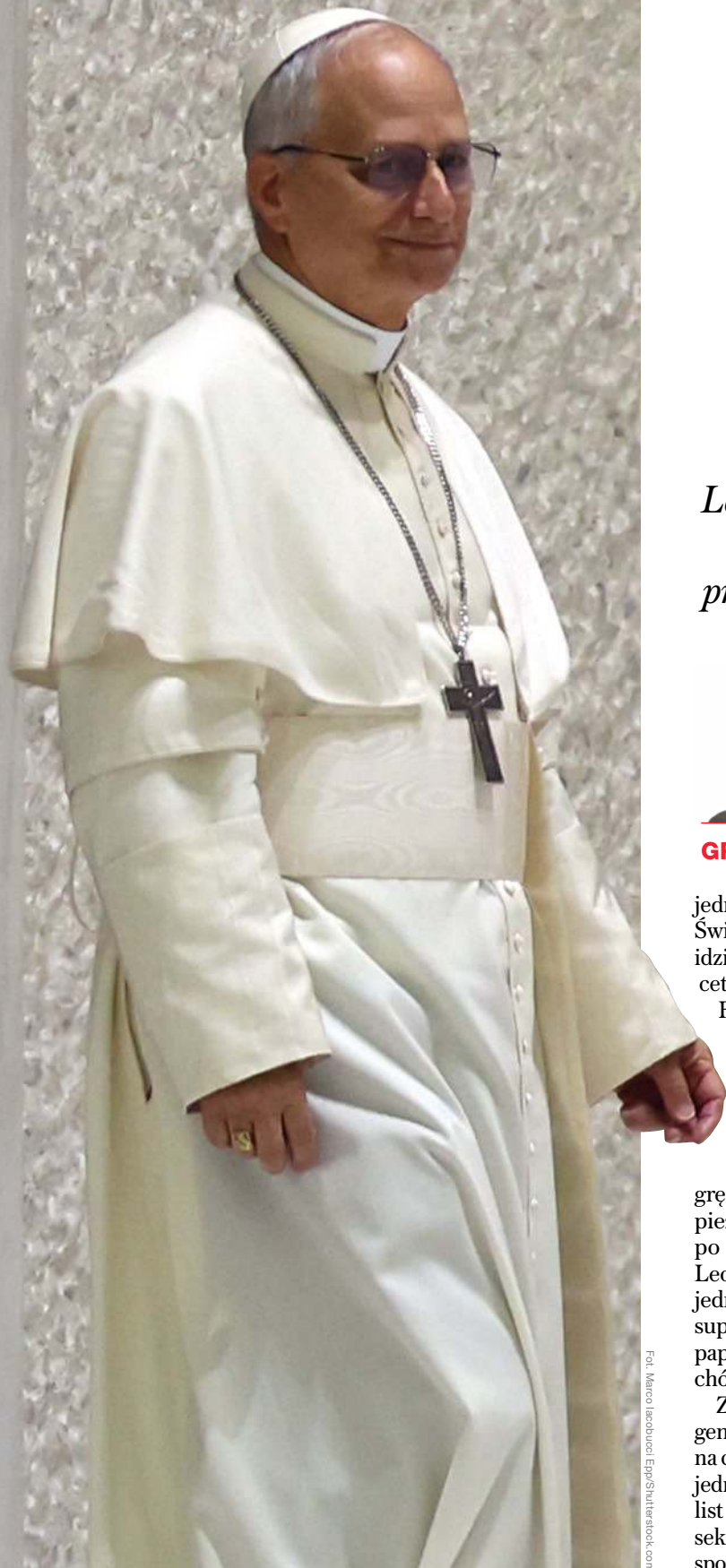
Był też Polak. Dawno go nie widziałem, ale na pewno był. Przy okazji dziękuję za pomoc, której Polska udzieliła i udziela Ukrainie.

Media w Polsce skupione są obecnie na końcowym etapie prezydenckiej kampanii wyborczej. Do Polaków dociera niewiele informacji z frontu. Co powinni wiedzieć? Jakich wyborów dokonywać?

Sytuacja na froncie jest bardzo ciężka. Liczba ofiar jest wysoka, ciągle potrzeba nowych rekrutów i wszelkiego rodzaju pomocy. To nie jest tak, że skoro front się nie przesuwa, nie giną ludzie. Giną codziennie.

Chciałbym prosić Polaków, by wybierając prezydenta, nie słuchali propagandy, nie traktowali wyborów jak loterii, a słuchali swoich serc. Każdy Polak powinien się zastanowić, który z kandydatów będzie lepszym prezydentem nie dla niego, ale dla całego kraju. To bardzo ważne, żeby została nim osoba, która nie aspiruje do tego stanowiska dla władzy samej w sobie, ale po to, by pomagać ludziom.

Chciałbym podziękować prezydentowi Andrzejowi Dudzie za to, że zawsze stał po stronie Kościoła. Jeżeli człowiek ma czas na modlitwę, to ma wszystko. To bardzo dobrze widoczne na Ukrainie. Brygady, w których jest kapelan, są żywe. Jest ciężko, ale żyją. W oddziałach, które nie chciały przyjąć duszpastorza, jest tylko ciemność. Jeśli w życiu nie mamy czasu na modlitwę, to nie mamy niczego. /



Czy lew przegoni wilki?

Leon XIV może się spodziewać ataków na siebie, jeśli będzie przypominał prawdy niewygodne dla współczesnego świata



GRZEGORZ GÓRNY

Franciszek pozostawił Leonowi XIV tak mocno podzielony Kościół, że dziś każdy gest czy krok nowego papieża jest uważnie obserwowany i natychmiast interpretowany jako wyraz poparcia dla jednej lub drugiej strony wewnątrzkościelnego sporu. Ojciec Święty założył czarne buty zamiast czerwonych – to znaczy, że idzie w tę samą stronę co Bergoglio. Przywdział czerwony murec – czyli jednak naśladuje Ratzingera. Modlił się przy grobie Franciszka – więc chce kontynuować rewolucję teologiczną. Modlił się przy grobie Benedykta XVI – czyli opowiada się za utrzymaniem ciągłości z tradycją Kościoła.

NARZUCANIE NARRACJI

Dzisiaj w internecie jest pełno tego typu komentarzy. Swoją grę podjęli także niektórzy purpuraci, próbując narzucić papieżowi własną narrację i pozbawić go pola manewru. Tuż po konklawe kard. Jean-Claude Hollerich oświadczył, że Leon XIV nie cofnie decyzji o błogosławieniu przez księży par jednopłciowych zawartej w watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans”. W ten sposób luksemburski dostojnik postawił papieża w niezręcznej sytuacji, ponieważ duża część hierarchów chciałaby odwołania wspomnianych zapisów.

Zaledwie cztery dni po rozpoczęciu pontyfikatu sekretariat generalny synodu ds. synodalności z kard. Mariem Grechem na czele wysłał pismo do nowo wybranego papieża. Nie była to jednak korespondencja skierowana osobiście do jego rąk, lecz list otwarty, opublikowany na oficjalnej stronie internetowej sekretariatu w kilku językach i szeroko nagłośniony w mediach społecznościowych. Jego autorzy wyrazili nadzieję, że Leon XIV

nie tylko będzie kontynuował proces synodalny rozpoczęty przez Franciszka, lecz także przyspieszy jego realizację. W ten sposób chcą narzucić papieżowi swój punkt widzenia na kolejną kontrowersyjną sprawę w Kościele. Spór dotyczy tego, czym ma być synod i jak należy rozumieć synodalność. W tej sprawie także rysuje się bardzo ostry podział między kardynałami i Leon XIV będzie musiał go rozstrzygnąć.

Wiadomo, że Robert Prevost okazał się kandydatem kompromisowym, który podczas konklawe zdołał pogodzić skonfliktowane ze sobą strony we wspólnym głosowaniu na niego. W optyce elektorów miał zapewnić spójność podzielonej owczarni Chrystusowej. Po wyborze on sam zresztą mówił, że jedność Kościoła jest jednym z priorytetów jego pontyfikatu. Dlatego podczas mszy inauguracyjnej podkreślał, że powinien działać, „nie ulegając pokusie stania się samotnym przywódcą czy wodzem wywyższonym nad innych, stając się panem powierzchni mu ludzi”. Wielu watykanistów odebrało to jako zapowiedź zerwania z autorytarnym, peronistycznym stylem sprawowania rządów przez Franciszka. Dla samych kardynałów, gdy wybierali Roberta Prevosta, niebagatelną rolę odegrały jego spokój, bezkonfliktowy charakter, konsyliacyjność i umiejętność wsłuchiwanie się w argumenty rozmówców.

MEDIALNA PRESJA

Gra o przeciągnięcie Leona XIV na swoją stronę toczy się również w opiniotwórczych mediach światowych. Ponieważ dominuje w nich światopogląd lewicowo-liberalny, proces ten przebiega inaczej niż wewnątrz Kościoła. Zanim papież odprawił swą pierwszą mszę, został zaliczony przez czelowe media do grona antytrumpistów, czyli ludzi światłych i postępowych. Nieustannie przypomniano internetową polemikę kard. Prevosta z J.D. Vancem na temat imigracji, traktując ją jako koronny dowód, że nowy biskup Rzymu jest przeciwnikiem obecnej administracji Białego Domu.

Gdy Leon XIV wygłosił jednak homilię o pokoju, od razu zaliczono go do obozu reakcjonistów. Stwierdził bowiem, że prawdziwy pokój można osiągnąć, „przede wszystkim inwestując w rodzinę opartą na trwałym związku mężczyzny i kobiety, małym, ale prawdziwym społeczeństwie, które jest przed wszelkim społeczeństwem obywatelskim”. Media opatrzyły to zdanie komentarzami w stylu: „Papież zamyka drzwi przed parami homoseksualnymi” albo: „Leon XIV nie mówi tego, co jego poprzednik Franciszek”.

Mario Colamarino, prezes jednej z włoskich organizacji gejowskich, nie krył rozczarowania: „W przeciwieństwie do nieśmiałych prób otwartości podejmowanych w ostatnich latach przez papieża Franciszka nowy kurs wyznaczony przez papieża Leona XIV oznacza wyraźny powrót do bardziej konserwatywnych i tradycjonalistycznych wizji politycznych”, stwierdził, dodając, że „obrona jednej formy rodziny jako prawowitej oznacza ignorowanie złożoności relacji międzyludzkich i odmawianie podstawowych praw milionom ludzi. Rodziny nie można sprowadzić do jednego modelu opartego na rzekomo niezmiennych tradycjach”.

„The New York Times” i „La Repubblica” opublikowały z kolei materiały o zdradzie małżeńskiej, jakiej miał się dopuścić Salvatore Giovanni Riggitano wobec swej żony Susazenne Fontaine, żyjąc w równoległym związku z inną kobietą. Rzecz działa się

w Chicago w 1917 r. Dlaczego tak odległa w czasie sprawa stała się „newsem” dla czołowych redakcji świata? Ponieważ bohater tej historii był przodkiem Leona XIV. Trudno nie odebrać tej opowieści jako próby nacisku na papieża w sprawie zmiany nauki Kościoła o nierozzerwalności małżeństwa.

ATAK Z DWÓCH STRON

Krytyka lewicowo-liberalnych mediów pod adresem Leona XIV ma wszelkie oznaki operacji o charakterze dyscyplinującym. Jeśli będzie przypominał prawdy niewygodne dla tych środowisk, zostanie napiętnowany jako nietolerancyjny, średniowieczny reakcjonista, oderwany od rzeczywistości i nierozumiejący współczesnego świata, może natomiast liczyć na wsparcie i medialną ochronę, jeśli jego wypowiedzi będą się wpisywać w ton mainstreamowych środowisk.

Swego czasu taki atak sparaliżował wolę działania Pawła VI, który po soborze watykańskim II był ulubieńcem prasy. Gdy opublikował jednak w 1968 r. encyklikę „Humanae vitae”, w której sprzeciwił się antykoncepcji, spadła na niego taka fala krytyki, że przez kolejnych 10 lat, do końca swego pontyfikatu, nie ogłosił już żadnej encykliki. Miał zresztą przeciwników nie tylko w mediach, lecz także wewnątrz Kościoła, ponieważ otwarcie wystąpiły przeciw niemu, wypowiadając posłuszeństwo w tej sprawie, episkopat Niemiec, Austrii czy Szwajcarii oraz prymasi Belgii i Holandii.

Podobnego ataku z dwóch stron doświadczył także Benedykt XVI. Na zewnątrz był bezpardonowo krytykowany przez media, od środka natomiast przez nielojalnych współpracowników. Szczególnie bolesna okazała się dla niego afera Vatileaks. Zakończyła się ona procesem, podczas którego na ławie oskarżonych zasiadł tylko jeden człowiek – papieski kamerdyner Paolo Gabriele, który miał wykraść poufne dokumenty i przekazywać je dziennikarzom. Rozprawa przed sądem wykazała jednak, że przeciw papieżowi zawiązano spisek pałacowy, w który zamieszanych musiało być ok. 20 osób, ponieważ Gabriele nie miał dostępu do wszystkich wyniesionych dokumentów. Kamerdyner wziął jednak całą winę na siebie, nie demaskując nikogo, dlatego jako jedyny został skazany.

WILKI KRĄŻĄ WOKÓŁ TRONU

W tym kontekście warto przypomnieć zaskakujące słowa, które wypowiedział Benedykt XVI podczas swej mszy inauguracyjnej 24 kwietnia 2005 r. Poprosił wówczas wiernych zgromadzonych na placu św. Piotra: „Módlcie się za mnie, żebym nie uciekł ze strachu przed wilkami”.

Jak podaje dziennik „Le Figaro”, po wyborze Roberta Prevosta na papieża kard. László Némét z Zagrzebia opowiadał, że wśród purpuratów krążył dowcip wyjaśniający wybór imienia Leon (oznaczającego po łacinie lwa): „Do tej pory mieliśmy Franciszka, który rozmawiał z wilkami. Teraz mamy lwa, który przegoni wilki”.

Co znaczą słowa serbskiego dostojnika, że Franciszek „rozmawiał z wilkami”? Nieco światła na tę wypowiedź rzuca specjalizujący się w tematyce watykańskiej włoski portal Silere Non Possum, który pyta, dlaczego Leon XIV tuż po swoim wyborze doświadczył ataków, jakich ze strony mainstreamowych mediów nigdy nie mu-

siał przeżywać Franciszek: „Dlaczego jego gafy były ignorowane i ukrywane, jego wypowiedzi na temat aborcji, rodziny, eutanazji pomijane, a nagłaśniane tylko te, które doceniali dziennikarze? Odpowiedź jest prosta – kontynuuje portal – papież Franciszek ugiął się pod naciskiem systemu. Był człowiekiem selfie, wywiadów telewizyjnych, przedmów do książek; papieżem, który w zamian zapewniał dostęp i otrzymywał ochronę mediów. Wymiana była jasna i każdy, kto się z nią nie zgadzał, zostawał wykluczony. To prawdziwy system mafijny: witasz się ze mną, pozwalasz mi zarabiać na mojej książce, przekazujesz mi wiadomości, przeprowadzasz ze mną wywiad? W takim razie zostawię cię w spokoju. Nazywa się to »płaceniem dziennikarzom pieniędzy za ochronę«.

PRZYPADK SCALFARIEGO

To dlatego, gdy Franciszek chyłkiem wymykał się do sklepu z płytami lub okularami, zawsze dziwnym trafem znajdował się tam fotoreporter z aparatem, który niespodziewanie robił mu zdjęcie w nietypowej sytuacji. Trudno się zatem dziwić, że w trakcie swego pontyfikatu argentyński papież udzielił ponad 200 wywiadów, czyli więcej niż wszyscy jego poprzednicy razem wzięci.

Szczególnie uprzywilejowany był Eugenio Scalfari, założyciel i wieloletni redaktor naczelny lewicowej gazety „La Repubblica”, który odbył najwięcej rozmów sam na sam z papieżem. Gdybyśmy mieli stosować jakieś paralele z Polską, to pozycję Scalfariego w życiu publicznym Włoch można porównać z pozycją Adama Michnika, a rolę jego dziennika z rolą „Gazety Wyborczej”. Jedyna różnica polega na tym, że Franciszek mówił, że z prasy codziennej czyta tylko „La Repubblica”, a trudno sobie wyobrazić Jana Pawła II wyznającego, że czytuje jedynie „Wyborczą”.

Warto dodać, że niektóre rozmowy Scalfariego z papieżem wywoływały medialne burze, np. w Wielki Czwartek 2018 r. opublikował on na łamach swego dziennika duży tekst, cytując słowa, które miał usłyszeć bezpośrednio od Franciszka, że piekła nie ma, a dusze zatwardziały grzeszników czeka anihilacja. Watykan dementował później, że wspomniana wypowiedź nie jest wiernym zapisem słów papieża i nie należy jej traktować dosłownie.

Każdy inny dziennikarz, gdyby został przyłapany na tak gigantycznym fake newsie, jakim jest wkładanie w usta papieża nieprawdziwych wypowiedzi (na dodatek podważających podstawowe prawdy wiary, jak nieśmiertelność duszy czy istnienie piekła) i jeszcze publikujący to na pierwszej stronie najbardziej opiniotwórczego dziennika w kraju, byłby skończony raz na


zawsze. Wspomniana historia w niczym jednak nie naruszyła pozycji Scalfariego. W takiej sytuacji można się było spodziewać przynajmniej tego, że Franciszek nie zgodzi się już na następne spotkanie z włoskim dziennikarzem, a jednak doszło do niego w marcu 2019 r. Efektem ich rozmowy był kolejny kontrowersyjny tekst, a po nim kolejne dementi Watykanu, które znów nie nadszarpięło autorytetu Scalfariego.

RÓŻNICA KLASY

Leon XIV prezentuje zupełnie inny styl. Gdy świeccy i księża proponują mu zrobienie sobie z nim selfie, odmawia dyskretnie, lecz stanowczo. Nie zgadza się na wymianę piasek z biskupami. Nie wrywa dłoni, gdy wierni całują go w pierścień. Przywraca powagę i dostojność papieża w sposób wyniosły, lecz łagodnie wytyczając granice, które niegdyś były czytelne, a w dzisiejszej konsumpcyjno-informacyjnej cywilizacji zatarty się niemal zupełnie.

Decydujące będą jednak nie gesty, lecz decyzje papieża, zwłaszcza jego oficjalne dokumenty i nominacje. Pierwszą decyzją kadrową Leona XIV było odwołanie abp. Vincenza Paglii z funkcji wielkiego kanclerza Papieskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną. Wspomniany dostojnik był znany ze swoich kontrowersyjnych wypowiedzi, np. że ustawa aborcyjna we Włoszech jest jednym z filarów życia publicznego, dlatego nie można jej zmieniać. W instytucie wydawał książki dopuszczające możliwość zmiany nauczania Kościoła w sprawach in vitro i antykoncepcji. Zanim trafił do Rzymu zasłynął jako biskup diecezji Terni-Narni-Amelia zamówieniem do swojej katedry wielkiego muralu o charakterze gejowskim. Zastąpił go kard. Baldassare Reina, który z kolei

dał się poznać jako obrońca świętości życia i przeciwnik przyjmowania homoseksualistów do seminariów duchownych.

To, że Leon XIV modlił się przy grobie zarówno Benedykta XVI, jak i Franciszka, wcale nie oznacza – jak sugerują niektórzy – jego konformizmu i chęci przypodobania się wszystkim stronom. To piękny gest pokazujący jego poczucie łączności ze wszystkimi, którzy poprzedzili go na tronie Piotrowym (modlił się zresztą przy nagrobkach wszystkich swoich poprzedników w Grotach Watykańskich, a przede wszystkim przy grobie św. Piotra). To także wyraźny kontrast z postawą Franciszka, który ani razu nie udał się do grobu Benedykta XVI, by się tam pomodlić, ani nie chciał być obecny przy jego pochówku. To po prostu różnica klasy. 

dał się poznać jako obrońca świętości życia i przeciwnik przyjmowania homoseksualistów do seminariów duchownych.

Krytyka lewicowo-liberalnych mediów pod adresem Leona XIV ma wszelkie oznaki operacji o charakterze dyscyplinującym. Jeśli papież będzie przypominał prawdy niewygodne dla tych środowisk, zostanie napiętnowany jako nietolerancyjny, średniowieczny reakcjonista, oderwany od rzeczywistości i nierozumiejący współczesnego świata, może natomiast liczyć na wsparcie i medialną ochronę, jeśli jego wypowiedzi będą się wpisywać w ton środowisk mainstreamowych



Wynik, który podoba się Europie

Burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan [na zdj.], który pozował na niezależnego kandydata, wygrał drugą turę powtórzonych wyborów prezydenckich w Rumunii. Jego rywal George Simion z partii AUR twierdzi, że część głosów było kupionych, a Francja mieszała w procesie wyborczym. Tym razem jednak Sąd Konstytucyjny odmówił anulowania wyborów

Jeśli głosowanie w pierwszej turze pójdzie źle, anuluj drugą turę pod pretekstem rosyjskich wpływów. A jeśli «niewłaściwemu» kandydatowi przyjdzie do głowy ponownie startować, aresztuj go, zanim zdąży się zarejestrować, a następnie zakaż mu kandydowania. Potem przeprowadź wybory ponownie, tym razem z silniejszym «niezależnym» kandydatem, który przy wsparciu mediów może pokonać sojusznika «niewłaściwego»



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

kandydata, którego wykluczyłeś” – ktoś napisał taki scenariusz. I dokładnie to się wydarzyło w Rumunii.

PRAWDZIWI WYBÓR?

„Niezależny” kandydat, burmistrz Bukaresztu Nicușor Dan zdobył w drugiej turze powtórzonych wyborów prezydenckich 53,6 proc. głosów i został prezydentem. Jego rywal, kandydat prawicowej partii AUR George Simion, uzyskał tylko 46 proc. przy frekwencji ponad 65 proc. – najwyższej od 25 lat. I to mimo że w pierwszej turze wyraźnie pokonał Dana, zbierając aż dwa razy więcej głosów.

W europejskich stolicach, gdzie AUR uważa się za partię „ekstremistyczną”, a Simiona (mylnie) za wroga Unii, odetchnięto z ulgą. „Demokratyczne wartości”, które zdaniem liberalnych elit stoją wyżej niż sama demokracja, czyli prawo obywateli do wyboru, znów zatriumfowały.

W wyborczą noc tysiące głównie młodych Rumunów zebrało się przed siedzibą burmistrza Bukaresztu. „Ni-cu-șor! Ni-cu-șor!” – skandowali, machając flagami UE. Dan, który nie ma nawet własnej partii, okazał się największą niespodzianką w historii młodej rumuńskiej demokracji. Nigdy wcześniej kandydat, który miał tyle głosów do nadrobienia po pierwszej turze, nie wygrał tak wyraźnie w drugiej.

Decydującym czynnikiem były miasta, diaspora w Mołdawii i mniejszość węgierska w kraju. Węgrzy głosowali licznie, aż 90 proc. z nich właśnie na Dana. W rumuńskiej telewizji mieszkańcy Bukaresztu cieszyli się, że nareszcie mieli „prawdziwy wybór” pomiędzy kandydatami, którzy nie należą do establishmentu. Tak był bowiem zachwalany centrysta Dan, 55-letni matematyk wywodzący się z ruchów miejskich, który wślawił się tym, że w stolicy Rumunii ukrócił działalność mafii deweloperskiej.

W czasie kampanii obiecał walkę z korupcją, podobnie jak niegdyś były już prezydent Klaus Iohannis. Zamiast podjąć tę walkę, Iohannis doprowadził do sojuszu swojego ugrupowania Partii Narodowo-Liberalnej (PNL) z postkomunistami, czyli PSD. I znów ci sami politycy, z lewa i prawa, rozdzielał stanowiska, przywileje, pieniądze publiczne i fundusze europejskie oraz byli przyłapywani na korupcji.

Tym razem Rumuni mają nadzieję – w każdym razie ci, którzy głosowali na Dana – że będzie inaczej. Bo większość z nich jest już mocno zmęczona trwającym od lat 90. ub.w. układem politycznym.

POMOC Z MOŁDAWII

George Simion, mimo że przegrał, i tak odniósł sukces. Startował zamiast Călina Georgescu, wykluczonego z wyborów zwycięzcy anulowanej pierwszej tury prezydenckiej elekcji w grudniu 2024 r. Jeszcze rok temu mało kto mógł sobie wyobrazić, by 38-letni Simion, który pojawił się na rumuńskiej scenie politycznej dopiero w 2019 r., mógłby mieć szansę na prezydenturę. Wielu Rumunom spodobało się jednak to, że w kampanii stawiał on na pierwszym miejscu sprawy rumuńskie. Szybki rozwój ostatnich dekad nie pozwolił zasypać nierówności, szczególnie widocznych na prowincji. Ponadto wielu Rumunów uważa, że UE traktuje ich niesprawiedliwie, eksploatując gospodarczo i drenując wykwalifikowaną siłę roboczą (od 1989 r. kraj opuściło ponad 4 mln Rumunów), nie dając zbyt wiele w zamian.

„Mówimy o głosowaniu protestacyjnym i to nie tylko przeciwko tradycyjnym partiom, ale przeciwko całej klasie politycznej” – zadeklarował w czasie kampanii polityk AUR Marius Dorin Lulea. Simionowi udało się zebrać dużo głosów wśród diaspory rozrzuconej w całej Europie Zachodniej i domagającej się rewolucji godnościowej. Jako jedyny z kandydatów odwiedził biedne obszary w Rumunii i rumuńskie społeczności w diasporze, często składające się z ludzi pracujących sezonowo za najniższe stawki.

To jednak Dan zwyciężył w drugiej turze. Według ekspertów zawdzięcza to silnej mobilizacji proeuropejskiego elektoratu w kraju, a także w Mołdawii, gdzie otwarcie wspierali go rządzący proeuropejscy liberalowie z Partii Akcji i Solidarności (PAS) kierowanej przez prezydent Maię Sandu. To ona zresztą była pierwszą liderką, która złożyła Danowi gratulacje po ogłoszeniu częściowych wyników wyborów. „Gratulacje, Rumunio! Gratulacje, Nicușorze Danie! Rumunio, kroczymy razem z ufnością po europejskiej drodze! Republika Mołdawii i Rumunia polegają na sobie – w dobrych i złych czasach. Cały świat widzi, jaką mamy moc, gdy jesteśmy zjednoczeni!” – powiedziała. „Szczególne wyrazy wdzięczności i podziękowania dla rumuńskich obywateli Republiki Mołdawii. Razem, z zaufaniem i nadzieją, będziemy kontynuować naszą europejską

drogę” – odpowiedział Dan. Rumunia to główny adwokat Mołdawii na jej drodze do członkostwa w UE.

ANI WOLNE, ANI UCZCIWE?

Do urn za granicą udało się rekordowe 1,63 mln Rumunów – 14,2 proc. wszystkich głosujących. Choć Simion zdobył tam więcej głosów niż Dan, to jego przewaga (55,86 wobec 44,14 proc.) nie była tak znacząca jak w pierwszej turze (uzyskał wówczas 60,79 proc. poparcia za granicą). Zdaniem niektórych to, że Dan odebrał część głosów diaspory Simionowi, wynikało z większej obecności burmistrza Bukaresztu w mediach oraz jego udziale we wszystkich debatach przedwyborczych. Simion wziął udział tylko w jednej. I miał nie wypaść w niej najlepiej.

Tymczasem kandydat AUR zasugerował, że coś innego odegrało tu jeszcze większą rolę, a zwycięstwo Dana, choć je uznał, było wynikiem nieczystej gry oraz zagranicznych wpływów. Jeszcze przed zliczeniem głosów uznał się zwycięzcą wyborów. Oświadczył, że jego zespół spodziewa się „miażdżącego zwycięstwa”, jeśli wybory były „wolne i uczciwe”. Gdy się jednak okazało, że przegrał, ogłosił, że głosowały martwe dusze, ponad 100 mln euro wydano w Mołdawii, najbiedniejszym kraju Europy, by kupić tam głosy, a Francja i inne kraje zachodnie mieszały w procesie wyborczym. Oskarżył zresztą o to osobiście prezydenta Emanuela Macrona. Nawiązał przy tym do słów Pawła Durowa, twórcy aplikacji Telegram, który twierdził, że francuskie służby poprosiły go o „uciszenie” konserwatywnych głosów na platformie przed wyborami prezydenckimi, na co się nie zgodził.

Simion złożył wniosek o anulowanie wyborów do Sądu Konstytucyjnego na tej samej podstawie, na której zostały one anulowane w grudniu, jednak sąd odrzucił wniosek. Francuskie władze stanowczo zaprzeczyły, jakoby próbowały się wtrącić w proces wyborczy w Rumunii.


Według Simiona fakt, że Sąd Konstytucyjny odrzucił jego wniosek, świadczy o tym, że „kontynuuje on zamach stanu”. Przy okazji zagrzewał do walki swoich zwolenników. „Wzywam was, abyście dołączyli do mnie dziś i w nadchodzących tygodniach!” – dodał, uzupełniając swój

post na platformie X linkiem, pod którym mogą znaleźć wskazówki, jak zapisać się do AUR.

Ale rumuńskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych również mówiło o kampanii dezinformacyjnej z „oznakami ingerencji Rosji”. Rzeczniczka rosyjskiego MSZ Maria Zacharowa odrzuciła te oskarżenia i zażartowała, że nie było powodów do ingerencji, bo to „i tak nie były prawdziwe wybory”.

SPOKÓJ LUB CHAOS

Zwycięzkiego Nicușora Dana czekają niełatwe zadania. Musi wyznaczyć nowego premiera, bowiem rząd upadł po pierwszej turze głosowania w powtórzonych wyborach prezydenckich. Socjalistyczny premier Marcel Ciolacu zrezygnował, ponieważ kandydat proeuropejskiej koalicji Crin Antonescu nie przeszedł do drugiej tury. Ale i bez tego koalicja złożona z liberalów, socjalistów i Demokratycznego Sojuszu Węgrów (UDMR) była mniej niż stabilna. A rosnący deficyt budżetowy (największy w UE), wysoka inflacja oraz bardzo słaba absorpcja środków unijnych spędzają jej politykom sen z powiek. Stan gospodarki Rumunii może zmusić nowy rząd – gdy już powstanie – do podjęcia niepopularnych środków, takich jak podwyższenie podatków i cięcie wydatków, co raczej nie przysporzy mu poparcia. Tymczasem Dan będzie musiał udowodnić Rumunom, że obietnica, iż będzie prezydentem „cichych, uczciwych i pracowitych ludzi” oraz zmusi rząd do reform, nie była rzucona na wiatr. Musi także zwalczać korupcję i wprowadzić widoczne zmiany, aby odzyskać dla liberalnego obozu zaufanie wyborców. W przeciwnym razie wytchnienie będzie krótkotrwałe. A zamiast spokoju, o którym mówił Dan podczas swojego wieczoru wyborczego, Rumunię będzie czekała niestabilność i chaos.

W wyborach do parlamentu w grudniu ub.r. AUR uzyskał drugie miejsce. Wraz z prawicową partią SOS Romania oraz Partią Ludzi Młodych, która się z niego wywodzi, zdobył w sumie ponad 30 proc. głosów. Następne wybory odbędą się wprawdzie dopiero w 2028 r., ale jeśli do tego czasu nic się nie zmieni, widmo prawnicowego zwrotu powróci. I różnego rodzaju sztuczki oraz manipulacje mogą nie wystarczyć, by go powstrzymać. 



Trzech jeźdźców bezradności

Przywódcy Niemiec, Francji i Wielkiej Brytanii chcą nadrobić niemożność poradzenia sobie z problemami we własnych krajach, wdzierając się na arenie międzynarodowej



DARIUSZ MATUSZAK

Po Europie jeździ trzech panów, robi sobie selfie i udaje, że uprawia globalną politykę. Czasami na zdjęcia załapie się premier Donald Tusk, który jest wożony w jakimś charakterze. Jakim? Teorie są różne, wiadomo jednak, że chodzi o wybory w Polsce, by blask władców spłynął i na niego, a Polacy myśleli, że dzięki niemu kraj ma ważną pozycję w świecie. Chodzi też o przesłanie, by głosować na Rafała Trzaskowskiego, bo jak zostanie prezydentem, to

ci trzej też będą się z nim fotografować, od czego nasze znaczenie jeszcze bardziej wzrośnie.

Ci komiwojażerowie prestiżu to oczywiście premier Wielkiej Brytanii Keir Starmer, prezydent Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Friedrich Merz. Wybrali się ostatnio do Kijowa i Tirany. O pierwszej eskapadzie mówiło się na świecie po tym, jak pokazano nagranie, na którym widać podróżujących w jednej salonce Merza, Macrona i Starmera (Tusk nie został dopuszczony do towarzystwa) jak w pośpiechu coś chowają. Publiczność uznała, że to torebka ze sproszkowanym białym węgorem i łyżeczka do porcjowania, ale Pałac Elizejski zdementował, że to była zasmarkana chusteczka prezydenta Francji. O wizycie w Tiranie było głośno dlatego, że premier Albanii Edi Rama uklęknął przed premier Włoch

Giorgią Meloni, a prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan o mało nie złamał palca prezydentowi Francji, pokazując w ten sposób, by ten nie pozwalał sobie na gesty protekcyjne wobec niego.

Było jeszcze coś, co miało wstrząsnąć posadami ziemi, a co najmniej Kreml. A mianowicie zapowiedź wprowadzenia sankcji ostatecznych, jeśli Rosja do 12 maja nie zaprzestanie ataków na Ukrainę. Oczywiście reżim Putina nadal sieje śmierć, nic nie jest uzgodnione, trwają rozmowy o 18. (!) już pakiecie, a von der Leyen roi coś o 500-proc. cłach na rosyjskie towary.

To oraz zdarzenia jak z rubryk plotkarskich po raz kolejny pokazują, jaką wagę dla losów świata ma aktywność polityków, którzy chcą nadrobić niemożność poradzenia sobie z problemami we własnych krajach, wdzierając się na arenie międzynarodowej. Trzy

największe państwa Europy i ich trzech przywódcy wiodą kontynent, a zwłaszcza Unię Europejską, ku nieistotności. Podczepianie się pod te kraje, pod ich liderów, co rozpaczliwie robi rząd Tuska, tym bardziej pogłębia poczucie, że w polskiej polityce zagranicznej najważniejsze są kserokopiarki, bo niczego nie tworzy się samodzielnie, tylko powiela to, co wymyślą w Berlinie, Paryżu i Brukseli.

NIEMIECKA WERSJA MAGA

Rzućmy okiem na owych mężów opatrnościowych bezwładności, bo bez wątplenia podzielią się oni z nami swą niemocą. Zaczniemy od Niemiec, gdzie kanclerz nie zdążył się jeszcze skompromitować, bo objął tękę 6 maja. Ale już zapisał się w historii, bo jako pierwszy szef rządu RFN potrzebował aż dwóch głosowań w Bundestagu, by objąć urząd. W ciągu 2,5 miesiąca po wyborach zwycięska CDU straciła prowadzenie w sondażach na rzecz AfD.

W tym czasie okazało się, że raport służb kontrwywiadu z Urzędu Ochrony Konstytucji, na podstawie którego chciano inwigilować i zdelegalizować Alternatywę dla Niemiec, jest żalosalną farszą. Supertajna treść wyciekła do mediów i wyszło, że liczące ponad tysiąc stron dzieło to sklejkanka wypowiedzi z mediów, a nie sekretna wiedza pozyskana w wyniku pracy wywiadowczej. Publicystyka tak nędzna jak od Suchanow i Piątka z komisji Stróżyka od tropienia ruskich agentów w PiS.

Merz objął władzę jako najslabszy kanclerz w historii, w państwie zmagającym się z recesją i permanentnym kryzysem społecznym, ale zadał z grubej trąby i na powitanie przedstawił wizję wielkich Niemiec. Coś na wzór trumpowskiej MAGA, ale zawołanie: „Uczyńmy Niemcy znów wielkie!” brzmi groteskowo i groźnie, jak nazi-stowskie marsze. Kanclerz oznajmił, że jego kraj będzie ustawał politykę Europy, stanie się potęgą, która pośle swą flotę nawet na Pacyfik i będzie filarem

NATO na naszym kontynencie. Wizja wielkich Niemiec przewiduje potraktowanie Polski i innych krajów jako jednego z landów niemieckiej Europy.

Merz mówi m.in. że Stary Kontynent pod przewodem Berlina ma się całkowicie uniezależnić od Ameryki. Nas nikt nie pytał o zdanie. Podstawą europejskiego bezpieczeństwa i polityki obronnej kontynentu ma być sojusz militarny z Francją i Wielką Brytanią. Termin „polityka zagraniczna Niemiec” w odniesieniu do Europy jest anachroniczny. To już polityka wewnętrzna, krajowa. Merz ledwie zaczął, a już butnie zachowuje się tak, jakby Niemcy były współwłaścicielem Europy, której prowincje mają prawa nawet mniejsze niż landy w RFN, bo nie uczestniczą w kształtowaniu polityki Berlina.

OBCA BRYTANIA

Merz kończy miesiąc miodowy, a u Starmera po dziesięciu miesiącach rządzenia Wielką Brytanią już coś się urodziło.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl



Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

SALTUS - Mój DOM UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

Ubezpiecz to,
co się liczy!

T TOWARZYSTWO
UBEZPIECZONYCH

Tym czymś jest pierwsza pobrexitowa umowa z Unią Europejską. Szczęśliwa jest Ursula von der Leyen, która obwieściła „otwarcie nowej ery”, a Starmer ogłosił: „Panie i panowie, Wielka Brytania powróciła na światową scenę”.

Niestety większość Brytyjczyków nie podziela tego entuzjazmu i wiary, że znaczenie ich kraju zależy od stosunków z Brukselą. Część uważa podpisanie umów za zdradę brexitu. Te opinie mają bolesny wymiar dla Starmera. Popularność polityka szoruje po dnie. Wedle badań YouGov ledwie 23 proc. wyborców ma pozytywną opinię o premierze, w tym tylko 45 proc. jego partyjnych towarzyszy – laburzystów. Połowa tych, którzy głosowali na Partię Pracy, deklaruje, że teraz poparłaby Zielonych lub Liberalnych Demokratów, a 25 proc., że Reform UK Nigela Farage’a. Marnym pocieszeniem jest całkowity upadek Partii Konserwatywnej, która plasuje się na czwartym miejscu. Oto skutki porzucenia własnych wartości i wiecznego podlizywania się lewicy.

Sam Starmer stał się zakładnikiem lewackiego skrzydła własnej partii i mediów wciąż lansujących tezę o korzyściach z wielkiej imigracji. Niby ogłosił plan ograniczenia liczby przybyszów, ale został oskarżony o rasizm i powtarzanie słów ze słynnego przemówienia „Rzeki krwi”, które w 1968 r. wygłosił poseł Enoch Powell. Konserwatywny polityk przewidział, iż Wielka Brytania stanie się „wyspą obcych”. To już nie jest przenośnia, tylko rzeczywistość. Wedle badań sondażowni More in Common 44 proc. mieszkańców Wielkiej Brytanii czuje się w niej obco. Dotyczy to także imigrantów, z których 47 proc. ma poczucie wyobcowania. Wielka Brytania jako wspólnota się rozpada. To nie przypadek, że dwóch największych proroków dystopii kreślących czarną wizję przyszłości było Anglikami. Przed dekadami George Orwell i Aldous Huxley opisali współczesną Wielką Brytanię. Dziś jest ona niemal reżimem z szalejącą cenzurą i terrorem politpoprawności. W 2025 r. Enoch Powell siedziałby w więzieniu za swe prorocze słowa.

BRACTWO FRANCUSKIE

Wielka Brytania pogrąża się w stagnacji gospodarczej i nieustającym poczuciu beznadziei. Połowa rdzennych Brytyjczyków uważa, że bezpowrotnie utraciła swój kraj. Jednak Starmer wciąż jest na początku swej drogi i ma szansę obudowywać wielkość swej ojczyzny. Tego nie da się już powiedzieć o jego sąsiedzie zza kanału La Manche Emmanuelu Macronie. Ten obok François Hollande’a zapisze się jako jeden z najgorszych prezydentów Francji, a już

Podczepianie się pod te kraje, co rozpaczliwie robi rząd Tuska, tym bardziej pogłębia poczucie, że w polskiej polityce zagranicznej najważniejsze są kserokopiarki, bo niczego nie tworzy się samodzielnie, lecz powiela to, co wymyśla w Berlinie, Paryżu i Brukseli

na pewno V Republiki. Do wszystkich problemów, jakie ma Zachodnia Europa, związanych z imigracją, ideologią LGBT+ i Zielonym Ładem, dochodzi permanentny kryzys polityczny. Pięciu premierów i pięć rządów w ciągu trzech lat jako efekt rozpaczliwej nadziei Macrona, że stworzy taki układ, iż Francja wróci na ścieżkę chwały.

Tymczasem to beznadziejne łatanie dziur, ukrywanie chaosu i tego, że tylko dzięki wręcz patologicznej ordynacji wyborczej Francją nie rządzi Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Jak w Niemczech służby wykorzystywane są do zniszczenia rywala (AfD), tak we Francji podjęto próbę zrobienia tego przez sąd. Zaraz po wyroku skazującym Le Pen za fałszywe zatrudnianie asystentów w Parlamencie Europejskim do jej partii zapisało się 20 tys. osób, Francja

stanęła w obliczu kolejnych protestów, a sędziowie się ukryli. Ostateczna decyzja m.in. co do tego, czy Le Pen będzie mogła startować w wyborach, zapadnie w przyszłym roku, a Macron ma nadzieję, że doczłoga się ze swą władzą do wyborów prezydenckich w 2027 r.

Tymczasem do mediów przedostał się raport rządu, z którego wynika, że Bractwo Muzułmańskie nie tylko przejęło kontrolę nad islamskimi organizacjami we Francji, lecz także zinfiltrowało instytucje państwa do tego stopnia, że np. Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego finansuje nauczanie programów wspierających radykalny islamizm. Za pośrednictwem ponad 280 organizacji Bractwo kontroluje życie muzułmańskich wspólnot. Minister spraw wewnętrznych Bruno Retailleau mówi wprost: „Ostatecznym celem jest wtłoczenie francuskiego społeczeństwa w prawo szariatu. To jest całkowicie niezgodne z zasadami Republiki”. Dzisiejsza Francja, gdyby wypreparować ją z 1200 lat historii, byłaby krajem bardziej muzułmańskim niż chrześcijańskim – mieszka w niej więcej praktykujących muzułmanów niż katolików.

Macronowi marzy się, że zostanie pierwszym prezydentem zjednoczonej Europy, a tymczasem staje się grabarzem własnej ojczyzny. 80 proc. Francuzów uważa, że dojdzie wielkich rozruchów związanych z islamizacją Republiki, a 42 proc. sądzi, że będzie wojna domowa.

Przywódcy Francji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, krajów na skraju upadku, krążą teraz po Europie, obiecując odbudowę jej wielkości. Jest jak we fraszce Kochanowskiego „Na matematyka”. „Ziemie pomierzył i głębokie morze / Wie, jako wstają i zachodzą zorze / Wiatrom rozumie, praktykuje komu / A sam nie widzi, że ma k...ę w domu”. To do nich przykleja się rząd Donalda Tuska, z nimi robi misiaczki i zdjęcia. Polska wciąż może uniknąć błędów Europy Zachodniej i budować swe znaczenie, także na podstawie relacji z Ameryką. Jednak zamiast do transatlantyka, wsiada do pociągu z trzema przegrywami, i to nawet nie do salonki, tylko wagonu drugiej klasy.

WYPRÓBUJ NA CZAS WYBORÓW!



Subskrypcja

wPolityce.pl Premium +

i **SIECI**

od **7,90** zł

TU SIĘ DZIEJE POLITYKA

- mnóstwo do czytania, bo **nawet 3 000 tekstów rocznie**
- **wszystkie zamknięte artykuły na wPolityce.pl Premium +**
- pełne e-wydanie tygodnika **SIECI** wcześniej niż inni, bo już w niedzielę o 20:00
- w prezencie świetne ebooki Sieci Extra udostępniane TYLKO subskrybentom

Zamów dziś na

www.siec.wpolityce.pl/oferta



ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Pomnik Żołnierzy
Wyklętych Niezłomnych
w Mielcu

Niezłomność czy pragmatyzm? Spór o powojenne decyzje

Po 1945 r. walka o niepodległość Polski się nie skończyła, bo nad krajem zawisła groźba sowieckiej okupacji. Dla jednych oznaczało to kolejną konspirację, dla innych próbę ratowania tego, co się da. Do dzisiaj trwają ostre spory, która droga przyniosła więcej dobrego dla kraju



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Polskie społeczeństwo było zmęczone długimi i ciężkimi latami wojny. Kraj był zrujnowany materialnie i duchowo. Zginęło ok. 6 mln obywateli, czyli niemal 20 proc. populacji. Ci, którzy przeżyli, wrócili do ruin, spalonych miast i wsi, próbując ratować to, co przetrwało.

Zakończenie II wojny światowej nie przyniosło jednak upragnionej wolno-

ści. Choć Niemcy skapitulowały, a hitlerowska okupacja dobiegła końca, Polacy znaleźli się w nowej, narzuconej siłą rzeczywistości. Była nią podporządkowana Moskwie dyktatura komunistyczna, a zatem kolejna forma zniewolenia.

NA ROZSTAJU DRÓG

W obliczu tych problemów wśród żołnierzy podziemia niepodległościowego narodził się fundamentalny dylemat: czy kontynuować walkę, ryzykując śmierć lub tortury w ubecko-sowieckich kazamatach, czy też spróbować przystosować się do nowego świata i liczyć na to, że w ten sposób uda się przeprowadzić naród przez kolejne zniewolenie. Dwie skrajnie różne postawy, które często wynikały z tego samego pragnienia: żeby Polska przetrwała ten tragiczny moment w historii. Na rozstaju dróg stanęło bez

mała kilkaset tysięcy ludzi: członków Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Batalionów Chłopskich i innych struktur Państwa Podziemnego. W tym tragicznym momencie drogi dawnych towarzyszy broni zaczęły się rozchodzić.

NIEZŁOMNI, CZYLI WALKA DO KONCA

Wielu z tych, którzy nie pogodzili się z nowym zniewoleniem, kontynuowało walkę. Często nie mieli wyboru – byli już poszukiwani, ścigani przez UB, groziło im aresztowanie. Zostali więc w konspiracji, bo nie mieli dokąd wrócić. Inni po prostu nie potrafili zaakceptować fałszywej wolności. Byli przekonani, że dalszy opór jest moralnym obowiązkiem, a trwająca od 1939 r. walka o niepodległą Polskę musi trwać. Zaostrożące się represje oraz losy tych członków podziemia, którzy złożyli broń, a i tak trafiali do więzień lub bezimiennych dołów śmierci, dodatkowo utwierdzały ich w przekonaniu, że to właściwa droga.

Jednym z najbardziej znanych dowódców partyzanckich powojennego podziemia był mjr Hieronim Dekutowski „Zapora” – cichociemny, żołnierz AK walczący na Lubelszczyźnie. Po zakończeniu II wojny światowej nie złożył broni. Działania zbrojne wznowił na wieść o zamordowaniu jego czterech byłych żołnierzy przez komendanta posterunku MO i UB w Chodlu, Żyda Abrama Taubera. Na fali ogłoszonej przez komunistów amnestii w 1945 r. próbował ujawnić swój oddział, licząc na normalizację życia i możliwość bezpiecznego funkcjonowania w cywilu. Szybko się jednak przekonał, że ujawnienie dla wielu oznaczało więzienie, tortury lub śmierć.

„Zapora” ponownie zebrał ludzi, wrócił do lasu i kontynuował walkę na Lubelszczyźnie. Po kolejnej amnestii w 1947 r., nie chcąc tracić w walkach kolejnych podkomendnych, rozformował oddział. Został zatrzymany przez UB w Nysie, podczas próby przedostania się na Zachód. Po brutalnym śledztwie w więzieniu na Rakowieckiej w Warszawie został skazany na śmierć i zamordowany 7 marca 1949 r.

Rtm. Witold Pilecki, człowiek, który dobrowolnie poszedł do Auschwitz, po wojnie nie zaprzestał walki, lecz w komunistycznej Polsce prowadził działalność wywiadowczą. Do samego końca informował Zachód o tym, co się dzieje w opa-

nowanym przez komunistów kraju. Zapłacił za to życiem, zamordowany 25 maja 1948 r. Podczas procesu zdążył jeszcze powiedzieć, że w porównaniu z ubeckim więzieniem „Auschwitz to była igraszka”.

Sanitariuszka „Inka”, czyli Danuta Siedzikówna, zajmowała się opatrywaniem rannych. Miała zaledwie 17 lat, gdy została aresztowana i skazana na śmierć – jej ostatnie słowa brzmiały: „Powiedźcie mojej babci, że zachowałam się, jak trzeba”.

Walka niezłomnych często pozostawała samotna, desperacka, bez większych szans na sukces. Przeciwnikiem była rosnąca w siłę władza komunistyczna wspierana przez potężny Związek Sowiecki.

Żołnierze antykomunistycznego podziemia często ginęli bez wyroku w lasach, piwnicach katowni UB, inni byli skazani w procesach pokazowych. W sumie jednak mieli być wymazani z historii. Ale pozostali wierni sobie, swoim przysięgom i wizji niepodległej Polski – nie tej z czerwoną gwiazdą, lecz orłem w koronie.

PRAGMATYCY, NAJWAŻNIEJSZE – PRZETRWAĆ

Znaczna część podziemia z czasu II wojny światowej zdecydowała się nie podejmować walki z komunistami. Pragmatyczna postawa nie wynikała z tchórzostwa. Często była dramatycznym wyborem ludzi zmęczonych latami konspiracji, strat, śmierci najbliższych i poczucia osamotnienia w walce. Wielu z tych, którzy złożyli broń, kierowało się głębokim przekonaniem, że Polska nie przetrwa kolejnego zbrojnego zrywu.

Doświadczenia okupacji niemieckiej i sowieckiej, powstania warszawskiego i wojny pozostawiły blizny nie tylko na ciele, lecz także na psychice całego narodu. Ludzie, którzy byli świadkami rzezi, widzieli spalone miasta, masowe groby, zgłiszczają, po pięciu latach często nie mieli już siły na dalszy opór.

Jednym z nich był płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”, dowódca Kedywu i legendarnego Zgrupowania AK „Radosław”, które w powstaniu

warszawskim poniosło straty sięgające 80 proc. stanu osobowego. Po wojnie kontynuował działalność konspiracyjną – najpierw w ramach organizacji NIE, później w Delegaturze Sił Zbrojnych. Z czasem jednak uznał, że kontynuowanie walki zbrojnej to skazywanie młodych ludzi na śmierć bez szansy na zwycięstwo. 1 sierpnia 1945 r. został razem z żoną aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Po miesiącu wyszedł na wolność, a 8 września publicznie wezwał byłych akowców i osoby pozostające w podziemiu do ujawnienia się w ramach amnestii, nazwanej od jego pseudonimu amneją „Radosława”. W wyniku jego odezwy ujawniło się ok. 50 tys. osób.

Przez część środowiska – zwłaszcza tę, która chciała kontynuować walkę o niepodległość – został uznany za zdrajcę. Kpt. Stanisław Sojczyński „Warszyc”, dowódca podziemnej organizacji o nazwie Konspiracyjne Wojsko Polskie, napisał „List otwarty do Pana Pułkownika Radosława”, który zaczął słowami: „Za co i w jakiej sytuacji usiłuje nas Pan, Panie Pułkowniku, sprzedawać?”

Sam „Radosław” przekonywał, że jego apel był próbą ratowania życia tych, którym udało się przetrwać. Zarzuty o zdradę przybrały na sile, kiedy kolejne ujawnione osoby mimo gwarancji bezpieczeństwa trafiały do więzień. Bez wątpienia ujawnienie się dla wielu było jedyną możliwością ocalenia życia. Przez kolejne dziesięciolecia traktowano ich jednak jak obywateli drugiej kategorii.

KOMUNISTYCZNE BAJKI

Komuniści nie przestrzegali ustalonych przez siebie zasad nawet wobec samego „Radosława”. Mazurkiewicz został ponownie aresztowany 4 lutego 1949 r. Po ponad czterech latach, 7 grudnia 1953 r., komunistyczny sąd skazał go na karę dożywotniego pozbawienia wolności. Proces Mazurkiewicza i trzech innych oficerów Kedywu był jednym z największych spektakli sądowych okresu stalinowskiego.



Płk Jan Mazurkiewicz „Radosław”

W trakcie śledztwa wymyślnymi torturami próbowano zmusić go do zeznań obciążających inną ofiarę komunistów – pierwszego szefa Kedywu, gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”. Jego losy potoczyły się jeszcze bardziej tragicznie. Miał on dowodzić wspomnianą już organizacją NIE, jednak przypadkowo aresztowany w marcu 1945 r. został zesłany na Sybir. Kiedy w 1947 r. wrócił do Polski, nie miał siły, by angażować się w dogorywającą już konspirację. Próbował żyć spokojnie pod przybranym nazwiskiem. Nie był aktywny ani zbrojnie, ani politycznie, a w 1948 r. ujawnił się. Bierność wobec nowej władzy nie uratowała go. Został aresztowany, oskarżony w sfingowanym procesie i powieszony w więzieniu na Mokotowie 24 lutego 1953 r. Jego losy pokazywały, że nikt nie mógł się czuć bezpiecznie. Komuniści zamordowali go nie za to, co robił, lecz za to, kim był.

Tragiczny los spotkał także Jana Rodowicza „Anodę”, bohatera Szarych Szeregów i batalionu „Zośka”. Po wojnie zrezygnował z działalności zbrojnej – pracował, studiował, zajmował się pochówkiem swoich poległych kolegów. 24 grudnia 1948 r. został aresztowany przez UB i zakatowany podczas przesłuchania. Więcej szczęścia miał żołnierz 5. Wileńskiej Brygady AK Lech Beynar, znany jako Paweł Jasienica. Opuścił oddział w sierpniu 1945 r. Zamiast karabinu wybrał pióro. Pisał o historii Polski, dzięki słowu próbując ocalić pamięć i tożsamość narodu. Jego los również nie był wolny od represji – przez lata inwigilowano go, oczerniano i podsłuchiowano. Na domiar złego jego żona była podstawioną przez SB agentką.

Trudno się dziwić tym członkom podziemia, którzy nawet jeśli rezygnowali z walki, nie byli w stanie uwierzyć komunistom. Często decydowali się na ukrycie nawet po pozornym powrocie do normalnego życia. „Ja się nie ujawniłem nigdy, ani w 1945 r., ani w 1947 r. Żadna amnestia mnie nie skusiła, nigdy komunistom nie wierzyłem, a napatrzyłem się na ich działalność wystarczająco, ażeby wyciągnąć właściwe wnioski” – wspominał po latach Olgierd Zawadzki „Longin”, który do 1947 r. walczył jako żołnierz 6. Wileńskiej Brygady AK-WiN. Wiele

z tych osób zabrało tajemnice swojej działalności do grobów.

Wiedzieli, że komunistyczna rzeczywistość to nie wolna Polska. Ale uważali, że walka na śmierć i życie w nowych warunkach jest drogą donikąd, a Polska po kataklizmie II wojny światowej nie podniesie się ze zgliszczy, jeżeli naród wykrwawi się jeszcze bardziej. Priorytetem było przetrwanie. Wierzyli, że walka o Polskę może przybrać inne formy: edukacji, pracy społecznej, odbudowy relacji. W rezultacie część członków podziemia z czasów wojny włączyła się w odbudowę kraju, wracała do szkół, znajdowała pracę

Prawda nie zawsze zwycięża od razu. Czasem potrzebuje dziesięcioleci. Ale bez tych, którzy są gotowi za nią umrzeć, nie przegra nigdy. Widać to szczególnie dziś, gdy po latach żołnierze powojennego podziemia niepodległościowego zostali przywrócenii zbiorowej świadomości

czy zakładała rodzinę. Mimo iż niektórzy i tak przyplacili to życiem.

KTO MIAŁ RACJĘ?

Nie sposób osądzić polskich niepodległościowców jednym werdyktem. W powojennej Polsce nie było bowiem prostych decyzji. Dziś, z perspektywy 80 lat, można rozumieć jedno i drugie postępowanie. Zaprzestanie walki przez podziemie niepodległościowe po II wojnie światowej miało sens przede wszystkim ze względu na realia polityczne i militarne – dalszy opór wobec sowieckiej dominacji nie miał szans na zwycięstwo i prowadził do ogromnych strat ludzkich. Rezygnacja z walki zbrojnej pozwoliła ocalić życie tysięcy ludzi, umożliwiła po-

wolne odbudowywanie kraju ze zniszczeń wojennych oraz stworzyła warunki do przetrwania polskiej tożsamości i kultury. To postępowanie było okupione kompromisami i cierpieniem.

Wielu osób nie uchroniło ani przed więzieniem, ani niestety przed śmiercią. Ci, którzy przetrwali, swoją pracą starali się zapewnić narodowi lepszą przyszłość. Polakom udało się w dłuższej perspektywie zachować ciągłość narodową, odbudować gospodarczo i społecznie, co miało znaczenie dla przyszłej pokojowej walki o wolność.

Kontynuowanie walki przez podziemie niepodległościowe po II wojnie światowej miało z kolei głęboki sens moralny i symboliczny. Było wyrazem sprzeciwu wobec narzuczonego siłą reżimu komunistycznego i zdrady jałtańskiej. Utrzymywało ducha oporu, przypominało społeczeństwu o idei niepodległości i godności narodowej. „Czy nam, partyzantom, kiedykolwiek coś się opłacało? I czy się opłaci? Dla nas? – Ty giniesz, by naród mógł żyć! – mówi partyzancka piosenka i zamyka wszelkie komentarze” – zapisał w swoim dzienniku kpt. Zdzisław Broński „Uskok”, dowódca oddziału partyzanckiego na Lubelszczyźnie.

Co więcej, zbrojny opór skutecznie opóźniał wprowadzanie komunistycznych „reform”, hamował kolektywizację rolnictwa czy ostateczny atak na Kościół katolicki.

Dopiero po osłabieniu i rozbięciu podziemia władze mogły przystąpić do realizacji jawnie totalitarnej polityki.

Niezłomni wiedzieli, że są ścigani, że zginą – mimo to trwali. W walce z komunistami poległy tysiące ludzi. Ci, którzy nie zginęli, żyli później z piętnem „bandyty”. Ich ofiara stała się jednak fundamentem pamięci narodowej, która inspirowała późniejsze pokolenia do walki o wolność. Prawda bowiem nie zawsze zwycięża od razu. Czasem potrzebuje dziesięcioleci. Ale bez tych, którzy są gotowi za nią umrzeć, nie przegra nigdy. Widać to szczególnie dziś, gdy po latach wyklęca żołnierze powojennego podziemia niepodległościowego zostali przywrócenii zbiorowej świadomości. To oni stali się symbolem walki o naprawdę wolną Polskę, a ich imiona noszą szkoły, ulice i pomniki.



MICHAŁ MUZYCZUK

Mistrzostwo Hiszpanii, Puchar Króla i Supercup Hiszpanii – tego nikt mu już nie odbierze. Choć Wojciech Szczęsny stracił szansę na występ w finale Ligi Mistrzów, zmierzający ku końcowi sezon jest dla Polaka niesamowitą historią. Ale nie tylko Szczęsny błyszczał między słupkami na europejskich boiskach. Inni Polacy też pokazali klasę

Wielki powrót z emerytury

Ale zacznijmy od Szczęsnego. Jeszcze z początkiem jesieni ub.r. z pełnym przekonaniem twierdził, że zarówno rękawice, jak i korki zawiesił na kołku. Po ubiegłorocznych mistrzostwach Europy zrezygnował z występów z orzelkiem na piersi. Gdy na pożegnanie Euro Polska remisowała z faworyzowaną Francją, między słupkami stał Łukasz Skorupski, już wtedy mówiący o gotowości do zastąpienia starszego kolegi, jeśli ten zdecyduje się na odejście z kadry. Tak się stało, a Szczęsny rozstał się również z Juventusem.

Jeszcze podczas turnieju o europejski czempionat rozpisywano się na temat transferu Szczęsnego do Arabii Saudyjskiej, gdzie miał zarabiać krocie. Ale temat szybko się skończył, bo Wojciech mówił, że stracił serce do piłki nożnej i roztrzącał wizję spokojnej emerytury, podczas której równo przystrzyżoną murawę widuje tylko wtedy, kiedy chwyci za kosiarkę i ruszy na swój trawnik. Ale byłoby szkoda, gdyby 84-krotny reprezentant Polski, nie będąc w wieku emerytalnym (35 lat) jak na pozycje, na której występował, bronił jedynie dostępu do ogrodowej bramki przed strzałami dwójki swoich dzieci.

Itu nastąpił decydujący strzał. Kiedy na ekranie telefonu wyświetla się kierunkowy Hiszpanii, należy odebrać. A gdy w słuchawce słyszysz, że działacze FC Barcelony proszą o pomoc, to po prostu trzeba wysłuchać ich propozycji. Co się stało? Poważnej kontuzji doznał Marc-André ter Stegen, kapitan drużyny, a jego zastępca, będący wychowankiem katalońskiego klubu Iñaki Peña, nie stanowił pewnego punktu bramkarskiej obrony. I Szczęsny nie odmówił. Bo Barcelonie się nie odmawia.

Podpisał kontrakt z klubem na początku października, ale na swoją szansę musiał czekać aż do początku tego roku. Z biegiem czasu były zawodnik Arsenalu, Romy i Juventusu zapracował na zaufanie trenera Blaugrany Hansiego Flicka. I na stałe wszedł do bramki.

Choć Ter Stegen wraca do formy po przebytej rekonwalescencji, nie oznacza to, że z marszu wskoczy do pierwszego składu, szczególnie że była to jego kolejna poważna kontuzja w ciągu ostatnich lat, a sama jakość tego bramkarza jest podawana w wątpliwość. Jednocześnie w klubowych kuluarach aż huczy od plotek o transferze Joana Garcíi, bramkarza Hiszpanii, rewelacji trwającego sezonu hiszpańskiej ligi. Szczęsny ma na stole ofertę przedłużenia kontraktu o kolejne dwa lata. Czy z niej skorzysta – to inna kwestia.

Niepokorny miłośnik nikotyny już nieraz pokazał, że nikomu nic nie musi udowadniać. Ale przecież wciąż nie wzniósł pucharu Ligi Mistrzów, a ma

taką szansę tylko z Barceloną. Może więc warto jeszcze chwilę zaczekać z zamianą piłkarskiego boiska na pole golfowe?

Szczęśny jest na topie. Hiszpańskie media będą nagłaśniały każdą jego wypowiedź od rana do wieczora. Władz Barcelony również. Bo karnawał podejmowania decyzji przekłada się na światowy spektakl i pieniądze.

TRÓJKA Z LEGII

W innej sytuacji jest Łukasz Fabiański, jego niegdysiejszy rywal do roli pierwszego bramkarza polskiej reprezentacji. On już wie, że West Ham United nie przedłuży z nim kontraktu, sam

Kilku reprezentantów polskiej szkoły bramkarskiej, o ile zaryzykujemy istnienie takiego fenomenu, może się pochwalić wieloma sukcesami na europejskich stadionach w tym sezonie. To właśnie na tej pozycji nasi zawodnicy są najlepsi w ciągu ostatnich dekad

też uciał dywagacje na temat powrotu do polskiej ligi, a dokładniej do Legii Warszawa. 40-latek zamierza nadal mieszkać i pracować w Wielkiej Brytanii, w której układa sobie życie od niemal 20 lat, ale wciąż nie wiadomo, czy zakończy karierę, czy będzie grał dalej.

Historie Szczęsnego i Fabiańskiego mają ze sobą wiele wspólnego. Obaj spotkali się w stolicy, choć tak naprawdę Szczęsny zaliczył jedynie epizod w Legii Warszawa. Jako nastolatek pojechał na zgrupowanie ze starszym o 10 lat Arturem Borucem, który już za chwilę miał rozpocząć wieloletnią karierę w Celticu Glasgow, oraz z Fabiańskim, który nie wybił się w Lechu Poznań, ale rozpoczął karierę w Legii. Szczęsny trafił do Arsenalu Londyn jako 16-latek, a rok póź-

niej do klubu ze stolicy Anglii przyszedł Fabiański. Przez kolejne sezony Polacy rywalizowali o podstawowe miejsce w zespole, ostatecznie Arsène Wenger postawił na młodszego z naszych rodaków. Od 2014 r. Fabiański reprezentował kolejno barwy Swansea City i West Ham, a droga Szczęsnego, gdy odszedł z Arsenalu w 2015 r., prowadziła przez Romę i Juventus do Barcelony.

Cała trójka bramkarzy, których losy skrzyżowały się w stołecznym klubie podczas obozu na Cyprze w 2005 r., stanowią o sile obsady bramki reprezentacji Polski w ostatnich dwóch dekadach. Artur Boruc był piłkarzem przepelnionym charyzmą i pewnością siebie, a zaistniał w reprezentacji pod koniec eliminacji do mistrzostw świata w 2006 r., gdy kontuzji doznał Jerzy Dudek. Do dziś z dumą możemy wspominać jego postawę na mundialu w Niemczech czy Euro 2008 w Austrii i Szwajcarii. Jednocześnie miał krótsze i dłuższe rozbraty z kadrą spowodowane udziałem w aferach towarzyszkobyczących, a w zielonej części Glasgow ma status legendy również dzięki fanatycznej postawie wobec rywali z protestanckiej części miasta, którą zdarzało mu się manifestować zarówno na murawie, jak i poza nią.

Tym najbardziej stonowanym spośród wspomnianych trójki jest Łukasz Fabiański, a większość jego reprezentacyjnej historii to dzieje rywalizacji z młodszym Wojciechem Szczęsnym, z którym przecież walczył również o pozycję numer jeden w bramce Arsenalu. Jego najlepszy czas to Euro 2016, kiedy pod wodzą Adama Nawałki nasza kadra doszła do ćwierćfinału. Fabiański bronił tylko dlatego, że urazu w pierwszym meczu turnieju doznał Szczęsny. Ten powrócił do roli podstawowego bramkarza na mundialu w 2018 r. i pozostał nim aż do ub.r. Na mistrzostwach świata 2022 obronił strzał samego Leo Messiego z rzutu karnego, ale co bardziej nieprzejednani kibice nigdy nie zapomną Szczęsnemu jego czerwonej kartki w premierowym meczu Euro 2012 z Grecją. Wielu uznaje, że to gracz Barcelony jest winny niepowodzeniu Polski na tamtym turnieju.

Gdy Boruc, Fabiański i Szczęsny nie mogli stać na posterunku polskiej bramki, do akcji wkraczali znany przede wszystkim z holenderskich boisk Przemysław Tytoń, podstawowy bramkarz Spartaka Moskwa, Wojciech Kowalewski czy Tomasz Kuszczak, solidny punkt angielskich drużyn, a jednocześnie bramkarz wiecznie niedoceniony w Polsce.

„DUDEK DANCE”

W XXI w. Polska wkraczała z niekwestionowanym numerem jeden, jeśli chodzi o pozycję reprezentacyjnego bramkarza, a był nim rzecz jasna Jerzy Dudek. Wychowanek Concordii Knurów stał się pewniakiem za kadencji Jerzego Engela, gdy grał jeszcze w Feyenoordzie Rotterdam, a kres jego reprezentacyjnej hegemonii przyszedł wraz z brakiem powołania do kadry na mistrzostwa świata w 2006 r. przez Pawła Janasa.

Dudek, któremu w kadrze dzielnie sekundowali związany z Pogonią Szczecin Radosław Majdan i Adam Matysek, niegdyś żelazny punkt Bayeru Leverkusen, jest bohaterem prawdopodobnie najbardziej efektywnego pojedynczego występu polskiego bramkarza w XXI w. Mowa oczywiście o szalonym majowym wieczorze 2005 r. na stadionie olimpijskim w Stambule, kiedy Liverpool przegrywał do przerwy z AC Milanem 0:3, aby doprowadzić do wyrównania i ostatecznie serii rzutów karnych. Wówczas Polak wykazał się nerwami ze stali i nie lada pewnością siebie, kiedy za sprawą słynnego „Dudek dance” wyprowadził z równowagi piłkarzy Milanu. Zdekoncentrowani wygibasami bramkarza nie strzelili trzech jedenastek, a trofeum trafiło do Liverpoolu. Co ciekawe, późniejszy rezerwowy Realu Madryt wzorował swój show na występie pochodzącego z Zimbabwe bramkarza Bruce’a Grobbelaara, który 21 lat wcześniej zaprezentował „nogi ze spaghetti” podczas obrony rzutu karnego w finale Ligi Mistrzów. Co więcej, Grobbelaar również bronił wówczas bramki The Reds, a jego szaleństwo doprowadziło do wygranej z Romą.

Po meczu w Stambule Dudek został drugim polskim bramkarzem, który wygrał Ligę Mistrzów. Trzecim był wspomniany wcześniej Tomasz

Kuszczak, który jako rezerwowy golkeeper Manchesteru United triumfował w 2008 r. Kim był pierwszy?

MŁYNARCZYK DAŁ RADĘ

Był nim Józef Młynarczyk. Ten znakomity piłkarz najczęściej jest kojarzony z niesławną aferą na Okęciu z listopada 1980 r., kiedy pojawił się w stanie wskazującym na lotnisku przed odlotem kadry na zgrupowanie. Wielki skandal zakończył się zawieszeniem nie tylko jego, lecz także stojących za nim kolegów z reprezentacji, a rozdmuchana afera mogła skończyć karierę Zbigniewa Bońka, Włodzimierza Smolarka czy Władysława Żmudy. Ale mimo rozbratu z piłką reprezentanci wrócili na właściwe tory i już niecałe dwa lata później cieszyli się z trzeciego miejsca na mistrzostwach świata, a Młynarczyk bronił jak natchniony. Z Widzewem Łódź w 1983 r. zawiązał do półfinału Pucharu Europy, a grając dla FC Porto, świętował zdobycie najcenniejszego europejskiego klubowego trofeum w maju 1987 r.

W tym czasie na polskich boiskach triumfował znakomity bramkarz Górnik Zabrze Józef Wandzik, który później stał się ikoną greckiego Panathinaikosu Ateny. Momenty chwały mieli także Andrzej Woźniak, znany z występów dla łódzkich klubów, czy Kazimierz Sidorczuk, który na krajowym podwórku odnosił sukcesy z Lechem Poznań, a za granicą ze Sturmem Graz.

ZATRZYMAŁ ANGLIĘ

Pierwszą gwiazdą pomiędzy słupkami był oczywiście Jan Tomaszewski – piłkarz tyleż zjawiskowy, co nieprzewidywalny, który słynął z ryzykownych interwencji. Przed meczem na Wembley w październiku 1973 r. był przez wyspiarzy nazywany klaunem, po nim już na zawsze będzie znany jako człowiek, który zatrzymał Anglię. Dzięki jego niemożliwym interwencjom Polacy awansowali na mundial w 1974 r., a tam przy wydatnym udziale Tomaszewskiego zajęli trzecie miejsce. Polak został pierwszym bramkarzem w historii, który obronił dwa rzuty karne podczas mistrzostw świata.

We wcześniejszych dekadach prym wiodli golkipery pochodzący z Górnego

Śląska: Hubert Kostka z legendarnego Górnik Zabrze oraz Edward Szymkowiak, broniący dostępu do bramki międzywojennym za najlepszych uchodzili Spirydion Albański z Pogoni Lwów, Edward Madejski z Wisły Kraków i Marian Fontowicz z Warty Poznań. Czy byli pionierami polskiej szkoły bramkarskiej?

CZY MOŻNA WYSZKOLIĆ SAMOTNIKA?

No właśnie – czy takowa istnieje? Victor Valdés, broniący niegdyś bramki FC Barcelony, zatytułował swoją autobiografię „Samotność bramkarza”. Mijają dekady, ale w piłce nie zmienia się jedno. Pozycja bramkarza wiąże się z ogromną odpowiedzialnością, a jego błędy kończą się stratą gola. Nie wystarczą czysto piłkarskie umiejętności – żeby być dobrym golkiperem, potrzeba także niezwyklej koncentracji, odporności na stres i szybkiego podejmowania decyzji.

Zadziwiający urodzaj znakomitych bramkarzy w naszym kraju to raczej kombinacja ślepego trafu i ciężkiej pracy aniżeli usystematyzowanego i ujednoliconego systemu szkolenia, bo też pozycja golkipera to zawód dla samotników. Czy w nadchodzących latach nadal będziemy dumni z takich graczy?

W wyjściowej jedenastce bramkarz może być tylko jeden i dotychczas kłopot bogactwa stanowił główny problem przy obsadzie reprezentacyjnej bramki. Ale przecież czasy Dudka, Boruca, Fabiańskiego i Szczęsnego minęły bezpowrotnie. Jak wygląda teraźniejszość? Są doświadczeni Łukasz Skorupski i Bartłomiej Drągowski, którzy przez lata czekali na swoją szansę, pozostając w cieniu bardziej utytułowanych kolegów. Jest głód sukcesu Marcina Bułki i Kamila Grabary, chcących udowodnić, że już okrzepli i potrafią wziąć na siebie poważną odpowiedzialność. Jest młodzieńcza fantazja Bartosza Mrozka i Oliwiera Zycha, przed którymi ciężka walka o pokrzyżowanie szyków starszym kolegom. Biorąc to pod uwagę, możemy być w kwestii zasypania wyrwy po Szczęsnym optymistami. Nawet jeśli tradycja polskiej szkoły bramkarskiej w dużej mierze jest dziełem przypadku, to przecież nadal obowiązuje.

Gdy wybuchnie Yello

Superwulkany posiadają moc tysiące razy większą niż te zwykłe. Erupcja jednego z nich mogłaby przewrócić historię gatunku Homo sapiens. Po globalnej katastrofie życie na Ziemi wyglądałoby zupełnie inaczej, a procesy zachodzące na naszej planecie zaczęłyby się toczyć w nowym, trudnym do przewidzenia kierunku.

Wciąż jesteśmy zupełnie bezradni w obliczu takiej potęgi natury

Zagrozenie biologicznego bezpieczeństwa populacji jest wpisane w proces powtarzających się wielkich wymierań. Gdy naukowcy zaczęli badać rozwój gatunków, zauważyli ciekawą, choć niepokojącą prawidłowość.

PIĘĆ WIELKICH WYMIERAŃ

Co kilkadziesiąt, sto kilkadziesiąt milionów lat, począwszy od ordowiku, nastę-

powaly zapaści ekologiczne polegające na intensywnym wymieraniu organizmów. W sumie było ich pięć. Wymieranie ordowickie nastąpiło 438 mln lat temu i zmiotło 85 proc. gatunków reprezentujących wciąż raczkujące, pierwotne i niemal wyłącznie wodne życie.

374 mln lat temu, w dewonie, zwierzęta znów zaczęły wymierać – to wydarzenie przerwało powolny i długi proces dotyczący organizmów morskich polegający na stopniowym zwiększaniu się



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

rozmiarów ich ciał. Wyginęły wówczas gatunki większych zwierząt. Wymieranie dewońskie zaburzyło wspomniane



wstone

proces wzrostu, a w zasadzie go odwróciło: od tego momentu przez kolejne miliony lat zwierzęta mały.

Perm również nie był łaskawy dla flory i fauny kuli ziemskiej. 252–245 mln lat temu zaczęło dziać się coś nietypowego i tak destrukcyjnego, że jedynie 5 proc. gatunków zdołało się temu oprzeć. Reszta zwierząt oraz roślin wymarła, w tym liczne gatunki owadów, płazów i gadów. To katastrofa spowodowana wymieraniem permskim jest odpowiedzialna za zniknięcie wielkich, drzewiastych, intrygujących skrzypów i paproci.

Kolejna dekoninktura dla życia na Ziemi nastąpiła 201 mln lat temu – w trzaskie i przetrzebiła liczne gromady zwierząt. Żywiły były wówczas łaskawe dla dinozaurów i pterozaurów, które dzięki temu mogły zdominować planetę na kolejne 135 mln lat. Dlaczego tylko na

135? Gdyż po tym czasie znów nastąpiło kolejne wielkie wymieranie.

To wydarzenie, mające miejsce 66 mln lat temu, wyznaczyło koniec okresu kredowego. Usuwało z powierzchni Ziemi 75 proc. gatunków, zamknęło erę dinozaurów. Choć wymarły wówczas niemal wszystkie torbacze poza niewielką populacją z terenów obecnej Australii, rozpoczął się czas ssaków. Ponieważ w przeciwieństwie do dinozaurów były one reprezentowane wyłącznie przez gatunki o małych rozmiarach ciała, nie większych niż szczury, łatwiej było im znieść także dlatego, że potrafiły się odżywiać martwą materią organiczną lub żywiącymi się nią zwierzętami, co było kluczowe w czasach zaniku szaty roślinnej. Rośliny bowiem nie mogły fotosyntetyzować z powodu blokady promieni słonecznych przez pył w atmosferze i one również doświadczyły

wielkiego zaniku. Źródło wymierania kredowego tkwi w katastrofie kosmicznej. W Ziemię najprawdopodobniej uderzyła planetoida, co z kolei wywołało dalsze konsekwencje.

Co łączy te pięć wymierań? Były masywne, globalne, szybkie i selektywne. I jeszcze jedno – w tle każdego z nich pojawia się wulkan, ale o tym za chwilę.

ILE MAMY CZASU?

Te pięć niszczyielskich epizodów pokazuje pewną prawidłowość. Czy stosując narzędzia statystyczne, jesteśmy w stanie wskazać, kiedy nastąpi kolejne wielkie wymieranie? Mamy trochę za mało danych, aby stworzyć wiarygodny model. Co bowiem ustaliliśmy?

Wiemy, jak długie interwały czasu dzieliły momenty wymierań. Są to kolejno następujące wartości w milionach lat: 64, 122, 51 i 135. Od ostatniego wielkiego wymierania minęło 66 mln lat.



Rok bez lata po wybuch Tambory

Kiedy w 1815 r. wybuchł wulkan Tambora, pozbawiając życia ok. 71 tys. ludzi, popioły zasnuły atmosferę, powodując na całej Ziemi rok bez lata. To największa odnotowana katastrofa spowodowana przez wulkan w historii ludzkości. Erupcja w ośmiostopniowej skali VEI (*volcanic explosivity index* – indeks eksplozywności wulkanicznej) osiągnęła stopień siódmy. Wysokość słupa popiołów sięgnęła 44 km, docierając przez troposferę w najwyższe partie stratosfery. Gigantyczne tsunami, trzęsienia ziemi, globalne oziębienie, gwałtowne burze, wielkie powodzie, głód wywołany brakiem plonów i choroby spowodowane zatruciem środowiska to tylko niektóre efekty katastrofy. Na Węgrzech padał brązowy śnieg, a we Włoszech – czerwony.

Ten położony na indonezyjskiej wyspie Sumbawa wulkan nie jest jednak superwulkanem. Jest nim natomiast amerykański Yellowstone, który podobnie jak Tambora przez lata pozostawał uśpiony. Obecnie wykazuje wzmożoną aktywność. Pytanie nie brzmi, czy wybuchnie, lecz kiedy to się stanie. Dla porównania z Tambory wydobyło się ok. 100 km³ materiału wulkanicznego, natomiast z Yellowstone – ok. 1 tys. km³. Miało to miejsce 640 tys. lat temu. Po tym wydarzeniu powstała kaldera zapadliskowa, pod którą obecnie bzuje tzw. plama gorąca, czyli gigantyczne ognisko magmy zlokalizowane 5–10 km pod powierzchnią.

Ponowna erupcja amerykańskiego superwulkanu miałaby zakończyć niedługą historię rodzaju *Homo*. Gigantyczna ilość siarki i pyłów, jaka dostałby się do atmosfery, pozbawiłaby światła wszystkich mieszkańców Ziemi.

Czy mamy więc jeszcze kilkadziesiąt milionów lat? Moglibyśmy tak sądzić, gdybyśmy za punkt odniesienia obrali najdłuższy przedział czasu. Czy wręcz przeciwnie? Od kilkunastu milionów lat siedzimy na tykającej bombie, gdyż najkrótszy przedział pomiędzy wymieraniami trwał 51 mln lat? Jedno jest pewne: w perspektywie geologicznej nie unikniemy katastrofy.

NIESŁAWNA ROLA WULKANÓW

Pośród przyczyn każdego z pięciu wielkich wymierań wymienia się m.in. aktywność wulkaniczną. Powodowała ona różnego typu zagrożenia dla życia. Jednym z nich było zanieczyszczenie środowiska, które miało miejsce w dewonie. Mowa o metylortęci, związku niezwykle toksycznym dla żywych istot, charakteryzującym się łatwością wnikańia do organizmów. Na skutek aktywności wulkanów związek ten dostał się do środowiska. Następnie drogą wziewną, pokarmową i przez skórę trafił do organizmów mieszkańców Ziemi, uszkadzając je i powodując śmierć.

W permie natomiast aktywność wulkaniczna była tak nieprawdopodobnie wielka, iż powstałe wówczas pokrywy lawowe mają do 3,7 tys. m grubości i zajmują 2 mln km² Syberii. Taki rozmiar pokrywy lawowej uświadamia, jak gigantyczne musiały być zmiany chemiczne na Ziemi i w jakim stopniu skutkowały niekorzystnym dla organizmów zanieczyszczeniem ekosystemu. Z wulkanów wydobyły się biliony ton związków siarki, chloru i fluoru, które zakwasiły wody oceanów i resztę biosfery. W takim środowisku przetrwanie życia było niemal niemożliwe, dlatego z tego piekła ocalało zaledwie 5 proc. gatunków.

Innym typem zagrożenia powodowanym przez wulkany jest efekt cieplarniany. Właśnie to wydarzyło się w triasie. Aktywność wulkaniczna doprowadziła do powstania niewyobrażalnej ilości dwutlenku węgla, który po prostu zadusił zwierzęta. Te, które ocalały, miały problem z ociepleniem klimatu na skutek kumulacji w atmosferze CO₂ wyemitowanego przez wulkany. Z aktywnością wulkanów wiąże się także inne zagrożenie: wspo-



Jeziro Laacher See leżące w Nadrenii-Palatynacie nieopodal Koblencki jest efektem wybuchu wulkanu

mniane tu ciemności i mróz. Wulkany wtłaczają do stratosfery substancje blokujące promieniowanie słoneczne. W takich warunkach organizmy samożywne, czyli te, które potrzebują do przetrwania słońca, szybko wymierają. Z powierzchni ziemi znikają rośliny, a ta szybko pustoszczy. Staje się ciemno i zimno. Brak okrywy roślinnej i mróz eliminują możliwość przeżycia dużej części gatunków fauny. Tak było pod koniec kredy, kiedy po uderzeniu planetoidy uaktywniły się ziemskie wulkany.

ZAGROŻENIE Z NIEMIEC

Szczególną rolę w zagładzie życia na Ziemi mogą odegrać superwulkany. Zaczniemy od tego, że najbliższy z nich znajduje się ok. 600 km na zachód od polskiej granicy. W Niemczech. Jeżeli ktoś myśli, że zagrożenia wynikające z tych przerażających tworów nie są dla nas powodem do zmartwień, że muszą się obawiać tylko Indonezyjczycy czy Amerykanie, jest w błędzie. Pozornie spokojne Laacher See leżące w Nadrenii-Palatynacie nieopodal Koblencki jest efektem wybuchu wulkanu, który miał miejsce ok. 13 tys. lat temu. Najpierw jednak, zanim kaldera wypełniła się wodą i powstało jezioro, cała okolica

pokryła się siedmiometrową warstwą pumeksu i popiołu, które wydobyły się w olbrzymich ilościach z wulkanu podczas erupcji 250 razy potężniejszej niż ta z 1980 r. w stanie Waszyngton. Co więcej, wybuch wywołał zmiany klimatyczne: nastąpiło silne ochłodzenie, powstały lodowce i wieczne zmarzliny. Istnieje hipoteza łącząca młodszy dryas, ostatni zimny epizod ostatniego zlodowacenia, właśnie z wybuchem tego wulkanu.

Kiedy więc oczy świata kierują się na Yellowstone, my mijemy na oku Laacher See, które od 2012 r. przejawia pewną aktywność. Faktem jest natomiast, że znajdujący się w stanie Wyoming wulkan Yellowstone wykazuje aktywność znacznie większą. Czy to jego wybuch zakończy czas pomyślności Ziemi?

Na świecie istnieje ok. 20 superwulkanów. Ich erupcje zdarzające się co kilkadziesiąt tysięcy lat nie zawsze muszą oznaczać początek wielkiego wymierania. Zawsze jednak powodują gigantyczne zmiany, które w przypadku cywilizacji stworzonej przez *Homo sapiens* oznaczałyby katastrofę. Od czasu powstania cywilizacji ludzkość nie była świadkiem takiego zdarzenia. Trudno przewidzieć, jak 8-mln populacja zniosłaby takie wydarzenie. Czy byłoby ono początkiem końca naszego gatunku? **✓**

K

ULTURY

A portrait of Maja Lunde, a Norwegian author, with long, wavy blonde hair, looking slightly to the right. She is wearing a black top. The background consists of dark, bare tree branches and clusters of small, bright red flowers, possibly cherry blossoms, in soft focus.

Jak grom z jasnego nieba

Maja Lunde – norweska pisarka, której międzynarodowy rozgłos przyniósł bestsellerowy „Kwartet klimatyczny” (otwarty „Historią pszczół”, a zamknięty „Snem o drzewie”) – przychodzi dziś do polskich czytelników z książką „Czas zatrzymany”. Stawia w niej pytania m.in. o trwałość i przemijanie, a także o rodzicielską miłość

Z **Mają Lunde**, norweską pisarką i scenarzystką, rozmawia **Jolanta Gajda-Zadworna**

Od czego zaczęła się pani przygoda z pisaniem?

Maja Lunde: Przede wszystkim od zawsze dużo czytałam – zarówno uwielbiane do dziś książki Astrid Lindgren, jak i serię o Ani z Zielonego Wzgórza, „Opowieści z Narnii”, „Domek na prerii” czy „Momo” autora „Niekonczącej się historii”. Jednak prawdziwej siły literatury doświadczyłam, widząc jak tata, czytający nam na głos „Braci Lwie Serce”, pod koniec lektury zaczyna płakać. To zrobiło na mnie ogromne wrażenie.

Ale w roli pisarki zadebiutowała pani już jako dojrzała osoba. Z jakim przesłaniem?

Odkąd pamiętam, bardzo ważna była dla mnie przyroda, natura. Wypełniała zarówno ulubione przeze mnie miejsca, jak i książki, które czytałam, a także teksty, które tworzyłam od małego. Moje zawodowe pisanie zaczynałam od scenariuszy i podczas pracy nad jednym z nich pomyślałam, czy i jak mogę go przelożyć na język książki. Tak powstała moja pierwsza powieść. Została zaklasyfikowana jako książka dla dzieci, ale dla mnie najważniejsze jest nie to, dla kogo piszę, tylko o czym. Jeśli główny bohater okazuje się dzieckiem, powstaje książka dla dzieci.

Co doprowadziło panią do „Historii pszczół”?

Zaczął się od tego, że obejrzałam film dokumentalny o tym, jak tracimy różnego rodzaju owady. Na całym świecie. Jak współczesna gospodarka wpływa na nie i za ich sprawą na ludzi. Ten dokument był dla mnie niczym grom z jasnego nieba. Bardzo szybko pojawił się pomysł, który zamienił się w szkic pierwszych stron. Najpierw myślałam, że będzie to jedna książka, ale gdy zaczęłam zgłębiać temat, okazało się, że prowadzi mnie do trzech innych historii. Wiedziałam, że będą ze sobą powiązane i domkną się w finale, który miałam w głowie już na wstępie.

Jak przystało na scenarzystkę, przeprowadziła pani narrację przez wszystkie kluczowe punkty. A także miejsca. Czym się pani kieruje, wybierając takie a nie inne lokacje?

Od początku chciałam zakończyć „Kwartet klimatyczny” (w jego skład wchodzi książki: „Historia pszczół”, „Błękit”, „Ostatni”, „Sen o drzewie”) na archipelagu Svalbard. Latem 2015 r., jeszcze przed ukazaniem się „Historii pszczół”, usłyszałam też o koniu Przewalskiego, który stał się kluczowy dla książki „Ostatni”. Wraz z nim pojawił się wątek Mongolii. Jednak już w powieści „Czas zatrzymany” [w Polsce ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego] – nie ma konkretnego miejsca. Podobnie jak w książkach dla dzieci, które tworzę z ilustratorką Lisą Aisato. Te historie mogłyby się dziać wszędzie. Najważniejsze są w nich zdarzenia, relacje.

Co było inspiracją dla „Czasu zatrzymanego”?

Pomysł spłynął na mnie nagle. W 2015 r. kończyłam 40 lat, wydałam „Historię pszczół” i można powiedzieć, że z niemal anonimowej scenariopisarki oraz autorki książek dla dzieci stałam się osobą rozpoznawalną, której twarz była na reklamach w całym Oslo. Pewnego wieczoru, wracając z jednego ze spotkań – bardzo zmęczona intensywnością zdarzeń, z przynębiającą świadomością półmetka życia – zjechałam na boczne drogi za miastem. Zaczęłam się zastanawiać, czym jest dla mnie pojęcie śmierci, co chciałabym zrobić z resztą mojego życia. Odruchowo włączyłam radio, a tam rozmawiano... właśnie o śmierci. Wtedy przyszły do mnie przewrotne pytania: „A co, jeśli śmierci by nie było? Nie byłoby żadnego końca? Czy to lepsze, czy gorsze rozwiązanie?”. Następnego dnia zaczęłam przekładać te dylematy na pomysł literacki.

Norweski tytuł książki można przetłumaczyć także jako „czas wyłączony, zamknięty”. Na ile w tej historii odbijają się doświadczenia lockdownu?

Pierwszy szkic był gotowy 10 lat temu, ale najpierw postanowiłam się zająć „Kwartetem klimatycznym”, a potem przyszła pandemia

i – przynajmniej – przyniosła dodatkową warstwę interpretacyjną. Ciekawe natomiast, że znacznie wcześniej udało mi się pokazać, jak reagujemy na ekstremalną sytuację, że mimo wszystko próbujemy odnaleźć w niej normalność, utrzymać jakąś rutynę.

Często spotyka się pani z emocjonalnymi reakcjami czytelników „Czasu zatrzymanego”?

W szczególności kobiet, które identyfikują się z Jenny, śmiertelnie chorą matką, która nie może sobie wyobrazić pozostawienia swoich dzieci. Po lekturze tej książki wiele osób zaczyna się zastanawiać, jak dysponują swoim czasem, czy potrafią go docenić, biorąc pod uwagę, że każda sekunda zbliża nas do kresu życia.

Jedną z pani książek – „Śnieżna siostra” – została już zekranizowana (dla platformy Netflix). Które jeszcze widziałyby pani na ekranie? I nad czym teraz pani pracuje?

Rozmawiałam już z kilkoma wytwórcami o „Czasie zatrzymanym”. Przygotowuję też scenariusz teatralny, który nawiązuje do tej powieści. Jesienią wydałam w Norwegii książkę z gatunku literatury faktu o potrzebie uregulowania dostępu dzieci do najnowszych technologii (ukaze się również w Szwecji i Finlandii). Z Lisą Aisato domykamy cykl o porach roku, a jeszcze przed zimą opublikuję powieść dla dorosłych o bożonarodzeniowej nadziei.

Teraz odwiedziła pani Polskę. Który to pobyt w naszym kraju?

Czwarty. Poza Warszawą byłam już w Krakowie, Gdańsku i Wrocławiu. Do tej pory przyjeżdżałam do Polski na spotkania z czytelnikami, ale chciałabym też pokazać Warszawę bliskim. Moje dzieci są już co prawda duże, ale nadal pozwalają mi doceniać to, co jest piękne i ważne w rodzicielstwie – być przy swoich dzieciach, móc patrzeć, jak się rozwijają.



„Winny”, czyli Smarzowski osaczony

Wojciech Smarzowski był sprawnym reżyserem teatrów telewizji. W latach 1999–2007 nakręcił ich cztery. Były dobrze przyrządzone. Najmocniej zapadła mi w pamięć „Kuracja” z 2001 r., klaustrofobiczna przypowieść o naukowcu, który w ramach eksperymentu zostaje pacjentem szpitala psychiatrycznego.

W 2004 r. reżyser zaczął podbój publiki kinowej „Weselem”. Zarzucano mu jednostronność, przesadny mrok, nawet fascynację złem. Ale trudno było przejść obojętnie obok jego rozmaitych wizji. W 2016 r. nakręcił swój najwybitniejszy film – „Wołyń”, nie tylko martyrologiczne wspomnienie, lecz także wstrząsający portret zwykłych ludzi rozjeżdżanych przez walce historii.

Ponieważ film spodobał się prawicy, nie dostał nagrody na festiwalu w Gdyni. A Smarzowski, wcześniej odrobinę symetrystyczny, dokonał wyboru. Jego masowo oglądany „Kler” był płaskim, choć efektownym pamfletem na Kościół. Z kolei drugie „Wesele” to opowieść o Polakach jako okrutnych antysemitach, rzecz odwołująca się do masakr na Podlasiu podczas wojny, zignorowana przez widownię.

Teraz postanowił pokazać nam coś, co w godzinę ma być i „Klerem”, i drugim „Weselem”. Punktem wyjścia spektaklu „Winny” był monodram Stanisława Brejdygant z 2018 r., tu obudowany innymi krótkimi scenkami. Aktor, który sławę zyskał dubbingową rolą cesarza Klaudiusza w brytyjskim serialu z lat 70., sam napisał pierwotny tekst. Ponoć inspirował się prasową notatką dotyczącą człowieka, który po latach przyznał się do zabicia dwójki Żydów ukrywanych przez niego podczas wojny.

Czy jednak autor poznał okoliczności zdarzenia? Czas był straszny, motywy różne, nie wszyscy Polacy zachowywali się wtedy etycznie. Ale ta opowieść o młodym człowieku ukrywającym rodzeństwo, z którego Samuela lubi, a w Sarze jest zakochany, brzmi – co do motywów – mało przekonująco. Zabija, bo nagle przypomina sobie przedwojenną antysemitkę

publicystkę „Małego Dziennika” franciszkanów, no i dowiaduje się o śmierci ojca w Katyniu. Więc uznaje, że zabili go Żydzi.

No dobrze, dajmy na to, że uwierzmy. Po wojnie ten sam bohater przechodzi ekspiację, staje się wręcz sędzią innych. Decyzję, aby się przyznać, podejmuje w 1968 r., zniesmaczony antysemitką kampanią PZPR. Gra go sugestywnie Brejdygant, komentarzami są krótkie scenki, kiedy postacie z dawnych czasów pojawiają się we współczesnych miejscach – całkiem jak w nowym „Weselu”. Smarzowski postanowił jednak uzupełnić to oskarżenie innym.

Bartek Sowiński ma wnuka, który jest księdzem i po latach słucha nagranej spowiedzi dziadka. To okazja, aby dźgnąć w jeszcze bardziej plakatowym stylu także współczesny Kościół, nie tylko za dawny antysemityzm. Wnuk ksiądz jest zmuszany do tuszowania pedofilskich skandali. Więc oskarża swą instytucję z ambony. Przy okazji przyznając się do homoseksualizmu – wszystkie grzyby muszą być wrzucone do jednego barszczu.

To tak schematyczny i zapamiętały w naćkanych publicystycznych tezach manifest, że przypomina autoparodię. A z wybitnego reżysera robi wiecznego kustosa dwóch obsesyjnie i jednostronnie podejmowanych tematów.



Teatr Telewizji miał ostatnio parę celnych trafień. Teraz postanowił pochwalić się produkcjami sław – zaraz będą spektakle Jana Holoubka i Krzysztofa Zanussiego. Ale ten produkt to niedźwiedzia przysługa dla Smarzowskiego ogłaszającego, że „czuje się osaczony przez Kościół”. Czy teatr to najlepsza terapia?

„Winnego” pokazano przed drugą turą wyborów. Prawicowe sentymenty okazały się w nich żywotne. Nie wiem, czy receptą na zwycięstwo Rafała Trzaskowskiego jest kolejny, tak przewidywalny pamflet na Polaków w rządowym medium.

Piotr Zaremba



ROBERT TEKIELI

Czym jest dyspatriotyzm? To patriotyzm dysfunkcyjny. Jedna z odmian patriotyzmu przymiotnikowego.

Rafał Trzaskowski jest dyspatriotą. Używa słów, jakich używają patrioci, lecz jego czyny zaprzeczają słowom. Jak pozytyw zaprzecza negatywowi.

Dyspatriotki wstydzą się Polski, nie identyfikują się z nią, mają niskie poczucie więzi z innymi Polakami. Jest ich w naszym kraju aż 5,5 mln. Są to osoby o niskiej samoocenie, osamotnione, którym jest się trudno dopasować do rzeczywistości – wykazały to masywne badania Instytutu Psychologii Polskiej Akademii Nauk.

Ci najbardziej osamotnieni nadają ton kampanii prezydenckiej: „Nie dajcie się zwieść. Wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami? Czy może po stronie Antoniny Wyrzykowskiej, która ratowała Żydów, za co musiała uciekać z miasta”. To prof. Michał Bilewicz, konfabulujący dyspatriota wzorcowy aż po utożsamienie się z „ofiarami leśnych band”. Czyli z UB.

Rafał Trzaskowski również jest dyspatriotą idealnym, bowiem dyspatrioci wolą Europę niż Polskę. Zasadniczo są to osoby o poglądach lewicowych, bardzo otwarte na obcych, ale jednocześnie negatywnie nastawione wobec własnej grupy narodowej. Nie identyfikują się z innymi Polakami i nie darzą ich sympatią.

Na dowód tego u Rafała Ziemkiewicza przeczytałem, że warszawski Teatr Studio wystawia dzieło Mikity Ilińczyka (Biało-

3 MIŁOŚCI

Dyspatriota

ruska Republika Ludowa) „2049: Witaj, Abdo”. „Krótki opis dzieła: w roku 2049 odkrywane są zbrodnie Polaków dokonane na granicy Białoruskiej. Okazuje się, że Polacy, z pieśnią Konfederatów Barskich i »Kordianem« na ustach wymordowali tu przed niespełna 30 laty tysiące arabskich uchodźców. A tych, którzy nie trafili od razu do masowych grobów, zamęczyli w rewitalizowanym w tym celu potajemnie pohlterowskim obozie zagłady. Katolicko-

Trwa rewolucyjna ofensywa. Dążenie do przeorganizowania ludzkiej świadomości za pomocą inżynierii psychicznej. Wkrótce w Teatrze Nowym odbędzie się wydarzenie zatytułowane „Narcosexuals”, performance, który pokazuje grupę mężczyzn uprawiających homoseksualny seks pod wpływem narkotyków. Warszawa dofinansowuje seksualne orgie pod wpływem substancji psychoaktywnych

-narodowy reżim zdołał na długo ukryć swe zbrodnie, ale dzięki pracy odważnych prokuratorów i równie szlachetnych aktywistów prawda o Polakach wychodzi na jaw... Kto sponsoruje to dzieło? Tak – prezydent m.st. Warszawa, Rafał Trzaskowski”. Teraz cytuję z autorskiego opisu wydarzenia: „To nie tylko sąd nad jednostkami, ale także nad językiem, pamięcią i mechanizmami wyparcia, które pozwalają nie dostrzegać tragedii tuż za rogiem”.

W dyspatriotycznej wizji świata „nie ma ofiar niemieckich, sowieckich, nie ma Kresów, nie ma Wołynia. Jest tylko »wyparcie«, »milczenie«, »brak empatii« i duch Abdo, który staje się ważniejszy niż duch Polski” – pisze Lemingopedia, mój ulubiony twórca cyfrowy. Dyspatrioci chcą swoją ojczyznę „rozbroić moralnie, rozmiękczyć tożsamościowo, rozłożyć na czynniki pierwsze i złożyć z powrotem tak, by już nie była sobą. Bodnar już kazał naszym żołnierzom wyprowadzać w kajdanach. I to nie w spektaklu. To się działo tu, teraz, w Polsce”.

Dla dyspatriotów bycie Polakiem jest powodem do zażenowania. W PRL z podobnej grupy ulepiono *homo sovieticus*. Potomkami tych władców PRL są władcy III RP, resortowe dzieci, cały czas czerpiące korzyści z działań zbrojnej grupy przestępczej zarządzającej nowotworem jakim była „Polska” „Rzeczpospolita” „Ludowa”.

Ale sąd nad polskim mundurem to nie jedyny spektakl, który poprzez swój warszawski urząd hojnie finansuje Rafał Trzaskowski. Wkrótce w Teatrze Nowym odbędzie się wydarzenie zatytułowane „Narcosexuals”, performance, który pokazuje grupę mężczyzn uprawiających homoseksualny seks pod wpływem narkotyków. Warszawa dofinansowuje seksualne orgie pod wpływem substancji psychoaktywnych. Przez okna teatralnej makiety domu warszawscy dyspatrioci będą mogli obserwować trwającą w środku imprezę reality show typu chemsex i bardzo pragną, by po wyborach pozostali Polacy również zaczęli się dokładać do narkotyczno-seksualnych awangardowych „teatrów”.

Trwa rewolucyjna ofensywa. Dążenie do przeorganizowania ludzkiej świadomości za pomocą inżynierii psychicznej. Beria pisał: „Psychopolityka jest sztuką i wiedzą o ustanowieniu i utrzymaniu panowania nad myśleniem i postawą uległości jednostek, oficerów, urzędów i mas, a przez to zawładnięcie wrogim narodem za pomocą [takiej właśnie] »terapii umysłowej«”.

Kto jest głównym adresatem tych działań? Oprócz patriotyzmu dysfunkcyjnego istnieje patriotyzm bezobjawowy, postawa szarych ludzi, o których pisał kiedyś Piotr Wierzbicki. Tych jest w kraju aż 11 mln. Ich identyfikacja z polskością jest słaba i dość labilna – zależy od zewnętrznych uwarunkowań. Prezentują negatywne postawy zarówno wobec grupy własnej, jak i grup obcych. Są to osoby raczej skoncentrowane na własnym codziennym życiu niż na sprawach kraju. Dla nich bycie Polakiem w sumie znaczy niewiele. I to oni – oprócz uśmiechniętych i fajnych z dużych miast – są głównym przedmiotem inżynierii społecznej funkcjonariuszy Syndykatu Śmierci.

Eliminowanie poczucia wstydu i leczenie z patriotyzmu to nie jedyna odmiana psychopolityki, jakiej jesteśmy poddawani. Młode pokolenie ma nie tylko przestać uczyć się historii (bohaterowie) i biologii (dwie płcie), lecz także nie czytać lektur, które budują wzorce. Dyspatriotom u władzy wadzi nie tylko Honor i Ojczyzna. Młode pokolenie Polaków marównieź utracić wiarę.

„– Wszechświat cię słucha...” – Rozumiesz, człowieku współczesny? Zabrano ci Boga, więc przynajmniej Kosmos cię wysłucha. „– Wypowiedz intencję, a rzeczywistość się dostosuje...” – OK, chcę, być młodym blondynem... „– Twoje myśli tworzą twój świat...” – Więc może choćby czerwone ferrari przed domem? – Nie? Dlaczego? Czy Wszechświat mnie słyszy? Halo?

Dziś młodzi coraz częściej kierują się ideologicznym (fałszywa idea nieuniknionego postępu) przekonaniem, że mamy nowe czasy, które unieważniają „stare” zasady, reguły, prawdy. Lekceważą starszych ludzi pod pretekstem ich niedzisiejszości – ci bowiem zazwyczaj wolniej przyswajają nowinki cyfrowe – a tak naprawdę dlatego, że nie chcą słuchać opowieści o istnieniu powinności i obowiązków, nie chcą słuchać o istnieniu grzechu. Bez tego pojęcia żyje się fajniej. Ową naturalną skłonność człowieka zranionego ościeniem grzechu pierwotnego wykorzystują psychoinżynierowie, operatorzy cywilizacji śmierci.

Kiedy popytać, by sprecyzować istotę tych „nowych” poglądów, okazuje się, że jest to jakaś intelektualna mgławica idei, wrażeń i przekonań czerpana z memów, filmików czy fałszywych z założeń wpisów, których jedynym zadaniem jest uderzenie w rozsądne przekonania odbiorcy i wywołanie reakcji monetyzowanej przez autora.

Popkulturowe hasła codziennie pojawiają się w internecie, mediach społecznościowych i książkach rozwoju osobistego, są treścią nowoczesnej psychologii czy coachingu. Techniki „manifestacji dobra”, „ustawiania energii” czy „afirmacji mocy” przenikają również do codziennych praktyk ludzi wierzących. Brzmiały pozytywnie, inspirująco, obiecująco.

Tęm tej mainstreamowej mgławicy światopoglądowej jest XIX-wieczna „filozofia” pozytywnego myślenia: myśl kreuje rzeczywistość... Dysponujemy


ukrytym/zapoznanym potencjałem... Guru współczesności, w tym błyskotliwe celebrytki, mówią o „potędze umysłu”, manifestowaniu intencji, prawie przyciągania, o okultyzmie owiniętym w kwantowe jedwabie słów. Jest to bowiem wiązka teorii i praktyk, w których źródłem przyciągającej miliony osób mocy jest magia.

„Manifestowanie” to „proces tworzenia czegoś nowego, np. marzeń, celów czy też wydarzeń, poprzez skupienie uwagi i energii na ich realizacji, z niezachwianym przekonaniem, że się one pojawią”. To niezachwiane przekonanie (akt woli, wiara w istnienie nieistniejącego) stanowi furtkę do okultyzmu.

(Kilka miesięcy temu pisałem tutaj o drugiej mgławicy światopoglądowo-duchowej, w której przyciągającym do płynących z niej praktyk źródłem mocy są wschodnie duchowości. Dla ludzi w krajach, w których powstały, są zasadniczo bezpieczne duchowo, dla chrześcijan i postchrześcijan – demoniczne, bowiem w hinduizmie i buddyzmie nie ma pierwszego przykazania. Nazwałem tę mgławicę selfizmem energetycznym, neopoganizmem wibracyjnym, irracjonalizmem czakralnym).

Zatem: „Wszystko jest energią. Człowiek jest połączony ze wszystkim, co go otacza. Nasze myśli, emocje, a nawet przekonania mają wibracje energetyczne. I to one kreują naszą rzeczywistość wokół! Wszechświat reaguje na nie i odzwierciedla w naszej rzeczywistości. Zaufaj, poczuj wdzięczność (do energii?). Kochaj siebie i życie, a Wszechświat odpłaci ci z nawiązką!”. Porzuć racjonalizm, realizm, uwierz, że co pomyślisz, to się stanie. Boga nie ma, Polaczkę, Kosmos jest bogiem. A kolejne imię szatana to Wszechświat.

Co się zdarzy, jeśli wygra Trzaskowski? Z grubsza wiadomo: Stop CPK, Planeta płonie, Aborcja na życzenie, Zielony Ład, waluta euro, Herzlich Willkommen in Polen. Więc Trzaskowski nie wygra. Jeśli dobrze rozumiem logikę Opatrzności. Jeśli zaś nie rozumiem i Bogu przyjdzie do głowy próbować nas w cnocie wiernego stania przy Kościele i wierze naszych babć, i rządziej naszych dziadków – też dobrze. W porządku wiary człowiek zawsze jest pytany o zgodę na męczeństwo. O wierność miłosiernej miłości Chrystusa.

Jest jeszcze parę dni: niektóre demony wypędza się tylko modlitwą i postem. 



Co spowodowało największy blackout w historii Europy?

W Hiszpanii system elektroenergetyczny zbuntował się przeciwko zielonej transformacji. Jeśli dalej będziemy zwiększać moce odnawialnych źródeł energii, awarie będą coraz częstsze. Trzeba więcej pokory wobec praw fizyki – mówi **prof. Władysław Mielczarski**, ekspert branży energetycznej, w rozmowie z Agnieszką Łakomą

Można odnieść wrażenie, że wielka awaria i odcięcie prądu 60 mln ludzi w Europie już kilka dni po przywróceniu zasilania przestały być problemem. Czy to znak, że Komisja Europejska wysłała sygnał, by zamieść temat pod dywan?

Władysław Mielczarski: To, co nastąpiło pod koniec kwietnia w Hiszpanii, Portugalii i na południu Francji, nie było jakąś tam awarią – to był olbrzymi blackout, największy w historii Europy. Ostatnia tego typu sytuacja miała miejsce we wschodniej Anglii w 2019 r. i objęła obszar zamieszkały przez kilka milionów ludzi. Trudno zrozumieć to, co się dzieje wokół wyjaśnienia przyczyn tej awarii w Hiszpanii. Zaraz po niej wydano oświadczenie o powołaniu komisji, aby zbadała jej przyczynę, a także od razu usłyszeliśmy, że na pewno nie jest to wina źródeł odnawialnych. Na dodatek wyniki prac tej komisji zostają utajnione. Powstaje wrażenie, że władze unijne najchętniej zaliczyłyby ten blackout do kategorii wydarzeń trudno przewidywalnych, a więc lepiej, by w mediach było o tym jak najmniej. A skoro mówimy o czymś w mało przejrzysty sposób, pojawiają się spekulacje.

To pospekulujmy: Hiszpania przeszła na odnawialne źródła, w lutym operator systemu alarmował, że mogą być problemy, a już kilka dni przed awarią były sygnały o przerwaniu dostaw prądu m.in. do rafinerii. Co z tego wynika?

Z dostępnych informacji wyłania się taki obraz: w połowie kwietnia Hiszpania informowała, że OZE zapewniły 100 proc. mocy potrzebnej dla systemu, a w dniu awarii źródła odnawialne produkowały 78 proc. energii, a więc bardzo dużo. Tylko 22 proc. zapewniały pozostałe źródła – w tym gazowe, wodne i jądrowe, które mają wirujące turbiny i generatory. To właśnie one wnoszą do systemu niezbędną inercję, która ma naturalne właściwości stabilizujące. Są trudne do zastąpienia przez systemy rezerw budowane przez człowieka. Odnawialne źródła, takie jak panele fotowoltaiczne, w ogóle nie mają inercji, a turbiny wiatrowe bardzo niewielką ze względu na stosunkowo małą masę wirnika i łopat oraz wolne obroty.

Rolę inercji w sieci najłatwiej porównać do układu zawieszenia w samochodzie. To właśnie ono powoduje, że drgania na nierównej nawierzchni są tłumione i zapewnia bezpieczną jazdę. Jeśli w systemie



nie ma inercji, występują nadmierne wahania częstotliwości i nie ma czym ich stłumić. Jeżeli w samochodzie brakuje dobrego zawieszenia, pojazd wypada z toru jazdy. Podobnie jest z systemem energetycznym. I niestety do tego doszło w systemie hiszpańskim.

Wiemy, że w dniu awarii od rana były wahania przepływów energii w sieci, to jest naturalne. Ale kiedy są one zbyt duże przy niewielkiej inercji, zabezpieczenia zaczynają wyłączać elektrownie, aby uchronić ją przed uszkodzeniami. Z tego, co wiadomo, pierwsza wyłączyła się elektrownia gazowo-parowa o mocy 1,5 tys. MW, a następnie poszła cała kaskada wyłączeń i w ciągu 27 sekund system został całkowicie rozłączony. To zbyt krótki czas, aby operatorzy sieci mogli podjąć jakieś działania, w takich przypadkach trzeba się zdać na automatyczną regulację, a tej zabrakło w dostatecznej wielkości.

Czy wniosek jest taki, że było za dużo OZE, a za mało elektrowni tradycyjnych stabilizujących system i sieci padły?

Wniosek jest taki, że jeśli systemem energetycznym rządzi ideologia, a prawa fizyki są odrzucane, musi dojść do awarii. Niestety zamiast zdać się na wiedzę inżynierską, politycy zdają się na ideę ratowania klimatu poprzez stawianie wiatraków i budowę farm paneli PV, a elektrownie gazowe, węglowe czy jądrowe są ograniczane, a nawet zamykane. Wychodzi więc na to, że politycy zabierają nam inercję – a bez stabilizującego działania tejże inercji w wirujących masach turbin i generatorów następuje destabilizacja systemów, nawet przy niezbyt dużych wahaniami mocy. I choćby nie wiem, jak zaklinali rzeczywistość, nie da się tego ukryć.

Ale władze unijne stawiają na czyste źródła, wkrótce ogłaszają cel redukcji emisji CO₂ o 90 proc. do 2040 r. w porównaniu z 1990 r. Chcą budowy farm wiatrowych na lądzie i morzu oraz paneli słonecznych na każdym dachu. Nie ma więc odwrótu od Zielonego Ładu.

Awaria w Hiszpanii to kolejny sygnał, że jeśli jest za dużo źródeł energii, które nie mają inercji, prowadzi to do katastrofy. Politycy w Brukseli i każdym kraju unijnym powinni zrozumieć, że w Hiszpanii to system elektroenergetyczny zbuntował się przeciwko zielonej transformacji. Jeśli dalej będziemy zwiększać moce odnawialnych źródeł energii bez konwencjonalnych, ciągle dyspozycyjnych elektrowni, awarie będą coraz częstsze. Trzeba więcej pokory wobec praw fizyki, a mniej ideologii. Od lat podejmowane są próby budowy „sztucznej inercji” bazującej na magazynach energii, ale jest to niemożliwe. Dzięki magazynom energii można uzyskać pewien rodzaj rezerwy sekundowej, niewiele różniącej się od już istniejącej.

Nasz kraj też wdraża unijną politykę klimatyczną. W 2030 r. odnawialne źródła zdominują system. Czy powinniśmy się bać?

Na razie jesteśmy w dobrej sytuacji. Na szczęście mamy elektrownie węglowe z mocami wirującymi, które dziś zapewniają ok. 60 proc. energii. Jeśli moce OZE nie będą zbyt duże, utrzymamy stabilność systemu elektroenergetycznego. Trzeba przyznać, że dotąd polski operator sieci przesyłowych radzi sobie dobrze i w sytuacjach nadmiaru mocy ze źródeł odnawialnych działa zdecydowanie. Gdy moce odnawialne niebezpiecznie rosną, nakazuje ich redukcję, czyli wyłączenie. Jeżeli

Jeśli systemem energetycznym rządzi ideologia, a prawa fizyki są odrzucane, musi dojść do awarii

operator nie będzie wyłączał OZE w sposób kontrolowany, to one wyłączą cały system i nas – wszystkich odbiorców.

Każda taka redukcja, czyli przymusowe wyłączenie farmy słonecznej czy wiatrowej, generuje koszty. Zgodnie z wytycznymi Unii tych farm ma być coraz więcej, więc dopłacimy najpierw do budowy, a potem do ich wyłączenia, żeby nie zdestabilizowały systemu. Gdzie tu sens?

Rzeczywiście, nasuwa to skojarzenie z błędnym kołem subsydiów i burzy mit, że odnawialne źródła są tanie. Wszyscy płacimy za to, co jest ideologią. Za rozwój sieci na potrzeby OZE i ich bilansowanie płacą wszyscy odbiorcy. To są ukryte subsydia, których nie widzimy. Na tradycyjne elektrownie nałożono podatek od emisji CO₂, który podnosi koszty produkcji energii – to też jest forma subsydiowania źródeł odnawialnych. Analizy pokazują, że im więcej OZE w systemie, tym więcej będzie ich

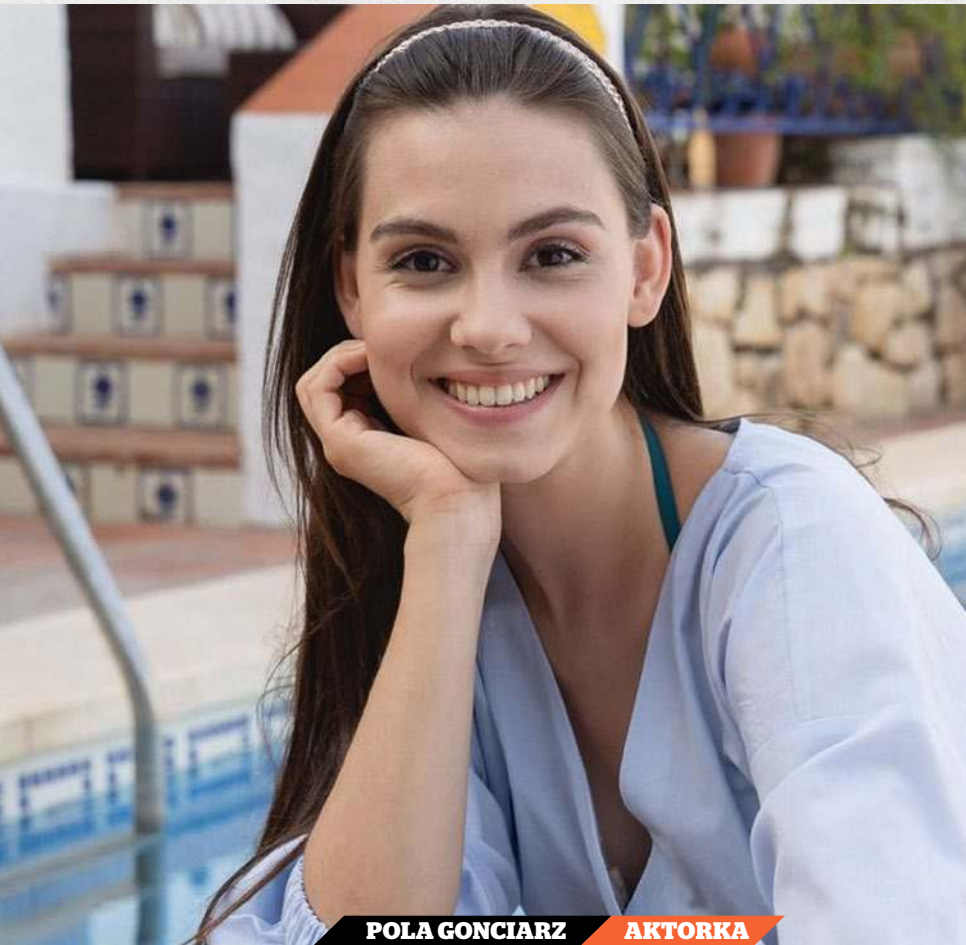
wyłączeń i tym wyższe rekompensaty będziemy płacić za te wyłączenia. Ale warto pamiętać o tym, że za odnawialnymi źródłami stoi ogromny i wpływowy biznes. Do tego stworzono niezwykle osłonę propagandową. Bez tej wszechobecnej zielonej propagandy mało kto zgodziłby się płacić wyższe rachunki, wiedząc, że energia wytwarzana w elektrowniach konwencjonalnych – węglowych i gazowych – jest zwyczajnie o wiele tańsza. Tym bardziej że reszta świata zmierza w innym kierunku – stawiając na tanią energię ze stabilnych, konwencjonalnych elektrowni.

Polska ma węgiel, co gwarantuje niezależność energetyczną i niskie koszty produkcji w elektrowniach. Gdyby ta produkcja nie była obłożona podatkiem klimatycznym, jakim jest ETS, koszty energii w Polsce i całej Unii byłyby znacznie niższe.

Czym skończy się dla Polski podążanie za zieloną agendą?

Niestety realizujemy politykę unijną, nie patrząc na wydatki, a to jest szkodliwe dla gospodarki, bo w przypadku awarii koszty niedostarczonej energii są olbrzymie, o czym przekonali się już Hiszpanie i Portugalczycy. Ocenia się, że koszty niedostarczonej energii są ok. stukrotnie większe od jej ceny rynkowej, a więc w przypadku Polski niedostarczenie jednej megawatogodziny przy awarii systemu wyniosłoby ok. 50 tys. zł. Biorąc pod uwagę średnie zużycie 20–25 tys. MWh w ciągu godziny, w przypadku awarii trwającej tylko 60 minut mówimy już o dziesiątkach miliardów złotych. Wcześniej wspomniałem o subsydiach i odszkodowaniach dla OZE, ale przecież zamykanie kopalni i elektrowni węglowych to również koszty i zwolnienia tysięcy ludzi.

Kultura dobrej pracy, ślaska odpowiedzialność, rodzinne życie powoli upadają. Niszczymy to, nie dostając nic w zamian i jesteśmy zmuszani do ponoszenia olbrzymich kosztów. I nie ludźmy się – żadne fundusze unijne nie zrekomensują tych kosztów i nie zapewnią odpowiedniej liczby miejsc pracy. Nie pomogą, bo to tylko plasterk na wielką ranę.



POLA GONCIARZ

AKTORKA

Lubię być tu, gdzie jestem

Niestety jestem pracochliczką. Pracuję cały czas. Kiedy przychodzą wakacje, to nie dla mnie. Jeśli już, wolę podróżować wtedy, gdy u nas jest zimno, a w wielu miejscach na świecie ciepło. Wybieram też odległe rejony, chociaż boję się latać samolotem. Więc jak już zdecyduję się na jakąś dalszą trasę, to tydzień wcześniej zaczynam sesję uspokajającą. A potem ruszam w drogę.

W „Na dobre i na złe”, gdzie gram dr Blankę, mieliśmy zdjęcia w Hiszpanii. Poza serialowym planem byłam już

w tym kraju kilka razy. Podoba mi się, ale czy chciałabym w nim zamieszkać na stałe, jak Wiktoria Consalida, serialowa mama Blanki? Nie wiem. Na razie lubię być tu, gdzie jestem.

Spektakularnie nie wędruję dużo po świecie, ale odwiedziłam już m.in. Kubę i Chiny. Moja mama bardzo lubi podróżować i to ona często mnie namawia do dalszych wyjazdów. Na Kubę trafiliśmy jeszcze w okresie, gdy nie było tam tak widać skutków otwarcia na USA, czuło się niepowtarzalny klimat. W Chinach oczywiście przesłama

się po najsłynniejszym murze i miałam ciekawe doświadczenie. Przyzwyczałam się już do tego, że w Polsce ludzie mnie rozpoznają, zagadują, proszą o wspólne zdjęcie, ale na Wielkim Murze Chińskim? A tam też do mnie podchodzono. Wyróżnialiśmy się na tle turystów karnacją i strojem.

Podróż do Chin była jednym z marzeń mojej mamy, podobnie jak odwiedzenie Rzymu. Dwa lata temu w ramach urodzinowej niespodzianki sprezentowałam jej taką wycieczkę. Cieszyłam się, widząc jej radość, że może poznawać to miasto, te miejsca. Pojechalśmy, a właściwie poleciałyśmy, obie. Z różnych względów trafiliśmy do Rzymu w okresie wakacyjnym, więc było gorąco i tłoczno, ale mamy bardzo miłe wspomnienia.

Kiedy byłam mała – więc nie do końca pamiętam ten wyjazd – pojechalśmy do Grecji, na Santorini. Chciałabym tam jeszcze wrócić. To nieodległy region, więc dla mojego strachu przed lataniem – do pokonania. Co prawda różnie się tam teraz dzieje, ale liczę, że wszystko pójdzie w dobrym kierunku i pojedę. Sama albo z przyjaciółmi. Zobaczymy. Nigdy nie podróżowałam sama. Mam koleżankę, która tak zwiedza różne zakątki świata i zamieszcza relacje na Instagramie. Jestem pełna podziwu.

Moje ulubione kierunki podróży? Jeśli chciałabym tylko odpocząć, wybrałabym Malediwy czy Seszele, ale w czasie wypoczynku lubię też poznawać nowe miejsca, zwiedzać, więc połączyłabym to w ramach wyjazdu np. do Tajlandii.

W rodzinnej Warszawie kursuję głównie między planem „Na dobre i na złe”, moim domem i rodzicami. Jest jeszcze Pałac Kultury, a w nim Teatr 6. piętro, gdzie również gram. To są przestrzenie, w których bywam najczęściej. Gdy potrzebuję resetu, ruszam na Warmię i Mazury, do wakacyjnego siedliska dziadków. Jest tam spokój, kojąca przyroda, jezioro. Nie ma internetu, więc można się wyłączyć, zrelaksować. Choćby na krótko, ale to już jest coś.

Notowała

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. TVP




SŁODKO-SŁONY

Oberiba

ANNA MONICKA

Kto zna tę nazwę? Pewnie tylko Ślązacy, i to starsi. Na stronie gryfnie.com, pod hasłem „Skond sie wziyna oberiba?” prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach dr hab. Zbigniew Kadłubek pięknie opowiada o tym warzywie: „Takim niemieckim słowem we ślonskij godce je »oberiba«. Ale słowem bezma doś starym, bo we supermarckie dzisie w Nimcach żodyn już oberiby (Oberrübe) niy znojdzie. O niy! Pryndzy bydzie napisane: »Kohlrabi«. I jak zoboczy »Kohlrabi«, pomyśli zaro: »O, dyć to je oberiba« – i wciepnie jom do wozka. No, i »Kohlrabi« może tyż przypominać irlandzki słowo »cálráib« – abo polsko »kalarepa«. Ja, »kalarepa« to tyż je gryfne słowo! Po niemiecku »Rübe« znaczy rzepa, lacińsko »rapa«. Już downo tymu prosto zech se to tak tłumaczył: oberiba to je tako rzepa, co wystowo nad zymia i skuli tego nazywo sie »ober-riba«”.

Kiedy moja mama przygotowywała duszoną kalarepę – z masłem i koperkiem – miała pewność, że zostanie pożarta każda ilość. Uwielbiały ją wszystkie dzieciaki w rodzinie, nawet największe niejadki, bo była delikatna, słodka, lekko chrupiąca i miała piękny, zachęcający zielony kolor. W domach moich kolegów nikt jej nie jadł – nie była w centralnej Polsce popularna. Ale tata pochodzi ze Śląska i jest bardzo przywiązany do tradycyjnej kuchni, więc babcia pokazała, które dania synek lubi najbardziej. Tam gospodynie wykorzystywały każdy kawałek oberiby, bo na liściach, które mają podobne właściwości, co kapusta (w końcu kalarepa to jej kuzynka) gotowały pożywną, gęstą zupę, zwłaszcza jeśli dodały do niej wędzone żeberko, ziemniaki, marchew. Potrawkę solidnie zaprawiały mąką, żeby syciła na dłużej. Resztki smakowały królikom i kozom, które często hodowano przy górniczych familokach. Było biednie, więc ludzie wiedzieli, że nic nie mogło się zmarnować.

Moja córka początkowo kręciła nosem na kalarepkę, ale widząc, że od wiosny zajadam się nią i na surowo, i duszoną, zainteresowała się wreszcie i przepadła. Codziennie szatkuję jedną albo dwie i szykuje wielkie miski salatek z oberibą w roli głównej, marchewką, ogórkami. Skrapia je odrobiną oliwy i cytryny. Robimy też kotleciki – lekko obgotowane kalarepy kroimy w plasterki i grillujemy jak cukinię (tworzą świetny miks). Polecam też kalarepową zupę krem z grzankami czosnkowymi. 

Fot. Andrzej Skwarczyński, Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Gospodarka leśna

PRZEMYSŁAW BARSZCZ


Regularnie przekonują się o konieczności propagowania gospodarki leśnej. Obecnie coraz więcej osób interesuje się przyrodą, czuje się za nią odpowiedzialna – co jest kierunkiem bardzo pozytywnym – a jednocześnie coraz więcej osób wyraża wątpliwości co do gospodarki leśnej. Ciąć czy nie ciąć? Zdecydowanie – ciąć. I nie mieć obaw, wręcz przeciwnie.

Po pierwsze, polscy leśnicy są najlepsi na świecie. Zarówno pod względem wiedzy i bazy naukowej, na której opiera się polskie leśnictwo, jak i w zakresie praktyki. Tak, bywają wyjątki, jak w każdej grupie zawodowej. Nie dajmy się im jednak zmylić. Gros leśników, a wielu znam osobiście (sam jestem leśnikiem, choć nie pracuję w Lasach Państwowych, zresztą zawsze bardzo przeze mnie cenionych), to osoby nie tylko pracujące ciężko, rzetelnie i z poświęceniem, ze świetnym przygotowaniem, lecz także pasjonaci interesujący się ptakami, owadami czy rzadkimi roślinami.

To osoby, które nie dadzą zrobić krzywdy powierzonym sobie lasom. Tak było zawsze i tak będzie. To nie przypadek, że polskie lasy przetrwały zabory, wojny i komunizm. Polityka nie ma tu nic do rzeczy i nigdy nie miała. Teraz też nie. W rozmowach między leśnikami jest ona bez znaczenia i nie ma wpływu na ich pracę. Czasem ją utrudnia, ale przecież trudności były zawsze. Nie bójmy się więc, bo ostatecznie leśnik zawsze stoi na stanowisku, które można zilustrować, parafrazując cytat z filmu „Vabank”: „Mylicie mnie z kimś innym – ja jestem leśnikiem”. Las był, jest i będzie bezpieczny.

Po drugie, leśnictwo jest trochę jak rolnictwo. Uprawiamy, żeby zbierać, tylko w dłuższym cyklu. Mimo obaw, że tnie się za dużo, prawda jest inna: mamy coraz więcej lasów i są one w coraz lepszym stanie. Zalesia się nowe tereny, poprawia błędy (bo któż ich nie popełnił?), a najważniejszą zasadą jest trwałość lasu. To, co jest lasem, pozostanie nim. Jeżeli na chwilę zostało wycięte, będzie odnowione.

Las produkuje tlen, chroni wodę, tworzy bioróżnorodność i daje surowce. Las i użytkowanie wzajemnie się wspierają i potrzebują. Jeżeli nie będziemy ciąć, zostaniemy zmuszeni do zastąpienia odnawialnego drewna tworzywami sztucznymi. I to będzie gorsze.

Gospodarka leśna jest czymś wspaniałym, zwłaszcza w polskim wydaniu. 

OGNIEM NA WPROST

Powrót psa Szarika



Andrzej Rafał Potocki

Prezydent USA Donald Trump nie ustaje w wysiłkach mających przywrócić pokój. A kremlowska propaganda z Margaritą Simonjan na czele (taki odpowiednik Doroty Wysockiej-Schnepf) otwartym tekstem mówi o tym, że Ukraina nie ma przyszłości i zostanie podzielona. Tak jak Stalin i Hitler podzielili Polskę w 1939 r. Nieźle – przyznawać się do współpracy z III Rzeszą w przededniu obchodzonej w Kacapii 9 maja rocznicy jej pokonania (bo to wtedy padły te słowa).

No to front. A tam martwota, bo w istocie front stoi na większości odcinków. Zacznijmy od tego, że Moskale „wyzwolili” obwód kurski. Nie cały, ale drobne skrawki w ukraińskich rękach się nie liczą. Zajęło im to 10 miesięcy. Ukraińcy przeszli od Kijowa do Kurska w trzy dni, a Kacapy odwrotnie w prawie rok. Druga armia świata. Żeby nie było za słodko, Ukraińcy co chwila próbują przejąć inicjatywę na tym odcinku, ale na razie bez pozytywnych efektów. Pod Wołczańskiem SZU wykonały kontratak, odbijając skrawek terenu. Moskale wyraźnie gromadzą tu większe siły. Na północ od Kupiańska drobne zdobycze terenowe ruska w strefie przy granicy. Nic z nich nie wynika. Cały odcinek na południe od Kupiańska aż do Jampolówki – brak zmian. Między Toreckiem a Pokrowskiem Moskalom udało się posunąć na północ wzdłuż drogi Pokrowsk–Konstantynówka i wzdłuż drogi H-20 biegnącej po osi północ–południe. Moskale mają kontrolę ogniową nad drogą Pokrowsk–Konstantynówka. Tym samym ten szlak logistyczny jest stracony dla Ukraińców. Pod Pokrowskiem brak poważnych zmian. Jedynie drobne postępy Moskali w rejonie Preobrażenka–Kotlarówka.

Podobnie jak dwa tygodnie temu pod Kotlarówką próbują skrócić na północ, ale bez większych sukcesów. Na południe od Konstantynopola w zasadzie brak znaczących zmian. Jedyna poważniejsza zmiana na odcinku zaporoskim. Moskale zaatakowali koło Nowopola, ale nawet zajęcie tej miejscowości niewiele zmienia. Kilka dni temu ruscy alarmowali o znaczącym desancie ukraińskim przez Dniepr koło mostu Antonowskiego, ale nie ma śladu takiego ataku, więc chyba zniszczyli desant, którego nie było. Na koniec informacji z frontu – nowość. Ukraińcy utworzyli 8. Korpus Powietrzno-Desantowy. Zobaczymy, gdzie się zwali na durne kacapskie lby.

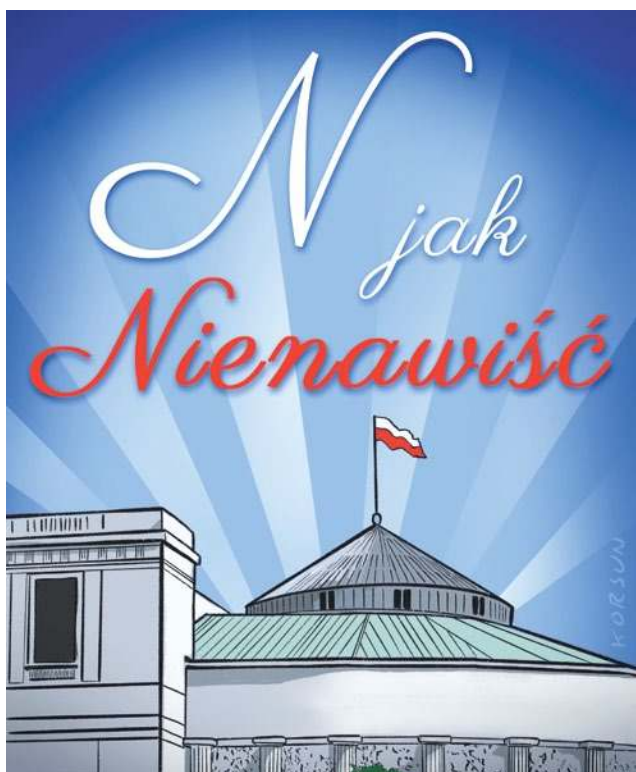
Według ukraińskiego re-sortu obrony od 24 lutego 2022 r. Moskwa miała bowiem utracić ponad 10 tys. czołgów – zauważa portal Defence24. Straty były tak duże, że Kacapom zaczęło brakować pojazdów opancerzonych. W ostatnich tygodniach w walkach wykorzystuje się ich znacznie mniej. Zamiast tego ruskie mięso armatnie jest podwożone na front bez wsparcia czołgów, w cywilnych samochodach pozbawionych jakiegokolwiek osłony, przez co straty osobowe cały czas utrzymują się na tym samym poziomie (ok. 1,2 tys. wyeliminowanych dziennie Rosjan). Jednak nawet jeżeli na froncie będzie się utrzymywał obecny, zmniejszony poziom użycia tanków, to w 2025 r. ich liczba w armii rosyjskiej zmniejszy się o 1650. Tymczasem rzeczywista liczba pojazdów opuszczających zakład w Urałwagonawod jest nie większa niż 400 rocznie. No to trzeba było coś wymyślić i moskiewscy naukowcy wykonali zadanie.



To nie żart. Ruski chce wznowić produkcję odpowiedników czołgów z II wojny światowej – T-34 znanych u nas z serialu „Czterej pancerni i pies” jako Rudy 102. Tani w produkcji, opancerzony, niewymagający żadnej finezji mechanicznej, nie wspominając o elektronice, jak ułaj pasuje na front walki z Ukraińcami. Kacapy już dawno zauważyli, że po opakowaniu pojazdów wojskowych w prowizoryczne osłony antydronowe traci się wszelkie zalety, które przyniosą nowe technologie czołgowe. Z kolei przeżywalność takiego rozwiązania zależy jedynie od czasu potrzebego dla Ukraińców, by wysłać w jego kierunku odpowiednią liczbę dronów kamikaze. Z miesiąca na miesiąc maleje liczba nowoczesnych jak na ruskie standardy czołgów T-80. Tylko według wstrzeźniwego z natury portalu Oryx oceniającego straty na podstawie zdjęć i filmów Moskale mieli utracić ponad 1,2 tys. takich pojazdów. W rzeczywistości na Ukrainie zniszczono o wiele więcej T-80. Magazyny broni pancernej zostały już praktycznie opróżnione, a nowoczesnych maszyn nie da się produkować gdziekolwiek (jak kiedyś czołgi T-34), a jedynie w dobrze wyposażonych zakładach przemysłowych z wykwalifikowanym personelem technicznym. Jedyną firmą w kraju Kacapów zdolną obecnie do produkowania takich czołgów jest Urałwagonawod w Niżnym Tagile. Co prawda według Kremla dwukrotnie zwiększono tam produkcję, ale i tak nie zrekompensuje to strat ponoszonych na Ukrainie. Żeby poprawić wartość bojową nowo produkowanego złomu T-34, do każdego czołgu należy dodać psa. Specjalna hodowla Szarików niebawem ma ruszyć na Syberii.

Współpraca: „Skipper”

**Michał Korsun prezentuje:
Teraz w Sejmie, wkrótce na ulicach**



Wycinki z przeszłości

W maju 1939 r. na łamach tygodnika dla podoficerów „Wiarus” czuć było wojnę. „My w Polsce nie znamy pokoju za wszelką cenę! Słowa te, dziś już własność całego narodu, są przede wszystkim własnością żołnierza polskiego” – czytamy. Ze świata donoszono: „Hitler i Mussolini przeprowadzili inspekcję fortyfikacji na pograniczu francuskim, połączonej z ogromną propagandą, mającą na celu »zastraszenie« siłą tych umocnień mocarstw Zachodu. Ten »propagandowo-wojskowy« objazd dyktatorów nie wywarł we Francji i Anglii większego wrażenia. Anglicy ogłosili, że ich produkcja miesięczna samolotów sięgnęła już 1000 maszyn, a wobec stałego zwiększania się, zdystansuje na głowę możliwości niemieckiego przemysłu lotniczego. Pobór rekrutów w Anglii rozpoczyna się 1 lipca”.

Trwała zbiórka na Fundusz Obrony Narodowej. „Od dwóch niespełna miesięcy trwa prawdziwy wyścig ofiarności na dobrożenie armii. Oto nadesłano Naczelnemu Wodzowi parę obrączek ślubnych”. „Wiarus” drukuje też nadesłane relacje o wpłatach w całym kraju, idących w sumie w miliony złotych.

Zamieszcza także wiersz Zbigniewa Dębickiego uzupełniający okładkową grafikę pt. „Przysięga”:

„Tobie, ojczyzno miła
wszystkich sił moich siła
i serca mego krew
na Twój pierwszy zew”.

(mk)



Z WOLEJA

Moich kolegów dwóch

Dwaj wielcy piłkarze. Giganci futbolu. Moi koledzy z ław Parlamentu Europejskiego. Pierwszy to Włoch Gianni Rivera, mistrz Europy z drużyną Italii w 1968 r. i wicemistrz świata dwa lata później oraz najlepszy piłkarz świata w 1969 r. Z AC Milanem dwa razy zdobył Puchar Europy, dwa razy Puchar Zdobywców Pucharu i raz Puchar Interkontynentalny, czyli klubowe mistrzostwo globu. Pięć pucharów na arenie międzynarodowej, tak jak pięć lat w europarlamencie, w którym zasiadał w latach 2004–2009. Starszy ode mnie o 20 lat, do polityki wpadł na chwilę, nie czuł się w niej tak jak na boisku i szybko z niej zrezygnował. Niższy ode mnie – mierzył 175 cm – musiał nadrabiać myśleniem na boisku i typowym dla Włochów boiskowym cwaniactwem.



**Ryszard
Czarnecki**

Ten najlepszy strzelec włoskiej ligi z 1973 r. jest twarzą największych sukcesów futbolu z Półwyspu Apenińskiego w drugiej połowie lat 60. i pierwszych lat 70. ub.w. Azzurri byli wtedy najlepsi na Starym Kontynencie, a na świecie ustępowali tylko Canarinhos, czyli Brazylii. W tym samym czasie klubową piłkę w Europie zdominował AC Milan, do którego Rivera przyszedł, mając lat 17 i grał w nim przez kolejnych 19 (!). W dzisiejszym piłkarskim świecie taka wierność barwom jednego klubu to rzecz w zasadzie niespotykana.

Drugi kumpel z europoselskich ław w Brukseli i Strasburgu to Teodoros Zagorakis. Tak jak Włoch też był mistrzem Europy, tyle że z Helladą w 2004 r. Młodszy ode mnie o 8 lat, w ciągu 13 lat zagrał aż w 120 meczach reprezentacji Grecji. Był kapitanem drużyny narodowej, dowodził na boisku i poza nim, zostawiając strzelanie bramek innym (tylko 3 gole dla reprezentacji, czyli 1 na 40 meczów).

Pamiętam rozmowę w moim gabinecie obwieszonym setką szalików, głównie piłkarskich. Musiał zauważyć, że nie było tam szalika PAOK Saloniki, w którym grał przez pięć lat, ani AEK Ateny, w którym później występował przez cztery lata. Rozmawialiśmy o powołaniu piłkarskiej reprezentacji Parlamentu Europejskiego, choćby na wzór tej, którą miał Sejm RP. Teodoros chyba dobrze się czuł w moim „piłkarskim” biurze, bo jakoś niespecjalnie kwapił się z wyjściem. Na boisku grał jako pomocnik i nie zmieniał tej pozycji, ale w polityce zamienił centroprawicę na lewicę. Uśmiechnięty gość, któremu nie odbiła szajba z tego powodu, że był najlepszym zawodnikiem turnieju, na którym Grecja zdobyła pierwsze w swojej historii – i ostatnie – złoto mistrzostw Starego Kontynentu.

OD A DO ZYBERTOWICZ

Samobójstwo kobiet?

Ruch, który niegdyś wyzwalał kobiety z realnego ucisku, dziś coraz częściej wyzwala je z kobiecości



Staram się, jak mogę, a i tak siedzę w konserwatywnej bańce po uszy. Choć nie wiem, czy się cieszyć, że dostrzegłam lead do tekstu „Rzeczpospolitej” (z marca 2025 r.): „Wiceminister walczy z Dniem Chłopaka. Tak kończy feminizm”. Nadal nie wiedziałabym o istnieniu lewicowej polityk Karoliny Ziolo-Pużuk, ani tego, że jest wiceministrem nauki i szkolnictwa wyższego. Ale – co pewnie najważniejsze – nie byłabym świadoma, że pani wiceminister niezłomnie walczy z... Dniem Chłopaka.

Dlaczego to robi? „Bo nie jest to żadne święto”. Dziennikarka „Rzepy”, dystansując się od pani wiceminister, podsumowuje jej rozumowanie: „Okazuje się zatem, że jeśli chłopcy w podstawówce dostaną czekoladki podczas swojego święta, to jest to nie tylko wspieranie patriarchy, lecz także wytrych do ograniczania kobietom praw”. I przestrzega: „Niestety, w taki sposób równości się nie zbuduje. Właściwie niczego się nie zbuduje poza dalszymi podziałami”.

„Feminizm znów doszedł do absurdu” – ciężko wzdycham po lekturze.

A MOŻE JEST GORZEJ

Oczywiście feminizm nie jest jednolitą ideologią. Ma swoje zasługi, jak prawa kobiet do głosowania i edukacji, bez których życie wielu z nas byłoby dziś znacznie mniej ambitne. Ale próbując na siłę unifikować płcie lub marginalizować mężczyzn, feminizm nie tylko przekracza granice zdrowego rozsądku, lecz także wpycha nas w jakiś ciemny zaułek.

Marginalizowanie mężczyzn, tworzenie atmosfery wrogości wobec nich, daje przyzwolenie na brak akceptacji dla osób niepodzielających tzw. progresywnych poglądów. Feminizm, promując określony wzorzec „poprawnej” kobiecości, jest ruchem przede wszystkim wykluczającym.

Współczesne kobiety często stoją przed sprzecznymi oczekiwaniami. Hołubi się ich niezależność, karierę i samorealizację, ale przecież dla wielu kobiet to macierzyństwo jest kwintesencją ich kobiecości. Są też kobiety spełniające się w tradycyjnych rolach matek i żon.

Najbardziej niebezpieczne pozostają te kierunki feminizmu, które są powiązane z ideologią queer, gender, poststrukturalizmem czy transhumanizmem. To na ich gruncie trwają próby „przemodelowania” pojęcia płci, człowieczeństwa, a nawet samej ontologii człowieka.

BIOLOGIA TO TYLKO SUGESTIA

Twierdzenie, że płeć jest tylko konstrukcją społeczną, kwestionuje binarne rozumienie płci (kobieta/mężczyzna) oraz jej podstawy biologiczne. Zaburza to społeczne normy, wartości i instytucje – w tym tak ważne dla jednostki jak rodzina. Następuje „przemodelowanie” nie tylko płci, lecz także związanych z nią struktur społecznych. Promowanie tzw. nienormatyw-

nych tożsamości płciowych w edukacji jest niczym innym, jak narzucaniem nowej ideologii. To nasila społeczną polaryzację i rozrywa spójność kulturową.

KOBIETA DO KASACJI

Ruch, który niegdyś wyzwalał kobiety z realnego ucisku, dziś coraz częściej wyzwala je z kobiecości. Feminizm queerowy mówi, że „kobieta” to pojęcie opresyjne, zbyt wąskie, za bardzo związane z tym nieznośnym faktem posiadania ciała i podsuwa dziwaczne określenia typu: „osoba menstruująca”, „ciało rodzące”, „osoba z macicą”. A za dziwaczными określeniami podążają nie mniej dziwaczne zachowania.

Tu jednak kończy się emancypacja, a zaczyna niebezpieczny eksperyment antropologiczny: człowiek niejako istota, lecz jako projekt, płeć na żądanie, a może człowiek jako aplikacja – wszak żyjemy wśród technologii cyfrowych. Tyle że nie da się żyć w świecie, w którym każda kategoria porządkująca rzeczywistość jest płynna, a każdy fakt wolno uznać za opresyjny z samej swej natury.

To dzisiejszy feminizm częściowo przyczynił się do tego, że zabicie ludzkiego płodu w dziewiątym miesiącu ciąży jest traktowane jako zabieg medyczny zgodny z „reprodukcyjnymi prawami kobiet”.

To wielkie oszustwo. W pełni ukształtowany płód ludzki w łonie matki nie jest tylko bezosobową biologiczną tkanką, którą można dowolnie rozporządzać w myśl: „Mój brzuch, mój wybór”. Feministki są hojniejsze w przypisywaniu osobowości drzewom i rzekom niż dzieciom, które zostały poczęte.

Nie przyglądajmy się biernie temu kulturowemu samobójstwu kobiet. **✓**

Katarzyna Zybertowicz

Czytaj nas w najlepszej cenie!



Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika **SIECI** ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	375 zł
cena w kiosku	167,70 zł	322,50 zł	657,90 zł

NAJLEPSZY WYBÓR

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę www.sieciprawdy.pl/prenumerata i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na pocztę, podając dane do wpłaty w okienku



Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na pocztę:

Nazwa odbiorcy: FratRIA sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty:

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota:

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)



wPolsce 24

WESPRZYJ patriotyczne media

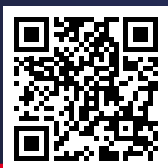
Z Państwa wsparciem
będziemy **patrzeć**
władzy na ręce,
tropić afery, obnażać
kłamstwa i **walczyć**
o prawdę

**Zbieramy na dziennikarstwo śledcze
FUNDAMENT WOLNYCH MEDIÓW**

NUMER KONTA:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

TYTUŁ WPŁATY: **DAROWIZNA**



wesprzyj.wpolsce24.tv

Twoje dane osobowe będą przetwarzane
zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52
telewizja
naziemna

62
CANAL+

192
netia

32
orange

825
vectra

196
polsat box

65
PLAY
dawniej upc

459
inea

631
TOYA

43
evio